DZIEŁA
LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO

POEZYE.

Tom IX.

WARSZAWA.
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA.
przy ulicy Nowolipki, Nr 3.
1881.

DZIEŁA
LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO.

dubl. sgn. 243446 II — 9. 5997/II K.

DZIEŁA

LUCYANA SIEMIEŃSKIEGO

POEZYE.

Tom IX.

WARSZAWA.
NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA UNGRA,
przy ulicy Nowolipki, № 3.

1882.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna
w Kielcach

66283 L-P

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Февраля 1882 года.

POEZYE ORYGINALNE.

47848/3

zasob
Bibl. Jagiell.

TRĄBY W DNIEPRZE.

Stał obóz Polski, stała Ruś w taborze,
A między niemi Bugu święte łoże.

Rusin jedwabne rozpinał namioty,
Pawołoczemi opończmi czerwienił;
Srebrne tam szable i złocone groty:
Obóz Rusinów jak połoz się mienił.

Pod gołém niebem, w kożuchu baranim,
Lach obok konia: szczyt i zbroja na nim; —
Twardy ich żywot, jak żywot pokuty,
Chłop, koń i puklerz z jednego ukuty.

W dzień pierwszy głazy miotali kamienne,
W dzień wtóry strzały miotali kalenne;
W dzień trzeci z brzegu Błud obelgi miota
Na króla Lachów:

— Ej ty tuczny wieprze!
Azać Bug przebrnąć nie bierze ochota,
Kiedy się kusisz wody napić w Dnieprze?
Azać żal sadła na ruskie pazury?—
—Na tu! na wieprzu!—ryknie Ruś, jak tury.

A Błud, czarownik, stroił strachy lepsze
Zaklął Peruna i wszystkie kumiry,
Bug w mgłach rozkropił, wiatry podniósł cztery:

Rzucił zwierciadło—i woda po pasy;
Igłę na rolę—wstały w okrąg lasy;
Kamień na stepy—i góry na stepie.—
Trafiajże, Lachu, choćbyś miał sto ślepie!

— Źle z nami, wiara! czart nas wziął do koła.—
I k'kopijniku król:—Hejno! zawoła,
Włóczń Maurycego i szabla anioła!
Krzyż Pański, imię Chryste i Marya!—
Ciął szablą w zmory, kopią mgłę przebija —
Jak sen o świcie pierzchły precz tumany,
Znów świeci słońce, i Bug płynie szklany.

— Bogarodzico! wiara wpław, koń łodzią!—
Pierwszy król skoczył, a za nim czereda,
Aż rzeka na brzeg bryznęła powodzią,
Tylu w bród poszło. Ruscy popłoch trąbią,
Strach im do szyków i oręży nie da!
Lachy na karku siedzą, kolą, rąbią;
Z martwych do Bugu krew wali się rzeką —
Chorągwie w piasku; z ciał wstała mogiła;
Pycha butnego w piasek się wtłoczyła,
Pycha Błudowa. A gdzie Błud? — daleko
Wyprzedza wiatry. —

Kniaziu Jarosławie!
Klasnąłeś w ręce po krwawéj rozprawie,
Samoczwór szlakiem pędzisz do Kijewa.
Brańce, namioty, skot, sobole, kuny,
Padły zdobyczą,—z grodów biją łuny.
Ba! Kijewowi on pożar dogrzewa,
I sam Nowogród: „Gorze mnie!" zaśpiewa.

— Tam, czy to zorza na dachy upadła?
Czy góra złota siedzi wśród zwierciadła?—
Pytają Lachy. — To Kijew, gór trójca
Czterysta cerkwi dźwiga, pasem z głazu
Biodra mil siedmiu okręca; do razu
Wytrąbi ze sto tysięcy mołojca.

A Lachy na to: — Na głazy i bramy
Mamy buksztele i tarany mamy;
Na sto tysięcy tuły pełne grotu,
Szable toczone, rumaki do lotu.—

Stadami kawek czernieją dzwonnice;
Wilk zadnieprzański wyje korowodem —
Dadzibóg datkiem nie darzy, a głodem
Wybija wnuków. Sokół zozulice
Porzucił młode. Synu Włodzimiérza!
W mur Nowogrodu niesie cię łódź chyża
Od siostr i żony! — A gdzie dzwon wiecowy?
Za gockie brzegi tyś pociec gotowy!

Uniż się grodzie! pas się twój rozkował,
Pożar złociste stropy pozdejmował...
Zgasłeś! — Bolesław konia w skok wypuszcza,
Oburącz mieczem w bramę ciął ze złota;
Miecz się wyszczerbił, padły na wznak wrota:
Na twarz bojary, na twarz czarna tłuszcza!

— Chrobryś pan, chrobry! mir, mir ruskiéj ziemi
Chleb, sól i kości świętych! Pawołoką
Szlak ci wymościm; dzwony sofijskiemi
Odzwonim sławę. Ośm dziewic, jak oko,
Siostr Włodzimierza z oprawą, twym plonem.
Stolec Ruryka podeprzem wysoko,
Szeroko stopnie wybijem pokłonem.
Cześć tobie ninie, chrobry po wsze czasy!—

I szedł król, za nim oszczepów szły lasy
W chram świętéj Zofii. Pieśń: Bogarodzica!
Wstrzęsła sklep cerkwi; ostrzele i lica
Pokorą pyłu przed ołtarz się miotły:
A wszystkie dzwony dzwonią, huczą kotły.

Żer, żer, sokoły! Król dzieli zdobyczą.
Jezdny czy drabant, brał proporce, tuły,
Opończe, resztę grzywnami doliczą.

Skarbiec cerkiewny słał do kapituły
Gnieźnieńskiéj, kędy święty Wojciech w grobie.
Sam król nic nie brał, tylko dziewkę młodą
Z branek książęcych rad podobał sobie
I wiódł do łoża. Brańcom rozciął łyka,
Syny bojarów puszcza na swobodę,
A sobie wybrał Błuda czarownika.

— Nie byłoć, Błudzie, bojować językiem!
Snadź go pan w łaźni ochwoszcze winnikiem,
I da mu ścierkę. — Bies wie, czy nie gorzéj,
Może rozerwą końmi na rozdroży? —
Tak przebąkali dwaj: ciura z łucznikiem.
Tak po Kijewie krzywym tropią torem —
Król wyżéj buja niż Diw z białozorem.

Co mi za tuman? Czy to turów stado
Hasa na błoniu? czy to hufce jadą?
Co mi tam ciemno na Dniepru błękicie?
Czy wodni goście? Wstałże Igor stary
Zbierać nomady na latyńskie cary?
Czy po raz wtóry Ruś pogańską chrzcicie?
— Ni Ruś to chrzcimy, ni z Igorem płyną,
Jeno król Lachów ze zbrojną drużyną
Wjechał na zalew dnieprowy w półkręże.
— Tu kres!—grzmiał piersią.—Tu kres!—rykną męże.
Tu słup żelazny!—Gdzie koń wrył kopyty,
Koń Bolesława, słup żelazny wbity.

Na środek rzeki łódź wygnały wiosła.
Błud płynął w łodzi; cisza się podniosła,
Dziw będzie. Z łodzi wielkie trąby cztery
Dźwignięto, jako słupy chramu w Retrze,
I zatopiono razem w Dniepru wiry.
Podwodną pieśnią zagrało powietrze.
Taką czcił Bojan pieśnią bohatéry,
Gdy wieszczym palcem bił o struny żywe.
Rusałki pieśń tę po szuwarach wtórzą,
A białą pianę chwyciwszy za grzywę,
Na Czarne morze pławią się; a z burzą

I wendzka Odra, i morze Waregów,
Pieśnią tą grały gwoli lackich brzegów.
Sam Lach, a nie kto, tę gędźbę rozumie.
Lud ją podziwiał, a król rzekł: — Hej! kumie
Błudzie! rzeka gra darmo, żeru głodna.—
I wnet z kamieniem Błud pornął aż do dna!
Błuda bies porwał. Stoi słup, a rzeka
Chrobrego sławą gra z wieka do wieka.

POTRZEBA WARNEŃSKA.

Na namiocie, czasu jutrzennego,
Usiadł kruk i zakrakał królowi:
—Z wieścią lecę od morza Czarnego:
Morze ujścia broni Dunajowi.
Dunaj mówi:—„Puść, zatopię ziemię,
Stanę morzem.“ — Morze zasię mówi:
—„Nie puszczam cię, padalcześ ty plemię!“
O! radź królu — bo jak Dunaj wzmoże,
To i morzu zatonąć w Dunaju —
O radź królu!—A król:—Czarny baju,
Wżdy bezpieczniéj dyabła mieć w komorze,
Poleć k'morzu, powiedz, że pogrożę!—

I król zgromił sny swoje:—Tfu mary!
Patrona Ungariae! ptak kary
Siadł na galce i trąbił mi w ucho
O Dunaju, a Dunaj, ot stary,
Szklni zorzami, by pogańską juchą,
I w namiotach czeladka na poły
Śpi, wrzkomo w ogrojcu apostoły,
Jedno u mnie jakaś w myśli burka.
Hej pacholę! zwać przed nas wróżbita.
Świecą gwiazdy, niechaj gwiazd popyta:
Czy wyskoczyć przyjdzie na psa Turka,
Czy nam doma nawrócić z kopyta?

Przyszedł starzec, on praktyk cygański,
Z gwiazd aspektu ciemnie snu wykładał:
—Morze krnąbrne to świat chrześciański;
Dunaj—Turek; niechby w morze wpadał,
Wszak zatonął wóz Faraonowy.
Kruk — przestroga (choć ma węch na koście).
Głowa, królu, — nie to kierz wierzbowy,
Raz ucięta, raz wtóry nie roście;
Byś wysoko nie posadził głowy.—

Stał na radzie Jankuł wojewoda,
Wraz pochwycił:—Wojnę wróży woda!
Więc utniéjmy! nie wzrośnie łeb wtóry.
Miecz karania dźwignie książąt zgoda,
Bulla rzymska rozwiąże u góry.
Wojna, wojna, na pogan chrześciany!—

Rzucił słowo, wrzkomo rękawicę,
Przed biskupy, książęta, hetmany.
Nikt, co padło, podjęciem nie kusił,
Nikt słów rajcy wywrócić na nice —
Sam król owszem sierdzistość przydusił,
Jeno smętek wybieżał na lice,
Jeno nieswój!

— Młody Krzysztoforze!
Okuj ducha na ocel k'przygodom,
Snadniéj będzie-ć przez utrapień morze.—

Trąby wrzały wojną po taborze,
Wiatr rozdyma proporce i kity,
Odlatuje z pożegnaniem do dom.

Król z namiotu krasnego, jen szyty
Perłami, potoczył w stepy wzrokiem,
W tuman, za dunajowym potokiem:
— Ej Dunaju! nie wrócę jak i ty!—

Wrzeszczą surmy, więc bębny kołaczą,
Serca skaczą, więc rumaki skaczą,

Stadem żurawiowém rwą się woje,
Z bukowińskim szumem.—Pisklęż swoje
Skrzydlacze odlecą w czystém polu,
Wśród stepów bulgarskich, w dusznym bolu?
Wżdyć to orlik! jako pierzem rucha —
Jemu rej wieść – w sławę on by w słonie
Wszystko patrzy. Rzekł:—Sławę ugonię!
Owo godna mym kościom pielucha,
W praszczurzętach jeszcze zbudzi ducha!—

Pod sztandarem świętym Ładysława
Król z biskupy, hetmany, rej wiedzie,
Powrzaskują surmacze, trąb wrzawa —
Skoczył tabór, tumanami jedzie.
Ziemię racką, bulgarskie pastwiska
Trą zagonem, u Dunaju piją:
Mimojazdem łaźbią na zamczyska,
Rzkomo w barcie, miód i trąd wybiją;
Łuny palą, harcują kwol spyże;
A do książąt do chrześciańskich listy
Wciąż strzelają o posiłki chyże,—
Do Wołoszy, więc do Skanderbega.
Lud węgierski niemnożen, choć czysty,
Turek z więcéj na łowy wybiega.

Szpiegrze chodzą do namiotu nocą,
Wieść od morza królowi markocą:
— Cma tam Turka! nie na czambuł ruszy,
Sam padysza, jen się dał w derwisze,
Stoi hordom—jakim dymem puszy,
Gdyby prorok!—Znowu nocnéj cisze
Szpiegrze przyjdą:—Czuć, że Grek okręty
Turków wozi (wżdy miał czynić wstręty),
A od głowy po dukacie bierze,—
Jeszcze nocą raz przyjdą szpiegerze:
—Widzieliśma sto tysięc bez mała
Na wzgórzach, na dołach—jak przewała
Deszczowa z gór w doliny ku nam cieką.
A gdzie goszczą—kur tam nie zapieje,

Gdzie popasą—step nie zielenieje,
Gdzie napoją—nurt nie płynie rzeką. —

W poniedziałek, pod księżyca pełnią,
Czy Dunaju prądy tak się welnią
Na warneńskiém przezroczystém polu?
Wżdy to półki sprawione w półkolu
Stoją cicho: czy w śpiączki wybite,
Czy bezpieczne, czy już boju syte?
Ni syte, ni wybite—wszak w zbroi
Pełnéj hussarz przy rumaku stoi,
Za pawężą drabik z rohatyną,
Łuczniki z łukami, król z drużyną.
I rozgowor cichy chodzi z rosą:
Ten przed księdzem wypowiada grzechy,
Ów pozdrawia pannę złotowłosą,
Gdzieś nad Wagą, kędy dworzec cichy,
Dumającą. Ów pisze na mnichy
Swe imiona, robi duże wota
Do Loretu, tysiąc marek złota;
Ów do Świętéj Ziemi da Bóg z wiosną
Rad popątnić. Rycerstwo pacierzem.
Krzepi duchy, duchy w górę rosną,
W znaku krzyża, pod wiary p uklerzem

Ej! zaświta zorze by krew. Komu
Świecisz to zorze, ku cześci czy sromu?
Oj ku cześci! cześć to nasza strawa,
Ze krwie roście. Sława chrobrym, sława!
Sława królu!

Król z pod ręki w jare
Słonko patrzy, wstające nad szare
Garby. Co tam zestrachało kruki?
Czy wilkowie od ścierwa? toż dymi
Wrzkomo z piekła dymami czarnemi.
Toż tam huka! czy wyprawia tańce
Bies za górą? Wżdy znamy te huki!
Wiara baczność! pogańskie to sztuki:
W dymie, w ogniu harcują pogańce.

Król miał w poczcie chorągwie skrzydlate,
A jak z berła myśliwiec raroga,
Hufiec puścił na tatarską czatę;
Z czarnych szpaków nie ujdzie mu noga.
Hufiec raróg miał szpony koncerze,
Dwieście włóczni w dziobie, z kolczych pierze.

I potarli niby siano suche
On zastęp. Król puszcza wciąż sokoły,
I tam, i sam, ochotne na juchę,
Na turecką, jak na miód. Padoły
Zasiały się trupem, bór się kurzy,
Jakby dyabeł rozlał się we smoły,
I pancerni skoczyli do wzgórzy.
Pojrzą z garbów: ano tam mrowisko,
Ani przejrzeć—gwałt luda—wielbłądy—
Stany, dzidy, buńczuki, a rządy —
Wrzkomo w ulu, gdy dmuchniesz, wre wszystko.

Trzy dni giaurom Turek zbroje kował
Demeszkami—a we krwie hartował.
Trzy dni hussarz szył turbany kopią,
A chrzcił juchą. Co nocy kruk zjada
Oczy trupom, lisowie krew żłopią:
Owo w trzecim Jankułowa rada,
Gdy są starci pogańscy spahowie,
O nieszporach panu w słuch ozowie:

— Szczęsny panie! dzierż na razie czarta;
Raz ochynął, już się nie wybiega,
Ze ćmy onéj mały kęs się warta,
Krom janczarów reszta ścierwem zlega.
Nad janczary pojrzyj jeno w parów,
U gór, czworopływa tam sztandarów.
Jeden biały, wszystkiéj mocy znamię,
Sułtan Murat stoi wśród janczarów,
Sławę zdzierży, kto weń kopię złamie.
Kwap się, królu, byś przodku nie stradał.—

Więc król harnasz dział świeży na siebie,
Pasał szarszun, bo drzewiéj w potrzebie

Harnasz—szarszun—na kęsy się spadał;
Owo skoczył przed hufy na wronym,
I przeżegnał drogę hufcom onym;
Kopaliny w dół zwiodą, a drzewa
W górę, a z pogonią propór wiewa
Nad nimi. Ej! byś się nie przed swaty
Wyrwał na pohańca, cny junaszku:
Słup obłoku otoczył cię, Laszku,
A w obłoku przybrany w ornaty
Święt' Stanisław:—Nuż w nie, miły Staszku!
Król doń prawi: bywaj bić psubraty!—
Na to biskup posochem poruszy,
Jakby z martwych krzesił Piotrowina;
I junoszka raźniéj konia spina,
A nasuwa na twarz kopalina;
W janczary wraził się grotem z kuszy.

Janczarowie twardo leżą w sprawie,
Na wodnych wymółach za przekopy:
Gorze tobie, królu Władysławie,
Twoje hufce lecą w dół jak snopy!
Błogo tobie, Muracie padyszo!
Twoje Turki każń chrześcianom piszą
Za mir łżywy. Jakie konie, chłopy,
By żubrowie w kolebkę się kładą.
W oną krwawą, a tu nikt z posiłkiem!
Sam ty Jankuł z hussarzami chyłkiem
W zad uchodzisz, dawszy pana zdradą
Na rzeź krwawą!

Wdowaś, Litwo, ninie,
I Korono! pan na Cherubinie
Twój posadzon; a jako dni nieba
Stolec jego, a prochy koleba
Wicher morski, co w twe zamki świszcze
Z klechdaniami od brzegów Dunaju:
Jako złaman bój, miecz, szczyt, łączyszcze,
Jak tam czaszki rzkomo gęśle gędą,
Jako gwiazdy ćmę latawców przędą;

Jak tam jabłoń wczeszła przy ruczaju—
Wonnym jabłkom uproście do raju:
Lachy, Litwo i ty, Uherszczyzno!

Bój rozjęła noc, a mgła szarasa
Rozwiesza opony nad płaszczyzną
Dychającą. Krucy ciągną z lasa,
Czają lisy, wilków cieką stada.
Księżyc oczy zamrużył—omacka
Przy ślepiach jarzących trwa biesiada
I rozgwar.

Był janczar Kukry mianem,
Podczas trupom grosze trząsał z wacka,
A rozumiał co niema twarz gada,
Bo przyczajon słuchał. Pod kurhanem
Leżał rycerz sam, trupami w około
Janczarskiemi ostąpion; kruk w czoło
Pod kopalin kował, czasem gwarzył:
—Ej niebożę stradny! toś nawarzył
Piwa—pijże!—Zaś radził kruk stary:
—Kędyż teraz twe półki, sztandary,
Krew junacka? Kędy stany lite?
A trzy stolce wdowie? młode latka?
Toż serdeczko lubości niesyte,
Ledwoć jako ziele pasorzyte
K'sławie przylgło, uschło na ostatku!
Na pogrzebie nie krakowskie dzwony
Dzwonią, wilcy wyją to z gawrony,
Stypę kruk wyprawia!

Kukry w skryci
Rozważa:—Królże to?—ano świeci
Zapona klejnotem—harnasz czysty;
W lice spojrzał—a z lica król isty —
I odrzezał z kopalinem głowę
I pod nogi rzucił Muratowe.

Przed padyszą stało siła jeńców
Zacnych paniąt, w straży u trzebieńców;

Ku nim głowa pańska się potoczy
Z bujném pierzem, z wypitemi oczy.
Nuż o ziemię dadzą one panięta,
Nuż uderzą w żałobne lamenta:
— Król nasz, on młodzieniaszek nieżywy!
Szczep Jagiełłów wiatrom k'pogrzebieniu,
Psom pogańskim twarz ku obelżeniu!
O Cudowna! nie twoje to dziwy
Z Jasnéj Góry, a czarcia robota!—

Murat wielce w radość się rozmiota:
Chwałać, Allo, za zwycięztwo szczęsne!—
Wraz pochwyci u boku miecz krzywy
Pisan srebrem—i na jatki mięsne
Ścinać zacznie rotmistrze i pany,
Pokąd nie stał oną krwią pijany.

Ranek mgły zdjął, słonko sklni z ukosa,
Co kruk liszył, doje zimna rosa,
Co wilk liszył, wiatr polny rozchwyta,
A o wieści guślarz nie dopyta.

Czéj mu sprawy nie da ono lice
Wśród majdanu utkwione na tyce,
Wonną nardą i olejki tchnące,
Przyczesane, wierę by żywiące?

Bojowiskiem dwaj jeźdźcowie jadą
Na natolcach; to patrzą w twarz bladą,
To pod nogi na trupy:—Azebie!
Jaką dziejeś, rzekł starszy, przygodą,
Że wśród trupów nie ma ćwika z brodą?—
— O padyszo! gdyby k'téj potrzebie
Giaury mieli jednego a ćwika,
Nas spotkałob' co ich dziś spotyka.—

SAMUEL ZBOROWSKI.

I.

BURZA CZARNOMORSKA.

Na białéj skale jasnopióry sokół
Siedzi nad morzem, nad Czarném, i w okół
Patrzy żałośnie i żałośniéj kwili:
Że groźna tucza bałwany zamąca,
Że wszystkie gwiazdy zgasły w jednéj chwili,
Że do pół w chmurę skrył się krąg miesiąca,
Że wichr od Niżu zerwał się szalony,
Sudna kozackie rozbił na trzy strony.

Jedną część w ziemię daleką agarską,
Drugą w Dunaju zapędza gardziele;
A kędyż trzecia część z młodzieżą dziarską?
Przez czarnomorskie bije się topiele.

Z tą był Zborowski, ataman kozaczy.
Miotan też burzą chodził wzdłuż pokładu,
Z czoła wycierał niby myśl rozpaczy,
Z piersi wyrywał niby żądło gadu.

Ówdzie, na boku, tuż przy samym sterze,
Siwy jak gołąb siedział dziad stuletni,

Miał twarz pogodną, uśmiech jak dzień letni.
Znają go wszyscy, bo grywa na lirze
Odwieczne dumy, bo radzi, bo leczy.
Acz prosty kozak, rej prowadzi w Siczy:
Broń zaczarować, zdjąć z kogoś uroki,
Odgadnąć skryte niebieskie wyroki—
Wszystko to umie. I teraz coś powie.
Powstał, dłoń podniósł i tak rzekł: — Panowie!
Ktoś między nami grzesznik tu niełada,
Kiedy nas chwila taka zła napada;
Niechże się najprzód Bogu wyspowiada,
A potém morzu, więc atamanowi —
Jeden za wszystkich niech ginie, odpowié. —

Skoro mołojce usłyszą zaklęcie,
Wolni od grzechu milczą na okręcie,
Tylko Oleksyj sam, pisarz wojskowy,
Popowicz, temi ozowie się słowy:
—Jam jeden grzesznik, więc mię bracia weźcie,
Kitajką oczy zawiążcie, uwieście
Na szyi kamień, rzućcie w głąb bezdenną,
Niechaj nie ginie kozaczych głów dwieście
Za jedną głowę grzeszną i bezcenną! —

Gdy to mołojce usłyszą, wraz rzekną
Do Popowicza: — Ty, co słowo boże
Czytasz i prawisz nieraz rzecz tak piękną,
Że wstrząsasz duszy najskrytszym tajnikiem,
Godziłożby się rzucać ciebie w morze?
Tyś nienajwiększym z pośród nas grzesznikiem!—

— Choć Pismo Święte czytam i was kruszę,
Jednak mam grzechy wielkie, wyznać muszę;
Grzechy to stare, ale srodze kuczą.
Niedarmo Bóg was karze za mnie tuczą.
Gdym w świat wyjeżdżał z grodu Piratyna,
Błogosławieństwa nie dali rodzice,
A przekleństwami żegnała rodzina —
Boć niegodziwszy byłem niż gadzina!
Nierazem konia wypuszczał w ulicę;

Roztrącał starce, wdowy, niemowlęta,
Jeszcze ich widzę we krwi — niebożęta!
A i przed Bogiem niemniejszy ja zbrodzień:
Przed cerkiew świętą przyjeżdżałem codzień,
Gdy lud się cisnął. U mnie taka buta,
Żem czapki nie zdjął, nie ugiął kolana...
Otoż panowie nadeszła pokuta —
Niedarmo morze burzy się, wre piana,
To modlitwa matczyna, płacz siostrzycy,
W tym groźnym wichrze, deszczu, błyskawicy.
Gdyby mi dzisiaj śmierci się wykręcić,
Umiałbym ojców kochać, cerkwie święcić,
Starców i dzieci nie deptać podkową,
Zła nikomu nie robić, żyć na nowo. —

Tak Oleksyj, gdy z grzechów się spowiada,
Na Czarném morzu wichr, burza upada,
Gwiazdy zaiskrzą, księżyc oczy przetrze,
Sudna kozackie ni to przez powietrze
Niesie i niesie jakowaś moc cudna.
Na Tentry Ostrów zawijają sudna.

Ztąd młódź kozacka stanęła w podziwie.
Jakaż moc cudna wywiodła szczęśliwie
Z ostatniéj toni?! Radość niesłychana.
Wszyscy weseli, wszyscy, prócz hetmana.

Hetman przy maszcie złamanym stał wryty,
Oczu nie śmiał wznieść w gwiaździste błękity,
Jakby się lękał dziką iskrą wzroku
Zapalić piorun na siebie w obloku.
Zkądże w niżowym hetmanie ta trwoga?
Czy go przeraził głos żywego Boga?
Palec widomy? Czy grzech jaki ciężył?
Czemuż pysznego ducha nie zwyciężył,
Win swych nie wyznał z grzesznym popowiczem,
Przed mołojcami, przed morza obliczem?
Któż to odgadnie? głąb serca bez dna,
Co w niéj się dzieje, wie Opatrzność jedna.

II.

WIĘZIENIE NA ZAMKU KRAKOWSKIM.

Rok był pięćsetny osiemdziesiąt czwarty.
Na zamku, na krakowskim stoją warty
Po plankach, basztach. Widok to nieznany,
By naszych królów strzegły partyzany.
Wierność narodu była im strażnicą.
Czemuż po kątach halabardy świécą,
I czujne hasło obiega noc całą?
Oj, coś dziwnego na zamku się stało!
Oj, że dziwnego, nie wątpić nikomu!
Oto, jak słychać: — Pojman u Włodkowéj
Samko Zborowski. W starościńskim domu
Siedzi uwięzion i niepewien głowy.
Bo też ją nosił, aż strach, jak wysoko!
A choć bannita, nie lękał się w oko
Zajrzeć królowi i prawu urągać,
Buntowne kupy na granicach ściągać,
Z carem, Rakuszą, zachodzić w konszachty,
Huczno, buńczuczno, po kraju się zwijać,
Z długim ogonem popleczników, szlachty,
Najeżdżać dwory, klasztory rozbijać.
Tak to mówiono, i znów inne wieście
Szerzyła partya przeciwna po mieście:
Że kanclerz dumny chce rej w Polsce wodzić,
Wszak i tak z królem zaszedł w krewne związki;
Że chciałby ścięciem téj jednéj gałązki
Republikańską szlachtę w łeb ugodzić.

Lecz wracam. W wieczór z piątku na sobotę,
Ruch się na zamku stał wielki; hajduki
Precz rozganiali uliczną hołotę,
Co się tłoczyła z okrzyki i huki.
Gdy rum zrobiono, szmer powstał u brony:
„Kanclerz! ot kanclerz!" — i szereg ściśniony

Węgierskich drabów na dworzec się wtłoczył;
Z tego, znów mniejszy orszak się potoczył,
Ku drzwiom od wieży. We środku orszaku
Szedł kanclerz; znać go z pióra na kołpaku,
Co siało dyamentowy odblask w cieniu.

A cóż tam wewnątrz? Zajrzyj w okno, ptaku,
Coś gniazdo uwił w okiennem sklepieniu,
Zajrzyj i powiedz!

Zgiełkiem na podsieniu
Samuel zbudzon; we drzwi wzrok utopił;
Zimny pot czoło wyniosłe mu skropił —
Otarł i słuchał; choć bicie krwi w skroni
Wrzawy zmieszanéj odróżnić mu broni,
Jednak wstał, czekał—aż wrzeciądz zadzwoni;
Wszedł Uhrowiecki, zamku podstarości,
I rzekł: — Przychodzę oznajmić waszmości,
Boś o to prosił, że jutro o świcie
Gardło dać musisz. —

— W sam czas przychodzicie!—
Odparł szydersko, i czynił wyrzuty,
Że ledwo godzin kilka do pokuty
Zostaje, że chcą duch zgubić jak ciało,
Jakby jednego było jeszcze mało
Zemście kanclerskiéj!

I po tym wybuchu
Znać, że z myślami pasował się w duchu;
Bo długo chodził, niemy jak opona,
Wtórując krokom jękiem z głębi łona.
I choć obecny Mroczek rotmistrz pieszy,
Co rad zabawną krotochwilą śmieszy,
Trzykroć zagabał, — nie dał odpowiedzi,
Tylko: — Idź duszko w piekło bez spowiedzi!—
Ciągiem powtarzał, bił czoło, darł włosy,
Potém przeklinał siebie, ludzi, losy.
Widząc to Mroczek, jął hamować srogą
Rozpacz grzesznika; cytował rzecz mnogą

Z Pisma Świętego: jako się nie godzi
Wątpić o łasce bożéj, o zbawieniu;
By nie był wątpił i on Judasz złodziéj,
Byłby niechybnie uszedł potępieniu:
Ale, że wątpił, więc w piekło po uszy.
A tenże inny przykład czy nie wzruszy:
Łotra i Piotra? Obaj, acz zgrzeszyli,
Przecięż zbawieni — czemu? nie wątpili. —
Krótka przemowa, widać, wzięła skutek,
Bo z twarzy więźnia spełzał gęsty smutek,
By cień, rzucony od przepaści piekła,
I rozkajania długa łza pociekła,
A ciekąc, hardą zginała mu postać,
Rozkrzyżowała ręce, w kurzu zmyła
Czoło tak dumne, iż się nie mógł ostać
Żaden ze straży (a było ich siła),
By równie z więźniem nie padli na ziemię,
Pomagając mu dźwigać grzechów brzemię.

Gdy się to dzieje, znowu drzwi zaskrzypią:
Wszedł Uhrowiecki, a za nim się sypią:
Pan Drohojewski, Żółkiewski oboźny,
Siostrzan kanclerza; w ręku trzymał groźny
Miecz obnażony; a za tym orszakiem
Wszedł i pan kanclerz z gotowym półhakiem.
Stołek wniesiono za jego miłością,
Usiadł i przygryzł usta sine złością,
A z oka patrzał tryumf źle ukryty.
I z powitaniem rwało się z pod wąsa
Słowo Stefana króla, że: — Nie kąsa
Wściekły pies, Samku, kiedy raz zabity!
Ja cię zabiję! Kanclerz życiem trząsa!—
Lecz się zhamował, snadź wstydny popędu,
I zaczął słodziéj, coś niby z urzędu,
Niby z przyjaźni: — Ej Samku! Ej Samku!
Myślałeś sobie, żem ja pan na zamku
Tylko krakowskim? Wszak długie mam ramię,
Co ja nie złamię, tego nikt nie złamie.

Bardzoś mi bujał, wpadłeś na ostatku.
Przyznaj: mężniejszym od ciebie, mój bratku?—

— Co? ty mężniejszy? ryknął jak żubr w puszczy,
Gdy go strzał utnie — kędyś je okazał,
To męztwo twoje? czy, gdyś imać kazał
W śnie bezbronnego twéj ceklarskiéj tłuszczy,
Co dom napadła szlacheckiéj matrony?
Pięknyś mi hetman i kanclerz Korony!—
— Piękny, niepiękny, lecz wilczek wpadł w jamę.—
— Nietwój to fortel! Grzechy moje same
Tak mię związały! Już się nie nadymaj,
Trzymasz wilka za uszy, to go trzymaj,
A nie myśl, żeś już wygrał; nie gołębie
W oném gniazdku zborowskiém, lecz Jastrzębie:
Nad wszystko ścierwo smaczne im— Jelita. —

Kanclerz się zerwał i za półhak chwyta,
Iskrzącém okiem w pierś więźnia zcelował,
Lecz przypadł Drohojewski i zmiarkował.
— Dziękuję! odparł, jak gdyby żałował
Popędu gniewu — byłoby za rychło. —

A gdy po chwili wrzenie krwi ucichło,
Zaczął z powagą: — Już wiesz co cię czeka.
Podróż choć krótka, a przecięż daleka.
Trzeba, byś sprawił z grzechów się przede mną!—
— Tyś nie spowiednik! Spuść mię już z tych pytek!
Czas mój obrócę na duszny pożytek.—
—Nic nie pomoże. Mów, czemuś tajemną
Przedsiębrał drogę i czynił zasadzki?
Co znaczy język w liście świętokradzki
Przeciw królowi? Kogo zwiesz Baalem?
O coś tam w Lubku targował z Moskalem?
Mów, mów! połowę winy zmażesz żalem. —
A pan Samuel wciąż na to: — Przez Bogi!
Puść mię i nie męcz! —
Lecz kanclerz by głuchy
Pytał: — W Benderze kto narobił trwogi?
Kto to podszczuwał niżowskie rozruchy?

Jaka to trójka na zborowskiéj trawie?—
I wiele jeszcze; nie spisałby prawie
Na woléj skórze wszystkiego co badał:
Z kim bywał, jeździł, co robił, co gadał?
A znał dokładnie miejsce, rok, dnia datę,
Nieledwie jaką kiedy nosił szatę,
I jadł potrawę. —
Pan Samuel z razu
Żwawo odcinał, lecz kiedy mu z cicha
Kanclerz na ucho szepnął pół wyrazu,
Stanął jak wryty, z twarzy spełzła pycha,
I choć go cisnął pytaniem, zgryzł wargi,
Skrzyżował ręce; podobien do głazu
Stał w obec sędzi bez gniewu, bez skargi,
Nie już jak hardy przeciwnik przed głównym
Wrogiem i z rodu szlachcicem mu równym,
Lecz jako chłopię, które ojciec łaje.
Widać, że w duszy bitwę stoczył trudną,
Gdy twarz w oziębłość przybrał nieobłudną.
Wyrok przyjmuje, do win się przyznaje,
I nawet kiedy kanclerz mu podaje
Papier, i mówi: — Pismem własnéj ręki
Napisz: Samuel Zborowski, — napisał!
Wszystko tak robił jakby to nie męki,
Gdy inkwizytor krew z niego wysysał:
Gdy sławę w Siczy nabytą darł w sztuki,
Toż pod Toropcem i Wielkiemi Łuki,
Gdy zmuszał winy kłaść łasztem na braci,
Gdy się przysięgał, że ich ród zatraci,
Ród taki dawny! Jakby żart był lekki,
Potępić dom swych Jastrzębców na wieki!
Kanclerz z tryumfem odchodził — wszak w szkole
Włoskich mataczy ćwiczon, umie w pole
Bystrzejszych wywieść, nie dopiero taki
Umysł dziecinny, z dymu i płomieni,
Coby rad tylko mieć skrzydła jak ptaki,
I bujać, szaleć bez końca w przestrzeni,
Któremu szkołą tabór, a przygody
Wojenne mistrzem, szabla i rumaki

Książką, a zawsze serce w piersi młodéj,
Tęskniące wciąż do sławy, do swobody,
Lepsze niż głowa. A winy? a zbrodnie?
Gdy gmachy gorą, wiemyż, kto pochodnie
Pod dach podłoży?
Pustą stała izba;
Ale więźniowi duszno, jakby ciżba
W około niego; jakby gniotła zmora —
I na ramię spadała głowa chora —
I westchnienie się rwało, jakby brakło
Płucom powietrza; a może też łakło
Wnętrzne uczucie widoku innego,
Równin bez granic, sklepienia jasnego?
Bo nagłym ruchem zbliżył się do kraty,
Otworzył szyby....
Ulewa na dworze
Majowa szumi; wiatr nanosi szmaty
Chmur czarnych; miesiąc chowa się rogaty;
Gwiazdy zgasają. A Kraków, jak morze,
Ryczy wód szumem i piorunów biciem.

Więzień zbladł wszystek, czoło zgiął w pokorze,
— O, znam cię burzo! mowił — tyś przed laty
Na Czarném morzu darzyła mię życiem,
Które zapłacił swą skruchą kto inny —
A jam tak milczał, jeden może winny!
A jam wzrok chował przed widmem, co w dali
Wciąż za okrętem, wciąż po szczytach fali
Goniło z jękiem, głośniejszym nad szumy
Bałwanów, majtków wrzaski, skrzyp okrętu;
Lecz nie głośniejszym od krzyku méj dumy!
O! czemum w głębiach morskiego odmętu
Grobu nie znalazł? Wyrok padłby z nieba,
I dni mi dożyć nie byłoby trzeba
Takich jak dzisiaj — o! jak dzień dzisiejszy,
Dzień poniżenia, hańby — okrutniejszy,
Niźli to jutro z mieczem i oprawcą!
A przecięż mogłem sam być swoim zbawcą!
Trochę pokory brakło, dużo wiary!—

Wtém też i burza minęła. Obszary
Szafirowego nieba z chmur się czyszczą;
Znów księżyc świeci, znowu gwiazdy błyszczą;
I więzień dumał: — Ot, pogoda znowu!
Tak samo było, gdyśmy do Ostrowu
Tentry przybili. Nic się nie zmieniło,
Tylko jak teraz, z nieba nie świeciło
Kilka promyków w moją duszę smętną,
Wówczas tak zimną, dziś nieobojętną.
Bo tu coś szepcze, że te nasze blaski,
To zdrój widomy zstępującéj łaski. —

I długo z gościem bawił się promiennym,
Wyciągał ręce, rozkwilał, uśmiechał,
Rzekłbyś, że mówił z kim w widzeniu senném,
I wciąż ku jednéj stronie patrząc, wzdychał,
Z razu ciężko, znów wolniéj, urywkowy
Toczył monolog; coś dłońmi odpychał,
By widmo: — Precz ztąd! przepadaj! och, z głowy
Krew—krew— tu pryska. — Co robisz tam w bramie?
Czemu oczy zawracasz? — kto zabił?—o kłamie!
To nie ja.—Jednak, w tumulcie — niechcący —
Na Boga! zamkniéj tę czaszkę — gorący
Na mnie żar bucha.—Przebacz! Bóg przebaczy—
Czego chcesz, czego?—ha, trup! w piekło haczy—
Nie! nie — to anioł, z nieba palcem ręki
Wieniec wskazuje — i narzędzia męki.
Z obłoku słyszę — cyt! słodkie wołanie:
„Masz przebaczone!" — Panie! Panie! Panie! —

Martwy na poły więzień upadł twarzą.
Modli się — szmer był przy drzwiach między strażą.
— Niechaj się modli! mniéj też będzie dłużny
Panu czartowi. Najlepiéj wór próżny
Brać z sobą, prosić niebieskiéj jałmużny;
Niech każdy święty dobre słówko włoży,
Klucznik niebieski zaraz drzwi otworzy. —

Gdy tak gadano, aż oto i dzionek
Zagląda w szyby. Z małżonką małżonek

W gniazdku jaskółczém na gzemsie go wita,
Szczebiocząc, życiem cieszy się — nie pyta,
Czy ktoś za ścianą w podobnym przyśpiewku
Zwita poranek, i ułoży sobie,
Gdzie latać przez dzień? na którém siąść drzewku?
Dla niego taki dzionek nie zaświta!
Przyjdźcie mu śpiewać, jaskółki, na grobie.

KNIAŹ DYMITR WIŚNIOWIECKI.

Kniaź z Wiśniowca w Jedykule,
Za kratami, na barłogu,
Znosi ciężar mąk nieczule,
Poprzysięga mścić na wrogu—
Jakby jeszcze na niewierne
Stepem hufce wiódł pancerne,
Przy surm wrzawie i dum pieniu,
Jakby nogę czuł w strzemieniu.
A tu stepem—cztery mury,
A dumami—jęk ponury,
A drużyną—małe chłopię...

—Hej pacholę! co ty tużysz?
Już nic u mnie nie wysłużysz;
I ja z tobą nie wytropię
Wroga w stepie, ni zatopię
Bissurmańskie w Dniepr galary...
Dość mi dałeś, dość swéj wiary,
Dość dzieliłeś lichą dolę,
Wróć pacholę na Podole!—

—Kiedy łowiec w wilczéj jamie,
Gdy cięciwa pryśnie w kuszy,
Siada sokół wiern na ramię,
Wierna strzała się nie ruszy.
Ja ci strzałą, ja sokołem—
Nie powrócę; cierpmy społem.—

Przyszedł sułtan z pychą pawia
I tak kniazia sam podmawia:
—Dam ci córę jak dzień jasną,
Dam ci skarbów co niemiarę,
Tylko porzuć wiarę własną,
Muzułmańską przyjmiéj wiarę.
—Piękna córa, skarb bogaty,
Ale wiara twa za katy!—
—Ha! psa giaura weźcie, weźcie,
I za żebro go powieście!—
Już to trzecia wschodzi zorza,
Na Gałacie, gdzie kraj morza,
Kniaź na haku się kołysze,
W oczach zemstę Turkom pisze.
Patrzy w morze, to na szlaki:
Nie pancerneż ciągną znaki?
Czy nie czajki? Ciężko wzdycha—
Usta krzepną, mówi z cicha:
—Oj pacholę wierne, młode,
Wracaj, wracaj na swobodę!—
—Ja ci strzałą, ja sokołem—
Nie powrócę, gińmy społem.
A kniaź oczy wiódł ponure:
—Widzę w sadzie, winogradzie,
Trzy sokoły przeleciały,
Trzy rarogi jasnopióre—
Héj pacholę! daj trzy strzały;
Czy zostało mi sił wiele?
Czy w co zmierzę, to ustrzelę?—
I sułtana zmierzył—w ciemię,
A sułtankę—w samo brzemię,
A dziewicę— w samo lice!

Trwoga bije w Carogrodzie:
Co dokazał Lach na haku,
Cóż dokaże na swobodzie!
Sto strzał w niego wystrzelili,
Z piersi serce wydobyli,
Zjedli serce po junaku.

ŚWITEZIANKA.

FANTAZYA DRAMATYCZNA.

OSOBY:

Książę.
Janusz, syn jego.
Maryla.
Donna Antonia.
Maska.
Joasia.
Fani.
Królowa Palmiry.
Pokojowiec.
Rybak.
Goście płci obojéj w maskach i bez masek.
Służba dworska. Orszak królowéj. Okręt.

(Scena nad brzegiem jeziora i w zamku księcia).

PROLOG.

(Wieczór jesienny — księżyc wschodzący nad borem oświeca romantyczną okolicę jeziora Świteź. W oddaleniu widać na wzgórzu wspaniały zamek).

PANICZ w zielonym stroju myśliwskim, ze strzelbą na plecach, wypada zdyszany.

Przecięm się wyrwał z salonowych nudów!
Serce mi biło tak do twoich cudów,

Siostro Świtezi! a dusza tak rzewnie
Do swéj Maryli tęskniła, że pewnie
Byłbym gdzieś zemdlał wśród moich mentorów
Starych kuzynek i ojców przeorów...,
Bo też jak na złość obsiedli mię w kącie,
Prawiąc przestrogi: jak się mam zachować
W podróży, jak się z pieniędzmi rachować,
I Bóg wie nie co — a na horyzoncie
Słonko jesienne coraz nikło, nikło...
Szczęściem z podwórza kilka głosów krzyknło:
„Kot! kot!" jam skoczył ciotkom przez robrony: —
— Hajże go! hajże! i jak oparzony
Torbę myśliwską porwał, zdjął rusznicę,
I co tchu biegłem na te trzęsawice,
Pożegnać Świteź — pożegnać Marylę...
Z całéj wieczności dnia, zaledwo tyle
Mogłem oderwać, by w tém krótkiém mgnieniu
Nabrać w pierś życia na trzy długie roki,
Co dzień malować w tęsknem przypomnieniu:
Marylę—Świteź—ten wieczór—obłoki.
Przeklęty odjazd! tak mi nie na rękę —
Ale cyt...—

(Przysłuchuje się).

Ona! — Widzę jéj sukienkę
Za krzaczkiem łozy — Marylko!

DZIEWCZYNA wybiegając.

Ach! kto ty?

PANICZ.

To ja, kochanie!

DZIEWCZYNA rzucając mu się na szyję.

Jasieńko mój złoty!
Czemuż tak późno? miesiąc już nad lasem,—
Czy Jasio kochać nie przestał mię czasem?

PANICZ.

Och, nie mów tego—jam w takiéj rozpaczy!

DZIEWCZYNA.

Ty mój kochanku?! Czy nie masz Maryli,
Byś smutek wylał? wylejże go, wylej! —

PANICZ.

Nie śmiem...

DZIEWCZYNA.

I czemu?

PANICZ.

Może nie przebaczy
Maryla?

DZIEWCZYNA.

Wszystko! oprócz jednéj zdrady.

PANICZ.

O to się nie trwóż, gołąbko!

DZIEWCZYNA wpatrując się w niego.

Jakiś blady!
Czy nie udało ci się polowanie?
Kaczki nie ciągły? lisaś nie wytropił?
Możeś nie dospał? nie dojadł? nie dopił?
Może ci się już sprzykrzyło kochanie?

PANICZ,

Nie, nie, nie!

DZIEWCZYNA.

Więc cóż? Dawniéj to bywało
Miałeś serce na dłoni...

PANICZ z westchnieniem.

A jednak kłamało!
Wstydzę się...

DZIEWCZYNA.

Jak to? Więc wszystkie zaklęcia
Na stałość, wierność, były chytrém sidłem
Na złowienie prostego dziewczęcia?
A jam myślała, że przy twoim boku

Jak pod anielskiém bezpieczno mi skrzydłem?
Och! och!

(płacze).

PANICZ.

Ty płaczesz? zatrzymaj łzę w oku
Na prawdziwsze nieszczęście!

DZIEWCZYNA.

O, nie może
Być już prawdziwsze!

PANICZ.

A ja się założę,
Że jest...

DZIEWCZYNA.

Dobij mię!

PANICZ.

Cokolwiek krwi chłodnéj,
A powiesz sama, żem litości godny,
A nie wyrzutów.

DZIEWCZYNA ocierając oczy.

Słucham.

PANICZ.

Więc się dowiedz:
Żem ja nie sługa, nie ubogi łowiec—
Wszystko udanie—jam książęce dziecko,
Ot, z tego zamku! Przybrałem prostaczy
Ubiór, bom sądził, że trudno inaczéj
Trafić do ciebie...

DZIEWCZYNA.

Trafiłeś zdradziecko!

PANICZ.

Prawda! lecz zdrada łatwo się wybaczy,
Kiedy na końcu po miłosnéj próbie
Mialem cię zrobić księżną..

DZIEWCZYNA.

Próbnie lubię.
Czemuś od razu prawdy nie powiedział?
Byłabym nigdy w ten niezmierny przedział
Nie ciskała miłości!

PANICZ.

Siłą woli
Młodzieńczéj zgładzę przedział między nami
Tatuś mój dobry na wszystko pozwoli,
Wreszcie majątek za trzy lata da mi
Cały, ogromny. Wtenczas ślub nas złączy.

DZIEWCZYNA

Zobaczysz Jasiu, że to źle się ukończy...
Trzy lata! Serce zapragnie odmiany.
Ty panicz—w samych rozkoszach chowany
Zdepczesz mię, trawkę, gdy po kwiat różany
Sięgniesz. Na Litwie pełno ślicznych róży!

PANICZ.

Ej, co mi Litwa! Od jutram w podróży;
Na lat trzy jadę w zagraniczne kraje
Poznać, co robią inne tam narody.
Na myśl rozstania serce mi się kraje!
Ale cóż począć! trzeba się do mody
Stosować w świecie. Ztąd odgadłaś smutek
Na mojém czole. Żegnać się przychodzę —
Jadę przed wschodem.

DZIEWCZYNA.

Myśl tam o niebodze.

PANICZ.

Tobą żyć będę.

DZIEWCZYNA zrywa pęk kwiatów.

Ten pęk niezabudek
Weź na pamiątkę. One ci przypomną,
Że tu Maryla z miłością niezłomną
Czeka na ciebie.

(Z prośbą:)

Przynajmniéj co doba
Raz, spojrzyj na nie. Lecz jeśli przypadkiem
Myśl twoją inna zaprzątnie osoba,
Bukiet się zmniejszy zaraz jednym kwiatem,
A ja z powrotem kwiatuszki policzę.

PANICZ wesoło.

Dowcipny pomysł! kontrola w miłości...
Nie bój się! wszystkie powaby dziewicze
Tyle obchodzą mię, co przeszła zima.
Jasio cię kocha—Janusz ci dotrzyma.

DZIEWCZYNA chwiejąc głową.

Trudno!

PANICZ.

Nie uwierzysz?

DZIEWCZYNA.

Już wierzę. My prości
We wszystko wierzym—lecz wy, tak niestali...

PANICZ dobywając noża.

Więc ci przysięgnę na ostrzu téj stali,
W obliczu nieba, tych gwiazd...

DZIEWCZYNA, kładąc mu rękę na ustach.

Ciszéj, ciszéj!
W złą wymówisz godzinę, duch usłyszy
Jaki piekielny, zapisze przysięgę.

PANICZ, ze wzrastającym zapałem.

Więc ci na piekieł przysięgam potęgę.

DZIEWCZYNA.

Jasiu, mój Jasiu! czy słyszysz?—szum głuchy
Między drzewami—na wodach? to duchy
Łowią w powietrzu słowa. Ach, ja zginę
Z tobą Jasieńku, gdy zdradzisz...

PANICZ, z mocą.

Nie zdradzę.
Umiem dotrzymać, jeśli się usadzę!

DZIEWCZYNA.

Pamiętaj!

PANICZ obejmując za szyję.

Teraz pierwszego całuska.

DZIEWCZYNA.

Ot masz... Bywaj zdrów!

PANICZ.

Zaczekaj!

DZIEWCZYNA.

Ha! pluska
Srebrzysta pręga przez wodną głębinę—
Bądź zdrów!

PANICZ.

Nie puszczę.

DZIEWCZYNA, wskazując ręką do góry.

Widzisz te mgły sine
Nad lasem?

PANICZ, odwraca się od niéj; ona znika.

Widzę—bardzo osobliwe!
Niby moskiewski rysak, długą grzywę
Na wiatry puścił; w sankach siedzi gwiazda,
Księżyc jak zwoszczyk wiezie—to mi jazda!
Takbym chciał ciebie, powozić, ty rybko!
Nie prawdaż? mówże!...
(Okręcając się w kółko.)
Znikła!—Marylo!!—choć jedno ściśnienie!
Milczy—figlarka zręcznie psoty płata...
(Patrzy na jezioro.)
Nigdzie ni słychu—jezioro w pierścienie
Rozpryska; czarne krzyżują się cienie,
I coś tam w bieli nad falmi ulata...
(Oddala się wolno w zamyśleniu.)
Co też się stanie z nami za trzy lata?!...

SCENA PIERWSZA.

BAL W PAŁACU KSIĘCIA.

(Salony oświetlone—marmurowe kolumny—ściany zwierciadlane. W głębi na wywyższeniu muzyka. Goście przybywają: jedni w zwyczajnych balowych ubiorach, drudzy w maskach tworzących historyczne gruppy. Wesele krakowskie, górale, kozaki, arlekiny i różnego koloru domina. Po lewéj stronie gruppa mężczyzn; po prawéj Janusz, przy drzwiach szklanych, prowadzących na taras, stoi odwrócony i patrzy na wschodzący księżyc nad jeziorem).

LEWA STRONA.

PIERWSZY MĘŻCZYZNA.

Coraz przybywa gości—jakie stroje!
Pióra, brylanty, tyftyki, zawoje!
Sadzi się szlachta.

DRUGI.

W naszéj okolicy
Bal niesłychany; nawet i w stolicy
Sam król nie mógłby zawsze tak wystąpić.

TRZECI.

Stary też książę lubił ciągle skąpić!
Dziś za to...

CZWARTY.

Panie! Dogódź ciekawości:
In gratiam czego te okazałości?

TRZECI.

Jak to? pan nie wiesz?

CZWARTY.

Nie wiem, choć się bawię.

TRZECI.

Wszak książę Janusz wrócił! Lat trzy prawie
Bawił w Wenecyi, Paryżu, Londynie.
Patrz! stary książę rozpływa się w synie.

PRAWA STRONA.

(Janusz zamyślony, książę zbliża się do syna.)

KSIĄŻĘ.

Co ci to dziecko? jak nieswój wyglądasz.
Mów, mów, czy jeszcze czego po mnie żądasz?
Uczynię.

JANUSZ.

Papo! tyś się wydziedziczył
Dla mnie z majątku, z władzy; tyś wyliczył
Summy w gotówce, zbierane tak skrzętnie—
Trzebaż mi więcéj?

KSIĄŻĘ.

Czemuż tak niechętnie
Przyjmujesz gości? grzecznym być wypada.
Wszak to sproszona synu, maskarada,
A nie za pieniądz...

JANUSZ.

Owszem, mnie to bawi...

KSIĄŻĘ.

Bądźże, bądź wesół!

JANUSZ.

Niech papa zostawi
Mnie choć na chwilkę; spazmy mię tak męczą!

KSIĄŻĘ, uśmiechem wskazując kobiety.

Widzisz, kobietki do ciebie się wdzięczą—
Jedna w stroju wieśniaczki mruga na cię,
Bierz się, bo żwawa.

(Odchodzi.)

JANUSZ.

Z Bogiem, stary gracie!
Tak znudził! wszystko nudzi mię tu razem!
Kobiety zimne. Stokroć lepiéj z glazem
Mieć do czynienia niż z szlachcianką, co to
Na cztery nogi kuta twardą cnotą...

(Widząc zbliżającą się wieśniaczkę.)

Czegoż ta znowu? zaczepię ją...
(Głośno:)
Masiu!
Daj rączkę, zgadnę kto jesteś?

DZIEWCZYNA.

Ej Jasiu!
Próżna fatyga.

JANUSZ.

Po błękitnych oczach
Jak niezabudki, po jasnych warkoczach
Wniósłbym, że jesteś..

DZIEWCZYNA, przerywając.

Lubisz niezabudki?

JANUSZ.

Dosyć.

DZIEWCZYNA.

Nosisz je?

JANUSZ.

Był raz moment krótki
Żem na sercu nosił. Czcze wybryki!
Gust taki nie wytrzyma dziś krytyki.

DZIEWCZYNA.

Doprawdy? Ni jednego nie masz kwiatka?

JANUSZ.

Czy to gra w niezabudki?

DZIEWCZYNA.

Nie. Zagadka.

JANUSZ.

Zagadka i maseczka. Sęk dwojaki.

DZIEWCZYNA.

Czy lubisz wieczór?

JANUSZ.

Jak który.

DZIEWCZYNA.

Ot taki

Jak dziś, jesienny?

JANUSZ.

Lubię, gdy wesoło

Schodzi mi...

DZIEWCZYNA, wskazując ku jezioru.

Ot tam?

JANUSZ, pomieszany.

Tam? tam?

DZIEWCZYNA.

Ha! trzesz czoło,

Jakbyś przywołać chciał pamięć leniwą?

JANUSZ.

O, nie!... Tak—temu trzy lata—dość żywo
Jedna mi scena odbiła się w duszy...
(Zamyśla się—dziewczyna znika w tłumie).
Ej co tam myśleć!—Taniec mię ogłuszy—
Czy tańczysz Masiu? stańmy w pierwszéj parze...
(Nie spostrzegając jéj:)
Znikła jak widmo. Same dzikie twarze.
Nie ma w czém wybrać z figur: czyste pniaki—
Głosy piskliwe i ręce jak raki...
W grze hazardownéj mógłbym mieć rozrywkę—
Lecz szlachta gola: zgra się, stawi dziewkę
Ze wsi na kartę—nie ma szansy żadnéj.
(Z głębokiém westchnieniem:)
Biedny ja książę, pan szerokowładny!

LEWA STRONA.

INNA GRUPPA MĘŻCZYZN.

PIERWSZY.

Otoż mospanie odprawił ją z kwitkiem,
Choć się mizdrzyła...

DRUGI.

Snadź znudził się zbytkiem.
Dziśbym nie poznał. Chłopak był jak róża;
Teraz twarz blada, oko się zachmurza,
Jakby w nim wszystkie wygorzały żądze.
O już to nie ten Janusz co był, sądzę.

PIERWSZY.

Obce powietrze.

TRZECI.

Mówią, że mozoły
Książkowe.

CZWARTY.

Alcż jaki niewesoły!
Usiadł, by sułtan, nudzi się—ach, ziéwa!

DRUGI.

Po Rzymach, Wiedniach, zwyczajnie tak bywa.

CZWARTY.

Wspaniała feta, ale brak zachęty:
Gospodarz stary, syn bardzo nadęty.

DRUGI.

Snadź nie znajduje dla siebie kompanii:
Wszystkie piękności nasze w czambuł gani.

PIERWSZY.

Ba, nie! Widzicie jak ramię pod ramię
Rad szarmantuje aksamitnéj damie,
Z alabastrowym gorsem! Kibić cudna!
Szkoda, że maska kryje ją obłudna.

DRUGI, z ironią.

Jeżeli szpetna, nic zdejmie jéj snadnie;
Jeśli przeciwnie, ręczę, wszystko spadnie.

TRZECI.

Teraz w tłum znikli..

PIERWSZY.

Wiąże się intryga.
Do buduaru wchodzą—rączka miga
Od twarzy... Patrzcie naprzeciw zwierciadła:
Z tajemniczéj piękności maska spadła.

SCENA DRUGA.

GABINET KSIĘCIA JANUSZA.

Janusz wprowadza Antonię, która trzyma maskę w ręku.

JANUSZ.

Kocham siniorę, kocham jak szalony!

ANTONIA.

Mamże uwierzyć?

JANUSZ.

Na ślepo.

ANTONIA.

Androny!
Czy mi to jeden przysięgał, a zdradził.

JANUSZ.

Jam cię na wieki kochać się usadził.

ANTONIA, wskazując zwitek w ręku Janusza.

A toż co w ręku? czy bilecik słodki?

JANUSZ.

Wiersze... w zapale złożyłem dwie zwrotki.

ANTONIA.

Jesteś wierszopis?

JANUSZ.

O gdzie tam! od wczora
Cierpię splin jakiś—serce, głowa chora,
Szukały ulgi...

(Z uniesieniem lirycznem:)

Ale ty, o bóztwo!
Budząc w méj piersi takie uczuć mnóztwo,
Wyrzecz: że kochasz—zostanę poetą!

ANTONIA.

Upadam do nóg! pod smutną planetą
Poeci wszyscy gdzieś rodzić się muszą.
Na sentymenta mózgi sobie suszą;
Każdemu trzeba kochanki z księżyca—
W słowach i czynach zawsze tajemnica,
Nic prosto z mostu—a to na śmierć nudzi,
Nie wiem jak kogo, ale mnie. Do ludzi
Trza być podobnym, to może się zyska;
Lubię galanta, kiedy szablą błyska
I laury zbiera choćby na sejmikach...
Amorki rade siadać na wąsikach.

JANUSZ, zdejmując kord ze ściany.

Więc chcesz? do korda zaraz się przywiążę.
(Na stronie).
Rymy na potém.

ANTONIA.

Prześliczny§, mój książę

JANUSZ.

I tyś przecudna! Ta szata balowa
Tak ci do twarzy! Żaden się nie chowa
Kształt pod fałdami: wydatne, choć skryte!...
Taką gdzieś z morza wyszła Afrodyte.

ANTONIA.

Nigdy tak książę nie mówiłeś grzecznie...
Czy mię przestajesz kochać?

JANUSZ.

Kocham wiecznie!
I nie od wczora kocham. Jak czas leci!
Będzie rok temu—pamiętam, w Wenecyi
W Świętego Marka kościele, o mroku
Chodzę jak błędny—a czucia w natłoku

Nigdzie nie mogą wylać się, zawisnąć...
Szalony! chciałem choć posąg przycisnąć
Pierwszy lepszy do serca—byłby ożył.
Dość, żem całunek, patrz, ot taki—

(Całuje ją)

złożył

Jakiemuś doży... Gdy wtém za kolumną
Spojrzę—ktoś klęczy schylony nad trumną:
Kobieca postać w kirze, by Kanowy
Dłótem wykute rysy ślicznéj głowy
W promyku się kąpały, co z szyb padał;
Obraz ten, jakże w duszy mi zagadał!
Toś ty, Antonio była! Próżno potém
Szukałem ciebie wszędzie, sypiąc złotem,
By ślad twój odkryć, wiedzieć choćby imię...
Traf niespodziany! spotykam cię w Rzymie
Na balu, pomnisz—u ambassadora.
Wszystko gasiłaś owego wieczora
Wdziękiem, dowcipem. Jak słońce na niebie
Świat obracałaś cały w koło siebie.
A teraz znowu—tu, na Litwie naszéj!...
Czy ty Sylf jaki? czy ciebie lot ptaszy
Przeniósł przez Alpy, śniegi, o mil tyle,
Na mój rodzinny zamek, w jedną chwilę?
O, nie chcę badać czar-li to, czy cudy?
Dość, że cię kocham szaleniéj niż wprzódy.
Czemu? Sam nie wiem—czy to wspomnień wina,
Czyżeś piękniejsza niźli każda inna?
Trudno rozstrzygnąć—dosyć, że goreję,
Miłość jest ziarnko, które wiater sieje
W sercu, by rosło—niechże sobie rośnie!
Bez ciebie, cóżbym znaczył w mojéj wiośnie?!
Dniby się wlokły, długie, zimne, mgliste
I nagie, jak te kasztany bezliste...
W śnie mego życia ty mi bądź marzeniem,
Duszy daj nieśmiertelność twém spojrzeniem.
Obok ciebie zapomnę świat i wszystko!
Mów co! Niechaj cię słyszę—tu—tu—blizko.

ANTONIA.

Książę każdą tak kochasz?

JANUSZ.

O, być może,
Kocham brunetkę, lecz w jasnym kędziorze
Gustuję także. Ze mnie istna pszczółka:
Dla trochy miodu ssę z każdego ziółka.
Lubię ogień oczu czarnych, błękit jasnych,
Zapału nie zamykam w sferach ciasnych—
Róża uśmiecha mi się—lilia wabi
Atłasowym połyskiem swych jedwabi.
I tyż to zdradą nazwiesz? przywidzenie!
Wszystkie te cuda, wierz mi, w jednéj cenie.
Tyś jest tą jedną.

ANTONIA.

Z wolna! jam zazdrosna.

JANUSZ.

Tém lepiéj.

ANTONIA.

Miłość nie ujmie mię sprosna.
Kto kocha, niech się żeni.

JANUSZ:

Chcesz? więc zgoda.

ANTONIA:

Ale natychmiast.

JANUSZ.

Tak nagle? Ej szkoda...

ANTONIA.

Natychmiast, mówię.

JANUSZ, do siebie.

Naciera!... — Zważ przecię...

ANTONIA.

Zważyłam.

JANUSZ.

Wszakże...

ANTONIA.

Tacy to na świecie
Wszyscy mężczyźni! Szalone z nas głowy,
Gdy możem wierzyć w ich szał romansowy,
W te piękne słówka, pajęcze sidełka,
W te szczytne cnoty, zwiększające szkiełka.
Małżeństwo kamień to na nich próbierczy:
Potrzéj nim serce, połysk przeniewierczy
Zniknie, a miłość owa złotoszczera
W podły kruszec się zmieni...

JANUSZ, oddychając.

Et caetera.
Podąsałaś się...

ANTONIA.

Czyż nie mam słuszności?
Powiedz, nie pierwszyś mówił o miłości?

JANUSZ, do siebie.

Łapie za słowa...

(Głośno:)

Potrzebneż te pęta?
Te śluby?

ANTONIA.

Miłość tak prędko poczęta,
Lekka jak ptaszek, oknem się wychwyci,
Więc ją za łapkę przywiązać na nici.

JANUSZ, przygląda się jéj z boku.

Śliczna z profilu! połknąłbym ją całą...

ANTONIA.

Zdradzonéj srodze cóż teraz zostało?
Śmierć jedna! jeśli litości masz trocha,
Odbierz mi życie...

JANUSZ.

Patrzcie! ona szlocha...
Widok ten zawsze napełnia mię trwogą.
Za człeka bez honoru wziąć mię mogą...
Lubko! uściskaj na zgodę — ot kwita.
Żenię się z tobą. Jak łania kobiéta.

ANTONIA.

Więc mię na prawdę kochasz książę?

JANUSZ, żartobliwie.

Muszę.
Niewiasta tak jak szatan bierze duszę.

ANTONIA.

Kiedyż wesele?

JANUSZ.

Nie czas zwijać żagle—
Jeśli mam głupstwo robić, zrobię nagle.
— Choćby dziś o północy, choćby we śnie...

ANTONIA.

Ten raj osiągnąć nigdy nie za wcześnie...

JANUSZ.

O! w saméj rzeczy.

ANTONIA.

Bądź zdrów!

JANUSZ.

Służę tobie.

ANTONIA.

Zostań! za chwilę w weselnéj ozdobie
Ujrzysz mię tutaj.

(Odchodzi)

SCENA TRZECIA.

JANUSZ, sam.

Cóż ze mną się dzieje?
Mnież to małżeńskie przechodzić koleje?
Mnie się żenić dziś jeszcze? Tom się złapał!
Mój Boże! gdzie nas nie prowadzi zapał.
Trzeba się było uprzeć, odpowiedzieć...
Teraz się żeń braciszku! — z kim? nie wiedzieć.
Awanturnica, z za świata gdzieś Włoszka,
Widziałem ją w Wenecyi, w Rzymie troszka.
Zczarowała mię — prawda, trudno taić.
Ha! do wszystkiego trza się przyzwyczaić;

Człek się na męża z czasem usposobi...
Kto zakochany, sam nie wie co robi.
Wreszcie i pora zarzucić kotwicę
Na morzu szaleństw, zakląć nawałnicę,
By nie miotała od rączek do rączek,
Od ust do ustek i z pączka na pączek.
(Dzwoni wchodzi pokojowiec.)
Dzisiaj ślub biorę.

POKOJOWIEC, zdziwiony.

Jasny pan ślub bierze?!

JANUSZ.

Leć mi natychmiast— wiesz, do Monsieur Léger,
Który z Warszawy przywiózł tu towary
Na te festyny. Niech mi fermuary,
Pierścienie, kolce, tyftykowe szale
I wszystko zniesie co tylko ma,— ale
Najkosztowniejsze, i w najlepszym smaku.
Rozumiesz?

POKOJOWIEC.

Lecę.

JANUSZ.

Najpierwsza w orszaku
Dumnych piękności naszych musi świecić,
W przygaszonych rywalkach zawiść wzniecić:
By mdlały, mówiąc: „Kocha ją szalenie!
Jakie brylanty, szale i pierścienie!"—
Śpiesz tylko!

POKOJOWIEC, wracając.

Jasny panie, w przedpokoju
Jakaś kobieta w masce, czarnym stroju,
Chce się widzieć.

JANUSZ.

Kobieta? O, prosić!

SCENA CZWARTA.

JANUSZ,—MASKA w czarném domino.

JANUSZ.

Jednak z tych wizyt mogłaby źle wnosić
O méj stałości — nuż łapkę zastawia?
(Spostrzegając wchodzącą:)
A cóż to znowu za cudo się zjawia?

MASKA.

Witam księcia Janusza.

JANUSZ.

Uniżony...

MASKA.

Moim widokiem zdasz się być zdziwiony.
Czy nie poznajesz?

JANUSZ.

Wyznaję otwarcie,
Że w tym stroju nie mogę.

MASKA.

O lamparcie!
Czyż wywietrzała tak prędko z pamięci
Owa maseczka u księżny Walencyi,
Zawsze na balach w różowém domino?
Coś ją tak prześladował—wspomnij ino—
Coś za nią szalał przez całe zapusty?
Rywalizował z tobą Anglik tłusty.

JANUSZ.

O, teraz przypominam: piękność rzadka,
A zawsze tajemnicza, jak zagadka;
Figurka mała, żywa i zgrabniutka —
Nigdym nie widział nic oprócz podbródka
I oczek. Jakie oczki! jaka rączka!
Już na wspomnienie pali mię gorączka,
O, byłbym za nią piekłu sprzedał siebie!
Z taką kobietą wszędzie masz jak w niebie.

Tylko, że nazbyt noska zadzierała...
Jak mówią, ma być siostrą kardynała.

MASKA.

Może się zmiękczyć.

JANUSZ.

O, nie spuści z tonu!

(Melancholicznie.)

Gdybym był królem, wzniósłbym ją do tronu.

MASKA.

Książę jak widzę nie w swoim humorze.
Mów: czy nie jakie zmartwienie, broń Boże?

JANUSZ.

Żenię się.

MASKA.

Żenisz? Więc mamy cel jeden —
Owa zagadka, jak mówisz, ów Eden,
Której wspomnienie dotąd cię czaruje,
Ja jestem!

JANUSZ, zmieszany.

Żarty!

(Do siebie:)

O nieba! zgaduję:
Pan Bóg mi zsyła Anioła w złym razie!

(Przypatrując się:)

Poznaję ją po szyjce, po wyrazie
Oczu dużych; kibić, rączka ta sama,
Dla której byś popełnił grzech Adama.

MASKA.

Kochasz mię jeszcze?

JANUSZ.

Mógłżebym się zmienić?
I gdyby nie to, żem przyrzekł się żenić
Z inną...

MASKA, ciągnąc go na sofę.

Usiądźmy! tak rozmawiać lepiéj —
Może też twoja pamięć się pokrzepi,
I przypomnisz...

JANUSZ.

Cóż, proszę?

MASKA.

Pomódz chcę ci.

(Wpatrując się w niego.)

Czy nie pamiętasz? Jaki frant z waszeci!
Przecięż na balu u księżny del Rocca —
Sama noblessa była tam wysoka.
Bawiono się wybornie aż do świtu;
Miałam domino na sobie jak i tu,
Domino czarne; poznałeś mię zaraz,
I gdy dla chłodu wybiegłam na taras,
Tyś przyszedł — w rękę obrączkęś mi włożył.

JANUSZ.

To prawda.

MASKA.

Ślubną.

JANUSZ.

Dziśbym się założył,
Żeś jest ta sama.

MASKA.

Widzisz, że nie kłamię...
A potém, potém wziąwszy mię pod ramię,
Recytowałeś: „Jam jest syn książęcy,
Mam kilka zamków, mam dusz sto tysięcy
W głębokiéj Litwie i na Ukrainie;
Jeziora, sady, knieje i pustynie
Takie rozległe, że najchyższy sokół
Za tydzieńby ich nie obleciał w okół."
Daléj: „Tyś we mnie wznieciła potężną
Miłość—jam książę— chcesz? zrobię cię księżną.
I gdybyś kiedy, przez kaprys miłości,
Zachciała dzielić ze mną te wielkości,
Ową obrączkę pokażesz mi złotą,
Słowa moje niezłomne."—Książę! oto
Obrączka twoja.

(Pokazuje obrączkę.)

JANUSZ.

Trudna, trudna rada,
Już teraz inna to słowo posiada.

MASKA.

Pierwsza przysięga zawsze więcéj znaczy.

JANUSZ.

I cóż mam począć? Widzisz, jam w rozpaczy!
Każdy twój wyraz sztyletem mię rani.

MASKA.

Zrywasz?

JANUSZ.

Niestety!!

MASKA.

Odpychasz?

JANUSZ.

Ach! pani!

MASKA.

Jakiż koniec!

JANUSZ.

Sam nie wiem..

MASKA.

A więc idę
Na świat cały roztrąbić twą ohydę!
Niech wszyscy wiedzą w stolicy, w powiecie,
Że kobieta u ciebie mniéj niż śmiecie,
Które wyrzucasz ze słowem na wiater,
Ni drugi Foblas romansów bohater.
Cóż, że nieszczęsna robi ci wyrzuty?
Śmiejesz się, z uczuć wznioślejszych wyzuty,
Bo wiesz, że słaba i niedoświadczona
Z nożem nie przyjdzie gadać ci do łona!
Gdybym mężczyzną była, wierz mi, za nic,
Za wszystkie mitry i włości bez granic,
Które posiadasz, nie chciałabym panie,
Być w twojéj skórze...

JANUSZ, zniecierpliwiony.

Amen, niech się stanie.

MASKA.

Gminby jak zdrajcę wytykał publicznie...

JANUSZ.

Żenię się z tobą — czy słyszysz?

MASKA.

To ślicznie!
Więc zgoda z nami? Teraz na podziękę
Żegnaj kochanku.

(Całuje go).

JANUSZ, zatrzymując.

Skończ przecię tę mękę
I odsłoń maskę: niech przed ożenieniem
Wiem, kogo ślubnym przykuwam pierścieniem.

MASKA.

W miłości, mówią, dobra tajemnica —
Dziś, o północy maska spadnie z lica,
Ujrzysz mię — tylko nie tak piękną może,
Jak sobie wyobrażasz.

JANUSZ.

O to się założę,
Żeś piękna — jednak w tak stanowczéj chwil
Chcę coś wiedzieć o tobie.

MASKA

Jam z Sewilli
Rodziców nie mam, tylko brat kardynał
Mną się zajmuje. Wielki oryginał!
Wyobraź sobie, chciał mię do klasztoru
Zamknąć, lecz życie przeniosłam u dworu.
Zresztą mój żywot wcale nieciekawy:
Podróże, bale, teatra, zabawy...
Cóż cię mam nudzić? Adieu! mój kochanku,
Za chwilę ujrzysz mię w weselnym wianku.

(Odchodzi)

SCENA PIĄTA.

JANUSZ, sam.

Otoż mam i dwie żony! Jeśli daléj
Wszystko, com kiedy kochał tu się zwali,
I przy lichwiarskim każda z nich stoliku,
Za drobne grosze umizgów bez liku,
Zechce mi ważną odpłacić monetą,
Mówiąc: „Książę ze mną się żenisz... Mnie to
Pierwszéj przysiągłeś... Ot, ten uschły kwiatek
Dałeś mi w wiecznéj miłości zadatek!"—
Jeżli tak każda przyjdzie — istny spisek!
Żon więcéj znajdę niż prorok hurysek!
(Do wchodzącego pokojowca:)
Co powiesz?

POKOJOWIEC.

Jakaś kobieta nieznana
Ten list przyniosła do jasnego pana.

JANUSZ, rzuca okiem na podpis.

Pewnie słodki bilecik — podpis Fani —
Czy nie ta, com najdłużéj szalał dla niéj?
Czytajmy:
„Książę! uciekam od świata,
Od ciebie mię klasztorna dzieli krata,
Lecz pierś wstrząsają dawne niepokoje,
Jak cień mój za mną chodzi widmo twoje.
Tak mi posępno! wierzyć w nic nie mogę!
Choć ramię krzyża wskazało mi drogę,
Ty mi ją rozświeć swojemi oczyma:
Tam Bóg nie może być, gdzie ciebie nie ma!"

Jakby gdzieś z Russa wyjęte. Poczciwa!
Jéj miłość często we mnie się odzywa.
By chrząszcz na szpilce gdzieś tam w sercu brzęczy...
Pamiętam — w oczach ma siedem barw tęczy.

SCENA SZÓSTA.

JANUSZ, JOASIA w ubiorze gryzetki z pudłami i pakami.

JANUSZ, poglądając na nią z niespokojnością.

Czy znowu?

JOASIA dygając.

Znowu? przecięż się nie mylę —
Na rozkaz pański, koronki, mantyle,
Perły przynoszę, pióra, naszyjniki,
Weselne suknie, z atłasu trzewiki —
Cudnie barwione wachlarze i kwiatki,
I rękawiczki dla młodéj mężatki.
Cała wyprawa, z sklepu Monsieur Léger —
Wszak jasny książę pan to wszystko bierze?

JANUSZ

Biorę.

JOASIA

Książę się żeni?

JANUSZ.

Ach! niestety!

JOASIA.

I cóż w tém złego, prócz życia podniety?

JANUSZ, do siebie.

Zachwycająca! wszystkie inne gasi...

(Głośno.)

Gdzieś cię znam.

JOASIA.

Któżby to nie znał Joasi?
Pewnie w Paryżu, w wielkim magazynie
Na St.-Honoré. Magazyn nasz słynie.

JANUSZ.

Zgadłaś! przeczułem twą blizkość z daleka.
Na przywitanie sonecik cię czeka.

JOASIA.

I panbyś myślał o mnie?

JANUSZ.

I jak jeszcze!
Twoim obrazem dzień i noc się pieszczę.

JOASIA.

Lepiéj o żonie myśleć.

JANUSZ

Szkoda czasu!
Przecięż my w świecie żyjem, nie wśród lasu,
Jak dzicy ludzie... Czy masz mię za dzika?

JOASIA, śmiejąc się.

O nie!

JANUSZ.

Więc za co?

JOASIA.

Mam za rozpustnika.

JANUSZ, melancholicznie.

Tak sądzisz? O nie! jam filozof serca:
Widząc jak w koło grassuje wydzierca,
Jak mimo walk ustawnych trwa niedola,
Jak w każdym ruchu skrępowana wola —
Wzgardziłem czczym połyskiem tych zapędów:
Sławy, poświęceń, dostojeństw, urzędów,
I błędném sercem goniąc za płcią twoją,
Od dumym się potrójną okrył zbroją.
Bo w kobiecie nadzieja świeci pewniéj,
Bóztwo w niéj utajone mówi śpiewniéj;
Ona, jak Anioł wiedzie nas w bezdrożu;
Ona, jak gwiazda na wzburzoném morzu.
Dotknę jéj ręki, i wiem dokąd dążę!
O, wierz mi, żaden skrupuł mię nie wiąże
Na rozkiełznanéj żądzy ziemię zbiegać,
Do mlecznych piersi jak dziecko przylegać.
Wszakże Bóg stworzył — sądy jego skryte!
Kwiat na uszczknięcie, na uścisk kobiétę.

JOASIA.

To mi to serce! od miejskich wrot szersze.
Znać, że poeta, a gdzie owe wiersze?

JANUSZ.

Ej! bagatelka.

JOASIA.

Ach, bardzom ciekawa!

JANUSZ.

Nie wiem czy dobre, czyś słuchać łaskawa?

JOASIA.

O proszę, proszę!

JANUSZ.

Nie będę się drożył.
Raz gdym cię ujrzał, w zapałem ułożył.
(Czyta:)
„Czarodziejko! włos złoty spływa ci po skroni.
Walczy z białością śniegu pierś i ramię twoje —
Ta bladość ci do twarzy. Cóż! kiedy się boję,
By miłość nie zagasła w oczu modréj toni!"

JOASIA, przerywając.

Ach panie! kto zaś widział, takie baśnie!
Dałeś blond włosy, ja czarne mam właśnie,
Oczy zielone, wymokłe jagody.

JANUSZ, niby roztargniony przegląda w towarach.

Wszystko bardzo gustowne, pierwszéj mody.

JOASIA.

Chce pan, mogę przymierzyć?

JANUSZ.

Jakeś grzeczna!

JOASIA, stroi się w dyadem i szal turecki.

Czy mi do twarzy?

JANUSZ, do siebie w uniesieniu.

Gwałtu! niebezpieczna!
Na pannę młodą patrzysz doskonale.

JOASIA, poważnie.

Mogę dać rękę.

JANUSZ, prowadząc do ust.

Na całus?

JOASIA.

O! wcale —

Nie ta myśl moja, co innego roję.
Wejdź tylko książę w położenie moje,
Z wszystkich położeń najbardziéj krytyczne;
Książębyś jeden mógł je zmienić w śliczne.
Oto mój ojciec za mąż mnie przymusza —
W tém nieszczęśliwszam od księcia Janusza,
Który sobą sam rządzi. Mój pan młody
Całkiem nie grzeszy przez zbytek urody.
Wyobraź książę: twarz czysto tatarska,
Włosy jak szczotka, postawa lichwiarska,
Mogłyby miłość wystraszyć na wieki,
Choćby jéj było tyle co na leki.
Słowem tak szpetny, tak szpetny, tak szpetny!
I to mój ojciec zowie: maryaż świetny!
Cóż radzić na to? myśl przyszła paradna:
Jeżeli żona pańska niezbyt ładna,
Więc się mieniajmy: my oboje razem,
A w drugiéj parze szpetność z swym obrazem.
I oni z siebie, my z siebie szczęśliwi...
Czy zgoda? książę coś trochę się krzywi?

JANUSZ.

Gdzie tam! dalibóg, na wszystko się piszę —
Koncept wyborny, pierwszy raz go słyszę.
Jam twój na zawsze!

JOASIA, odejmując różę z piersi.

Żegnaj kwiecie róży,
Panieństwa godło! niewolno cię dłużéj
Nosić przy sercu!

JANUSZ.

Rozkosz nad rozkosze,
Kto pierwszy ten kwiat uszczknie. Daj go, proszę.

JOASIA.

Będziesz mię kochał?

JANUSZ.

Anielska istoto!
Spojrzyj mi w oczy i nie pytaj o to.
Ty jedna jesteś z niewieściego rodu,
Coś mi przytknęła do ust czarę miodu,
Gdy inne samą poiły goryczą,
Istne szatany pod maską zwodniczą!

JOASIA.

Więc się nie zmienisz?

JANUSZ

Nigdy! pójdź na łono.

JOASIA, odpychając.

Nie teraz!

JANUSZ.

Kiedyż?

JOASIA.

Później...

JANUSZ.

Pójdź!

JOASIA.

Nie.

JANUSZ, wyciągając ręce za odchodzącą.

Żono! —
Patrzcie! ot znikła. Jak ptaszek na lepie
Uwiązłem teraz — skrzydełkami trzepię...

(Joasia żegna go ręką i wybiega.)

SCENA SIÓDMA.

JANUSZ, sam.

Ha, moje panie! składacie broń wreszcie —
Psotą za psoty odpłacam niewieście:
Z dwiema się żenię, cóż szkodzi wziąć trzecią?
Najlepszy sposób połapać je siecią
Ich własną, na raz, jak stado przepiórek,
I puścić wolno, podskubawszy piórek.
O śmieszneż sceny zajdą w tym dramacie:
Gdy wszystkie wpadną, zawołam: „Ot macie
Waszego męża! dzielcie się.” Toż krzyku,
To gadaniny jakby na sejmiku!
Ta rwie do siebie, ta sobie przywłaszcza,
Owa jak pani w domu się rozgaszcza.
Prawa cytują, pamiątki i listy,
I rozrywają. Polski rozbiór czysty!
Pocieszne sceny! To sęk jak się skończą?
Przecięż choć z jedną śluby mię połączą —
Mam w czém wybierać. Czegoż się kłopotam?
Myślmy o dzisiaj — a jutro? Ej co tam!

(Otwiera okno, słychać muzykę.)

Tam na dobre hulają — grzmi mazurek.
Ten zgiełk mię znudził, dla tego, jak nurek
Za zwierciedlane szyby główkę skrywszy,
Z czarodziejkami memi tum szczęśliwszy.

(Dzwoni)

Jest tam kto?

POKOJOWIEC.

Jestem. Co jasny pan każe?

JANUSZ.

Stary książę czy wesół?

POKOJOWIEC.

W pierwszéj parze
Szedł niedawno polskiego; teraz drzémie.

JANUSZ.

A goście?

POKOJOWIEC.

Goście skaczą w boże imię.
Oj, też na tęgo wszczęła się hulanka;
Zapewne będą szaleli do ranka,
Podług starego polskiego zwyczaju.

JANUSZ.

Dobrze! poddawać czaju i tokaju —
Zgoła wszystkiego w co starczy piwnica.
Słyszysz! ktoś puka.

POKOJOWIEC, idzie ku drzwiom.

Ach, to zakonnica
Jakaś w maseczce — czy wpuścić?

JANUSZ.

Wpuść zaraz!
Z odwiedzinami temi mam ambaras.

SCENA ÓSMA.

JANUSZ, FANI w ubiorze zakonnicy.

JANUSZ.

Tyżeś to Fani? ledwo oczom wierzę!

FANI, smutnie.

Wszak nie myślałeś o mnie? wyznaj szczerze.

JANUSZ.

Gdziem tam nie myślał! mam dowody...

FANI

O nie!
Tyś już zapomniał; czas tak prędko chłonie
Pamiątki ...

JANUSZ.

Nie bluźń świętościom pamiątek!
Ty mi zapełniasz każdy serca kątek.
Jażbym zapomniał?! Zapytaj jelenia,
Czy mógł zapomnieć kryształów strumienia,

W których się chłodził i poił w upały?
Któż, jeśli nie ty utulałaś szały
Moje młodzieńcze? kto ustek uśmiéchem
Mógł mię uczynić wszystkiém, nawet mnichem?
Kto niewidomie świecił w moich krokach?
Kto zgasł i w czarnych pogrążył mnie mrokach,
Żem jak pustelnik ujrzał się wśród boru?

(Po chwili milczenia:)

Zkądże przybywasz, aniele?

FANI.

Z klasztoru.
Rok się modliłam, a rok przepłakała.

JANUSZ.

Jakie dzieciństwo!

(Z uśmiechem:)

Aha, ptaszko mała,
Trzebaż ci było wpaść do takiéj klatki?

FANI.

Ach! ty się śmiejesz?

JANUSZ.

Czém rosa na kwiatki
A deszcz na wiosnę, tém są dziewcząt płacze.
Ja śmiechem ból wyrażam i rozpacze.
Kto wie, czy nawet nie śmiałbym się w trumnie?

FANI.

A toż nie rozpacz Januszu, gdy u mnie
W piersi wciąż kipi pożar pod popiołem?
Gdy zawsze jedna myśl wisi nad czołem,
Jak ta zasłona? Śmierć zasłonę zdziera,
Ale myśl taka nigdy nie umiera.
Jam tę myśl grzeszną truła, jak robaka,
Modlitwami, postami — moc jéj taka,
Że nie zgorzałaby i w ogniach stosu,
Jak salamandra... Jam z wyroków losu
Przykuta do cię. Cóż? choć piekłem straszą,
Świętokradzkiéj miłości nie przygaszą
Nigdy! Bo jako światło dzienne oku,
Cień w upały potrzebny, wiosna w roku —

Takeś ty dla mnie światłem, wiosną, cieniem,
Wszystkiém na ziemi, za ziemią zbawieniem.
I mnież to straszyć potępieniem za to,
Że Bóg mieć nie chce za klasztorną kratą
Serca, gdzie tylko ty jeden panujesz!
Więc bierz co twoje!

JANUSZ.

Dziękuję.

FANI.

Dziękujesz?
O, za mało Januszu—dar ubogi!
Chciałabym być królową, pod twe nogi
Podesłać trony.

JANUSZ

Dość posiadać ciebie.
Miłość i piękność o wodzie i chlebie
Więcéj warte niż trony. Peru złoto
I kulę ziemską oddałbym z ochotą
Za tę okrągłość twych piersi, aniele!
A owe krzyki świata, wielkie cele
I szumne słowa romansowych główek,
Wierz mi, za kilka nie wystarczą słówek,
Któreś wyrzekła półgłosem w téj chwili,
Drżąca, jęcząca, jak dziecię gdy kwili.
Ty mi o tronach mówisz? co mi trony!
Odejmiéj miłość—jak wulkan zgaszony
Będę posępny stał w pośrodku ludzi.
Żałoba moja i łzy nie wyłudzi,
Bo gmin osądzi: „Szczęśliwym być musi:
Ma takie dobra na Litwie i Rusi!"
A przecięż Fani! w zbytkach, w szczęściu takiém,
W porównaniu do ciebie jam żebrakiem,
Co nawet na skroń włożyć ci nie może
Dyademu z gwiazdek, co tam lśnią na dworze.

FANI.

O, tyś tak dobry!

JANUSZ.

Ja zaś? Dobroć fraszka,—
Lecz kocham.

FANI

Kochasz? Ej, czy nie igraszka?

JANUSZ.

Kocham nad życie!

FANI.

Mów, mów bez ustanku,
Mów, że mię kochasz! Z twoich ust kochanku
Niechby ten wyraz padał wieczność całą,
A i wieczności byłoby za mało!
Wielkie uczucie sięga tak daleko!
Jednak Januszu, ty nie mógłbyś lekko
Mego honoru ważyć? W świecie żyjem,
Ostrych pocisków wzgardą nie odbijem —
Ożeń się ze mną...

JANUSZ, do siebie.

Oho! na co kroi.

FANI.

Wyższa kobieta o ten zgiełk nie stoi,
Co go imieniem opinii ochrzczono,
Czy ją kochanką tam nazwą, czy żoną,
Dla niéj uczucie na wszystko wystarcza.
Jednak małżeństwo, przyznaj, silna tarcza.
Ona płeć naszą od podejrzeń broni!
I jakoś lepiéj, kładąc dłoń na dłoni,
Z czołem wzniesionem w górę na świat wchodzić.

JANUSZ, zalotnie.

Co słyszę? ty mię chcesz rączką nagrodzić?
Takiego szczęścia serce nie przeczuło!
Dzisiaj nas jeszcze ksiądz powiąże stułą.

FANI.

Czy pewnie?

JANUSZ.

Widzisz—ot podarek ślubny.
(Wskazuje wyprawę.)

FANI.

Jak to? tyś myślał?

JANUSZ.

Mąż niesamolubny
Myśli o wszystkiém. Na dowód, patrz mitry
Nasze książęce wyszyte, znów cytry
Apollinowe, pochodnie i strzały
Kupidyna, Hymena arsenały,
Haft symboliczny, stosowny do osób.
Teraz kochanie, do ślubu się sposób:
Zrzuć te żałoby, te kwefy i strojem
Zabłyśniéj świetnym, a przy sercu mojém
Gdy wejdziesz na bal, wszystko zgasisz sobą.
Rywalki zbledną, młódź padnie przed tobą,
I okrzyk pójdzie: „Żona, żona księcia —
Aż tak być piękną to impertynencya!"

FANI

Twoja miłość, Januszu, z martwych wskrzesza..
W oczach mi ćmi się...

JANUSZ.

Niech cię to nie miesza.
Śpiesz się i wracaj—każda chwila droga.

FANI.

Wprzód Bogu oddam, com wzięła od Boga,
Ażebym twoją była bez podziału.

(Odchodzi.)

SCENA DZIEWIĄTA.

JANUSZ, sam.

Otoż dotarłem i do ideału!
Tę czarodziejkę kochać muszę dłużéj
Niż wszystkie inne, tak serce coś wróży.
Krzyczą na mnie, żem wietrznik, jaka brednia!
U mnie znajomość kobiet niepoślednia:

Do każdéj mówię z czuciem, z ślepą wiarą:
Przyjdzie inna, i pierwsza zda się marą,
Zimnym szkieletem, który duszę ziębi.
Tak, jedna drugą wypycha z téj głębi,
Co ją zwą sercem. Wina w tém przyrody,
Czemu nie rozdzieliła równo skarb urody?
Czemu wydała tyle, a tyle odcieni,
Że człek zwaryuje wprzód, nim się ożeni.

(Wchodzi Murzyn).

Cóż to za dyablę czarne, jak z komina?
Od kogoś? za czém?... Widzisz poganina!
Ani się słówka domacać! Czyś niemy?

(Murzyn oddaje mu bilet).

Ha! masz bilecik? Zaraz się dowiemy.
Czytajmy:—„Zulma, Palmiry królowa."

(Do Murzyna:)

Prosić! O, farsa znów karnawałowa —
Gdzieżby to ona?! wprawdziem znał tę panię,
Kiedym z Rzewuskim jeździł po Libanie.
Zaszła tam mała intryga w haremie...
Już od tych kobiet uciec mi pod ziemię!
Otoż i ona sama — to zabawnie!

SCENA DZIESIĄTA.

JANUSZ, KRÓLOWA PALMIRY.

KRÓLOWA.

Z pustyń, gdzie słońce pali nas ustawnie,
Gdzie wiatr, koń, Arab żyją pobratani,
Zielona palma na stepie sułtani,
Ztamtąd przyciąga moja karawana,
Jak owa niegdyś Saba rozkochana,
Rzuciłam namiot, stada klaczy śnieżnych,
Chłodną krynicę na stepach bezbrzeżnych.
Wszystko dla ciebie, dla jednéj kropelki
Miodu ust twoich!

JANUSZ, kłaniając się.

Zaszczyt dla mnie wielki!

KRÓLOWA.

Długom się biła po morzach i lądach,
Goniąc za tobą na moich wielbłądach
Więcéj od roku. Nawet przez gazety
Kazałam wszędzie zapytywać gdzie ty?
Szczęściem w Hamburgu dostałam języka.

JANUSZ.

Pewnie u mego bankiera Icyka?

KRÓLOWA.

Tak, coś podobnie. Tam mi powiedziano,
Że mam na północ jechać, gdzie nieznaną
Znajdę krainę, na któréj tyś księciem.
A więc się puszczam z stałém przedsięwzięciem
W te wasze bory. Jadę bez ustanku
Z rana do nocy, od nocy do ranku,
Aż po nad czarne puszcz jodłowych ściany
Błysnął mi pałac twój, jak namiot szklany!
To, co ci mówię, wszystko prawda szczera:
Pożar miłości niełatwo zamiera
U córek słońca; kto go raz obudzi,
Niechże go wzajemnością, lub krwią studzi.

JANUSZ, sam.

Z nią, widzę nie przelewki—gardłem straszy!
Zapewne niejednemu łeb już zdjęła baszy.

KRÓLOWA.

Teraz, mój książę, obyczajem Wschodu,
Przywożęć dary godne twego rodu:
Purpurę Tyru, kadzidło i mirrę,
Wonne balsamy, w bryłach złoto szczére,
Wszystko, w co obfituje ziemia nasza.

JANUSZ, do siebie.

Hm! podarunki jakby dla Messyasza.

KRÓLOWA.

I więcéj jeszcze—jeśli ci to gwoli:
Niechaj nas związek małżeński zespoli.
Oto masz rękę.

JANUSZ.

Wdzięcznym uniżenie,
Ale ja dzisiaj z czterema się żenię.

KRÓLOWA.

Tylko?

JANUSZ.

Czy nie dość?

KRÓLOWA.

Cztery—bardzo skromnie.

JANUSZ.

Z tém wszystkiém tęgo zabrały się do mnie.

KROLOWA.

U nas, naprzykład, pan, jak ty bogaty,
Gdy sto żon nie ma, jeszcze nie żonaty.
Liczba okrągła: sto, przyjęta wszędzie.

JANUSZ, do siebie.

Przynajmniéj niezazdrosna.

KRÓLOWA.

Jakże będzie
Z nami, emirze?

JANUSZ.

Nie wiem. Sam się waham.

KRÓLOWA, w gniewie.

Nie wiesz? czy chciałbyś może jak Abraham
Niegdyś Agarę, i mnie wygnać z domu?

JANUSZ.

Kto? ja, królowo! Nikt takiego sromu
Nie doznał u mnie. Owszem chcę cię zawsze
Posiadać!

(Na stronie:)

Wprawdzie, cerę ma żółtawszą
Niż nasze damy. Ha! wina klimatu.
Zresztą, cóż szkodzi imponować światu,

Że na mym stole zawsze nowalijka:
To ładne oczka, to buzia, talijka —
A dla odmiany dziś smagła Azyatka,
Jeszcze królowa—o, nielada gratka!
(Głośno:)
Kocham cię Zulmo!

KRÓLOWA.

O, kochaj emirze!
Jam porzuciła mój pałac w Palmirze,
Kraj najpiękniejszy, niebo tak przejrzyste!
Wszystko dla ciebie. Bo gdzież jak ojczyste
Pustynie nasze? gdzie miléj dzień schodzi?
Palma cień daje, wodotrysk cię chłodzi,
Wśród głuchéj ciszy gada duch stepowy,
Step, niebo, woda—dramat trzyaktowy
Gra się przed tobą, a na tle dramatu
Cedry Libany, góry Araratu.
Minarety, jak strzały w niebo biegną —
Koczujące namioty step zalegną,
A gdy przykryje wszystko noc swém skrzydłem,
Jak kadzielnica z woniącém kadzidłem
Zda się ta ziemia przed Allą kołysać!
Tyś jéj nie poznał dobrze—ty wysysać
Z moich ust musisz miłość ku téj stronie!

JANUSZ.

Zgoda, więc jedźmy!
(Podchodząc ku drzwiom:)
Hej! założyć konie!
Pojedziem razem, będziemy królować.

KRÓLOWA, z niedowierzaniem.

Zwodzisz mię?

JANUSZ.

Z uczuć nie umiem żartować.

KRÓLOWA.

Mogęż polegać?

JANUSZ.

Jakby na Zawiszy.

KRÓLOWA.

Idę! Mój emir o mnie wnet usłyszy
Pełnemi żaglmi okręt tu zawinie
Twoją Świtezią wszędzie się dopłynie.

(Odchodzi).

SCENA JEDENASTA.

JANUSZ, sam.

Co? co? Świtezią do Arabii? Brawo!
Geografia jak widzę została na prawo!
Z tém wszystkiém trzeba jechać. Traf nad trafy!
Awans na króla—w kąt książęta, grafy!—
Ja król! nad owym rajem, kędy Ewa
Blondynka, owoc uszczknęła ze drzewa,
Kędy się romans najpierwszy odgrywał!
O tam ja zawszem myślą ulatywał,
Tam, od ojczyzny, od ludzi z daleka
Jak odwrócona w biegu swoim rzeka.
Chciałem dni resztę przeżyć jak Beduin
Wpośród pustyni, jak Volney wśród ruin
Dumać nad państw upadkiem, farysować.
Teraz mogę to wszystko i... królować.

(Bierze gitarę i śpiwa:)

Witaj ziemio czarów, snów,
Pierworodna Boga córo!
Przy twém słońcu tu ponuro —
Zimny kraju bywaj zdrów!
Hej majtkowie, nuż do żagli!
Leć okręcie nagléj, nagléj!

Cudnie tkany perski szal,
Cudniéj życie wśród haremów:
Myślą głowy nie łam, nie mów—
Tylko śnij i lulkę pal
Hej majtkowie nuż do żagli!
Leć okręcie nagléj, nagléj!

Sto odalisk czeka tam
I rzezańców czuwa dwieście —
Georgianki, do mnie! pieśćcie!
Na was sto ja tylko sam.
Hej! majtkowie nuż do żagli!
Leć okręcie nagléj! nagléj!
(Przerywa śpiewanie — słychać bicie zegaru).
Północ! wnet ślubne zapłoną pochodnie...
W tylu sprzecznościach postawię się godnie;
Wszystkie zaproszę z sobą do Arabii.
Wielość żon, czucia mego nie osłabi.
Tém bardziéj, jeśli zaręczę solennnie,
Że każdéj rzucę chustkę raz codziennie.
(Słychać zgiełk).
Cóż tam za rozruch?

POKOJOWIEC.

Panie dziwowisko
Wielkie się stało! Świteź chłonie wszystko:
Aż na wschody zamkowe fala bije!
Takiego wód wezbrania nikt, jak żyje,
Nie pamięta...

JANUSZ, wesoło.

Więc morze mam u proga?
Okrętu czy nie widać?

POKOJOWIEC.

Ej, dla Boga!
Pan się cieszy, gdy wszystko w takim strachu;
Kiedy większa część gości już na dachu.
Stary książę się modli. Spojrz pan w okno,
Ujrzysz, jak szczyty topól w wodzie mokną!

JANUSZ, otwierając okno.

Prawda! widok wspaniały! W Neapolu
Taki sam miałem. Te góry w półkolu,
Tam znowu drzewa, by maszty w zatoce...
Tylko noc insza — o, nie masz jak noce
Włoskie!

POKOJOWIEC.

Ale poddani! cóż z biednymi
Stanie się? wszystko tracą.

JANUSZ.

Patrz! pełnemi
Żaglami okręt ku nam prosto pędzi —
Na przodzie para miłosnych łabędzi
Zda się powozić moją narzeczoną.

POKOJOWIEC.

Panie! to czary — po wodę święconą
Biegnę.

JANUSZ.

Zaczekaj!... Daj mi płaszcz i szpadę
I złota kiesę — do Arabii jadę.

SCENA DWUNASTA.

(Kolumna pałacowa. — Widok na ogromną przestrzeń zalaną wodami. Mężczyźni i damy w strojach balowych.)

KSIĄŻĘ, klęczy z krzyżem w ręku.

Panie! przemień to, nie dla mnie grzesznego,
Ale dla ludu. Spuść korab Noego!
W imię téj świętéj okruszyny krzyża,
Przemień o Panie!

(Pokazuje się żagiel na horyzoncie).

WIELE GŁOSÓW.

Cud! okręt się zbliża!

KSIĄŻĘ.

Widzicie, Pan Bóg wysłuchał modlitwę.

WIELE GŁOSÓW.

Hola! ho! bywaj!

GŁOS.

Kto wie? może bitwę
Przyjdzie nam staczać! sztuka coś niewielka.

SZLACHCIANKA.

Prym przed mieszczanką ma obywatelka.

SZLACHTA.

My szlachta pierwsi — reszta, jak się uda.

KTOŚ Z GMINU.

Czy Bóg dla panów robi tylko cuda?

GŁOSY SZLACHTY.

Szlachtę ratujcie, panie admirale!
Wynagrodzimy wacana wspaniale,
Wyrobim order!

KSIĄŻĘ.

Syn mój! wołać syna!
Nie dbam o siebie, byle mi dziecina
Wyszła bez szwanku.

GŁOSY.

Otoż go i mamy.

SCENA TRZYNASTA.

(Poprzedzający i JANUSZ w ubiorze podróżnym.)

JANUSZ.

Witam was moi panowie i damy!
Witam i żegnam.

KSIĄŻĘ.

Synu! bądź tu przy mnie.

JANUSZ, cierpko.

A papa co tu robi na tém zimnie?
Kataru się nabawi! w łóżko trzeba.

KSIĄŻĘ.

Jam się modlił — i, widzisz, dobre Nieba
Zsyłają nam ratunek.

JANUSZ, biorąc się pod boki.

Co, ten okręt? Cha! cha!
To narzeczona moja — chustką macha,

Dając znak umówiony. Papa nie wie,
Jaką to gałąź zaszczepiam na drzewie
Genealogicznem? Palmiry królowa
Zaraz ci do nóg padnie, jak synowa.

KSIĄŻĘ.

Drwisz z ojca. Patrzaj! Bóg kazał jezioru
Karać za grzechy.

JANUSZ.

Pod słowem honoru
Ja nie drwię papo.
(Wskazując ku okrętowi:)
Ta pani w dyademie
Trochę przysmagła, zwyczajnie jak plemię
Arabskie, królem robi mię w swym kraju.
I sto żon daje podług obyczaju
Wschodniego. Głupstwo byłoby odrzucić.

KSIĄŻĘ.

I tybyś starca nad grobem chciał rzucić?!
Jakby ci mało być polskim magnatem?
Jakby to więcéj znaczył gdzieś za światem
Królik arabski? Przecięż Dzierżanowski,
Chudy szlachetka na kawałku wioski,
Także był w Indyach królem okrzyknięty —
I dla tego porzucać ojca? Boże święty!

JANUSZ.

Słowom dał;—wreszcie jak kto chce się bawi—
Ja się bawię w królestwo.

KSIĄŻĘ.

Jakże krwawi
Serce ta mowa taka niesynowska!

JANUSZ, do siebie.

Patetyczny, jak gdyby rasynowska
Tragedya. Uciąć muszę. — Żegnam papę,
To nie jest tak daleko — patrz na mappę—

Ztąd do Stambułu—ztamtąd jednym skokiem —
Jeszcze was może odwiedzę przed rokiem.

KSIĄŻĘ.

Chyba grób mój.

GŁOSY.

To przecięż tak sam nie pojedzie?
Chciałbyż nas w wodzie wymoczyć jak śledzie?

(Okręt przybija.)

KRÓLOWA, otoczona dworem, siedzi na stronie.

Mężu!

JANUSZ.

Jam gotów.

KRÓLOWA.

Wiatr dobry powiewa.

JANUSZ.

Adieu! mój tatuś niechaj się nie gniewa.
Jeżeli łaska, daj błogosławieństwo.

KSIĄŻĘ, odwracając się.

Przeklęctwo synu niegodny, przeklęctwo!

JANUSZ.

Książę! ta szorstkość z tonem się nie godzi.

KSIĄŻĘ, wskazując gości.

Choć tych nieszczęsnych ratuj od powodzi!

JANUSZ.

Ja sam na cudzym wózku, acz uprzejmie
Chciałbym zaprosić, okręt nie obejmie.
Patrzcie! jak liczny orszak. Bądźcie zdrowi!
Do swéj królowéj śpieszyć się królowi.

(Wskazuje okręt.)

KSIĄŻĘ.

Potwór!

GŁOSY.

Nie puśćmy! przytrzymać za liny.

KILKU MĘŻCZYZN.

Do wody zdrajcę!

KOBIETY.

Ocal nasze syny
I córki!

(Okręt oddala się.)

WSZYSCY.

Odbił! — Dziéj się wola boża —
Podajmy sobie ręce, nim do łoża
Wiecznego zimna fala nas zagarnie!

(Klękają trzymając się za ręce.)

MŁODZI.

Po hucznym balu umierać tak marnie!

KTOŚ.

Gdyby nie ciemno, pisałbym testament.

DRUGI.

I gdyby w miejscu wody był atrament.

INNY.

Mnie już po pas zabiera.

WSZYSCY.

Giniem! giniem!
Oj, przed tą śmiercią kominka nie zwiniem.

KTOŚ.

Straszny trybunał! nie ma i patrona!

PATRON.

Gdyby się można tłómaczyć — obrona
Taka ognista w głowie mi się roi.

SZLACHTA.

Choć raz rzecznikom nic się nie okroi.

KILKA GŁOSÓW.

Cóż się tam dzieje?

INNYCH KILKA.

Nic, jeszcze coś sucho.
I fale mniéj coś szumią, jakoś głucho...

GŁOS.

Ja się boję otworzyć oczu.

DRUGI.

I ja.

INNE.

I my

(Milczenie)

SCENA CZTERNASTA.

(Poprzedzający. — Rybak wpada zadyszany. — Księżyc świeci. — Wody opadły.)

RYBAK.

Héj państwo! wielka historya!

WSZYSCY, zrywają się.

Gdzie? co?

RYBAK.

Słuchajcie!

WSZYSCY.

Ach! morza już nie ma,
I księżyc świeci, i gwiazdy oczyma
Wszystkiemi patrzą.

KILKU.

Cud, à la Pinetty!
Jacyż my tchórze!

MĘŻOWIE.

To tylko kobiety
W nas tak wmówiły swym płaczem i krzykiem.

KSIĄŻĘ.

Cóż się z mym synem dzieje?

RYBAK.

Z nieboszczykiem?

KSIĄŻĘ.

Janusz! mój Janusz! Gadaj co się stało?
Jam przeklął dziecko! Może go spotkało
Jakie nieszczęście? może jest ratunek?
Lećcie, ratujcie—uderzyć we dzwonek
Na gwałt. To przecię przyszły wasz pan dzieci!

(Pada i zakrywa sobie twarz rękoma)

RYBAK.

Bodaj czy już nie późno! Właśniem sieci
Zastawił na jeziorze — i chciał do dom
Wracać, gdy nagle coś się stało wodom,
Że jak piwo szlacheckie buchną pianą,
I w koło mię obejmą banią szklaną —
A nad głowami jak w borze, szum słychać.
Sam, choć pod wodą, suchym był — oddychać
Mogłem tak dobrze jakby tutaj państwo!
O, pomyślałem: harcuje szataństwo!
Jakaś w tém psota — więc zaraz się modlę
I pełznę — aż tu i siedzę na jodle,
Hen, na téj, co u wzgórka. Patrzę w koło:
Świteź zalewa łany, bory, sioło.
Tylko sam jeden dwór wśród wód bieleje —
Ot koniec — myślę. Pan Bóg świat zaleje! —
Gdy wtém — a ciemno było jakby w jamie —
Jasność się stała, fala się rozłamie,
I łódź — nie, korabl, jak w Memlu lub Rydze
Tylko złocistszy, tuż przed sobą widzę.
Takiego statku nikt jeszcze jak żywo
Nie widział na Świtezi. Szedł leniwo,
Toż mogłem się przypatrzyć. Na pokładzie
Stał nasz panicz i z panną jakąś — w zwadzie
Być musieli, bo panicz tak się zżymał,
Nawet nóż, czy pistolet w ręku trzymał,
I groził. Panna miała skry w źrenicy,
A śmiech na ustach. Rzekła: „Do łożnicy
Chodź mężu! zaprzysiągłeś!" Ręką skinie,
A okręt zaraz porwały głębinie,

Z wszystkiém: z majtkami, żaglami, masztami—
Jeno na wierzchu wody, oni sami
Zostali się we dwoje — nie tonęli!
Panna smukła jak topól, w śnieżnéj bieli,
By srebrna rybka — w pół go obramienia
I leci, leci, aż fala się spienia,
Po całutkiém jeziorze kręgi pisze —
To, jak sercem od dzwonu nim kołysze,
Topi, wyciąga, znów topi. Chcę krzyczeć
Ale mi język przyrósł, i trzech zliczyć
Nie mogłem, taki strach ścisnął za gardło.

WSZYSCY.

I jakiż koniec?

RYBAK.

Do dna się rozwarło
Jezioro... znikli:

KSIĄŻĘ, z płaczem.

Mój syn się utopił!

KTOŚ.

Ten człowiek bredzi, w karczmie się zakropił.

RYBAK.

Jam trzeźwy.

KILKU Z DOMOWNIKÓW.

Prawdę gadaj!

RYBAK.

Bogiem klnę się!
Jutro wam na brzeg woda go wyniesie.

KTOŚ.

A narzeczonaż księcia uszła zdrowa?

RYBAK.

Piękna mi narzeczona! niech Bóg chowa
Od takiéj nas każdego!

KTOŚ.

Przecięż z ganka
Widziałem ją:—królowa!

RYBAK, z przerażeniem.

Świtezianka!!

WACHMISTRZ JASZCZOŁD.

OPOWIADANIE

STAREGO WIARUSA.

z kampanii 1809 roku.

I.

Co to dzisiejsza młodzież! wstyd mospanie
I spojrzeć na nią. Za Bonapartego
To mi to szkoła, jakie wychowanie!
Wszystko musiało iść na upartego.
Gdzie przykład dobry, i tchórz twardo stanie,
I nikt nie pyta: a dokąd? dla czego?
Było też dobrych siła komendantów,
Nie pieczeniarzy, w miarę adjutantów.

Kiedy bywało wystąpią rejmenta,
To aż strach spojrzeć: same stare wygi!
Ten Pułaskiego ruchawkę pamięta,
Ów kresę dostał nad brzegiem Adygi,
Tego zna Egipt, owego przeklęta
Ziemia murzyńska, kędy rosną figi,—
Zgoła na twarzach miałeś geografią.
Oho! dzisiejsi tego nie potrafią.

I nie potrafią hulać, jak hulano:
Proszę, kiedy to weszło się do miasta,
Byleś raz zerknął, byleś zgiął kolano,
Wnet do ułana przylgnęła niewiasta—

A szampan lał się, a złotem sypano.
W miłości i przy kartach nigdy basta,
Prawda, że było cokolwiek rozpusty,
Lecz chudy klapnie gdzie ledwo zchudł tłusty.

Spytajcie tylko co to się nie działo
W roku dziewiątym, kiedy do Galicyi
Wkroczył Kamiński? Choć miał garstkę małą,
Pierzchnęli Szwaby nawet niepobici.
W trzydzieści koni Lwów się odebrało,
Na pospolite ruszenie szły wici,
Biegło co żyło, i stawały półki
Z obywatelskiéj mospanie szkatułki.

Duch narodowy nie krył się po dziurach,
Lecz jawnie chodził z krakuską na uchu—
Nasz Biały orzeł złocił się na murach—
W chatce, w pałacu, co życia, co ruchu!
Oj, na wołowych nie spisałby skórach,
Co to wyrabia naród nie w łańcuchu!
Ziemia się innym zda toczyć obrotem.
Dziś jeszcze zawrot czuję, myśląc o tém.

Boć krotochwile zapustne to były
Z tymi Szwabami! Nasze chorągiewki,
Jak wróbli, samym szmerem ich straszyły,
Resztę wymiotły przekupki i dziewki.
Gdy tylko żołnierz ufa w święte siły,
Wzrokiem zabija, proch zdmuchnie z panewki,
I jak pod Jeną kłusem szarżę utnie,
Nie dobywszy pałasza, tnie okrutnie.

Ztąd też fantazya niezmierna w żołnierzu,
Honor, ambicya do głośnego czynu.
Dzieciuch, co jeszcze nie porosnął w pierzu,
Szedł jak na spacer na szczyt Appeninu,
A z Ojczenaszem przy każdym pacierzu,
Modlił o Polskę i o liść wawrzynu
W postaci krzyża Legii honorowéj.
Czczy to szał nie był, ani romansowy.

Z pomiędzy wiela przykładów a wiela,
Jakie od ojców pewnieście słyszeli,
Dość wspomnieć jeden, mego przyjaciela,
Pana wachmistrza Jaszczołda. Wiecie-li
Gdzie jest Tarnopol, a gdzie Zagrobela?
Miasto od wioski staw i grobla dzieli;
Więc w téj ostatniéj, Szwab zewsząd przyparty
Oszańcował się działami i warty.

I tchórz odważniéj wygląda z za ściany,
Rzecz to wiadoma—a pola tam czyste
Masz na Podolu; łany, same łany—
Niepodobieństwo zatém oczywiste,
Ażeby okop miały brać ułany,
Chociażby zuchy były tak sierdziste
Jak ci, co Zamość brali; więc nie brano,
Tylko harcami wzajem się nękano.

Wojenka taka prędko w niesmak da się
Nowozaciężnym, a zwłaszcza ruchawce;
Człek się nie wyśpi, koń się nie napasie,
A guza często oberwiesz przy sprawce.
Tymczasem Niemiec zawarty w tarasie
Rad wypoczywa przy piwku i kawce.
A wpaść na oślep—byłaby ryzyka:
Przegrasz—na zawsze zrazisz ochotnika.

Otoż pan Jaszczołd, wachmistrz szwadronowy,
Zuch zawołany, dawny legionista,
Jak zaczął chodzić po rozum do głowy,
A kląć do milion beczek i do trzysta,
Tak uknuł fortel—i mając gotowy,
Nie rzekłszy słówka nikomu, korzysta:
Trzech sprawnéj wiary bierze do pomocy,
I gdzie? nie wiedzieć, wyjeżdża wśród nocy.

Że nie powiedział starszyźnie—czcze baśnie!
Jaszczołd mospanie znał regulamina;

Znał, że zasługa najpiękniejsza gaśnie,
Jeżeli żołnierz reguł zapomina.
Onby szefowi nie rzekł nic, on właśnie!
Taki tryb karcą nawet u Turczyna,
A cóż dopiero w armii regularnéj?
Na cóż wojskowy sąd, lub kodeks karny?

Sam to widziałem, jak o ciemnym mroku,
Trzech, co najtęższych wybrawszy z szwadronu,
Kładł im do głowy coś długo na boku,
A zgadłem z ruchów, postawy i tonu,
Że to nie fraszka. Podsunąwszy kroku,
Widzę jak powróz dobywał z furgonu,
Potém opatrzył oba pistolety,
„Na koń!" i milczkiem przemknął przez widety.

Tu już naocznym przestaję być świadkiem,
A opowiadam słowy bohatera
Onéj wyprawy. Wątpię czy mu rzadkim
Dowcipem sprostam, tém więcéj, że ściera
Czas owe rysy i powłóczy gładkim
Jakimś pokostem—wszakże prawda szczera
Zostaje prawdą, choć barw traci wiele,
Jako kazanie miane nie w kościele.

II.

Jeszczem jak suseł zasypiał w baraku,
Kiedy pan Jaszczołd nazajutrz wszedł do mnie,
Zbudził—jam spojrzał w oczy nieboraku:
Jakoś patrzały ponuro i sromnie—
I zaraz zgadłem, że coś nie do smaku
Wypaść musiało. On zaś:—Tu kalomnie
Na mnie puszczają! Jak psom we łby strzelę!
Śliczni kolledzy, śliczni przyjaciele!—

— Jakie kalomnie? pytam, co się stało?
Nic nie wiem.—A on:—Wódkę masz? Do ciebie!—

—Nawzajem!—Łyknął, aż oko zbielało,
Usiadł, i gniewny mruczał sam do siebie:
—Głupstwo! ażeby było się udało,
Toby równego nie było mi w niebie!
Żem podrwił, zaraz cały rejment w drwinkach...
Brał i Napolion czasem po tebinkach...

— Tylko wyobraź sobie, poruczniku—
Zaczął poważniéj i głosem zmiękczonym,
Lulkę zaćmiwszy, która na guziku
Zawsze wisiała z kapciuchem czerwonym:—
Wyobraź sobie, cobyś o młodziku
Myślał szalonym, lub niedoświadczonym,
Gdyby się jeden porwał na szwadrony?
Rzekłbyś, że waryat, lub niedoświadczony.

I miałbyś słuszność! Lecz cóżbyś o takim
Powiedział, który w obozach wiek sterał,
A który burdą nie jest lub pijakiem,
Gdyby plan jakiś w swéj głowie wyszperał,
A wyszperawszy, cicho, jak siał makiem
Ten plan wykonał? Rzekłbyś:—„To generał
Niepospolity, a choć pokpił sprawę,
Że plan był dobry, jeszcze ztąd ma sławę."

Znudzon, że stoim bezczynnie czas dawny,
Mimo że Szwaby w kupę się gromadzą
I okopują—powziąłem zabawny
Koncept: „Niech starsi nad mappami radzą,
Ja nad fortelem!" Że nie mógł być jawny,
I że go może wykonać nie dadzą,
Więc wczoraj w nocy, zmówiwszy trzech zuchów,
Ruszam z obozu niby dla posłuchów.

Znając te strony, jakby kieszeń swoją,
Mknąłem przez łąki i głębokie jary;
Aż na raz widzim: Wóz i konie stoją.
To chłop do miasta woził mandatary,

A teraz wraca. Więc powagą moją
Zbrojną w nahajkę i wódczane czary,
Każę mu jechać wprost na Zagrobelę,
Choć w strachu szeptał: „Oj, tam Niemców wiele!"

Jedziemy milczkiem, gdyż w podolskim wozie
Ani zdziebełka nie znajdziesz żelaza.
Jedziem—wtém obóz, słuch puszczam, w obozie
Cisza, jakby ich wybiła zaraza.
Tylko gdzieś derkacz odzywa się w łozie,
A bliżéj szyldwach chrapie u przełaza...
Skradam się—patrzę: wszystko śpi aż miło!
W jednem okienku z dworu się świeciło.

Błogosławione światełko witałem,
Jak gdyby panna dała mi randewu.
Wiesz poruczniku, jak się kochywałem,
I dzisiaj przyznasz otwarcie, bez gniewu,
Że w półku sobie równego nie miałem
W szczęściu do dziewcząt, do tańca, do śpiewu,
A przecięż nigdy serce tak nie drżało
Jak wczoraj, gdy to światełko migało.

Bóg wie jak długo byłbym stał jak wryty,
Myśląc o wielkiém mojém przedsięwzięciu,
Gdy wtém koło mnie padł szyldwach przebity,
I jęknął—minut nie było dziesięciu
Już do stracenia. Chwytam za dobyty
Pałasz, i lecę w najkrótszém przecięciu
Prosto ku światłu—ułanym zostawił:
Chciałem sam wszystko sprawić—wszakżem sprawił.

Tę stronę dworu sad otaczał, przeto
Warty nie było aż za płotem sadu;
A ja, choć wcale nie jestem atletą,
Wnet obliczyłem korzyści napadu,
Pewien, że w garści z taką szerepetą
Choć z batalionem, a trafię do ładu.
Więc z animuszem pod okno przyskoczę
I widzę, jako wietrzyk niém chybocze.

Było otwarte—spojrzę: aż przy mdławéj
Lampie, nad mappą Polski rozpostartą
Ślipiał mężczyzna łysy i siwawy,
I jakby gniew swój wywierał nad kartą,
Kłół ją szpilkami. Basta z téj zabawy!
Nie chciałbym z twoją spotykać się wartą
Albo patrolem—i nie myśląc dłużéj,
Wpadam, jak brytan spuszczony z obróży.

Nawet paryzka żadna baletnica
Lekcéj nie skoczy, niżem ja nań skoczył,
I pewnie łupu swego żadna lwica
Nie tłoczy silniéj, niżem ja go tłoczył!
A choć tuż przy nim leżała krucica,
Bezsilną dłonią tylko ją powłóczył,
A nie mógł ująć, ni głosu wydostać!
Do śmierci będzie stała mi ta postać

Austryackiego generał-majora
Bikinga, wielu tysięcy hetmana.
Noc to pamiętna dla mnie! Takie wczora
Nie dałbym w zamian i za kosz szampana
Więc go wyniosłem jak sieczki pół wora,
I ciężar w ręce oddałem ułana,
Który go związał, szczelnie zakneblował
I na drabiasty chłopski wóz wpakował.

Skończywszy dzieło, już mi rozum radził
Co tchu ujeżdżać z połowem nielada,
Ale snadź dyabeł na mnie się usadził,
Że w las uciekła pierwsza zdrowa rada.
Wracam: sad, okno, na nowom przesadził,
Jeszcze się lampa dopalała blada,
Więc rozpoczynam rewizyę papierów,
Krzyżów, sygnetów, fajek, repetierów.

To nie rabunek, lecz prawo wojenne—
Liche zwycięztwo bez dział i bagaży!
Przytém te Szwaby bywają piśmienne,
Wożą papierów stos i kałamarzy;

Rzecz ważna złapać rapporta codzienne,
Szpiegów donosy, zgoła co się zdarzy:
Owożem łapał co pod rękę padło,
A wszystko w kaszkiet ułański się kładło.

Już o odwrocie myślałem, gdy oto
Zegarek złoty i emaliowany
Ujrzę nad łóżkiem:—Pójdź i ty niecnoto!
Mówię—i tylko co zdjąć chcę ze ściany,
Z trzaskiem upada. A wtém, z całą rotą
We drzwi się wali lejtnant rozespany,
W obozie larum słyszę, w bębny walą,
Niechajże jasne pioruny mię spalą!

Tu już nie rzemień w strachu był, lecz skóra—
Jak też szabelką zawinę się młyńca,
A poczęstuję raz, drugi piechura,
Takem i wyparł precz na kraj dziedzińca,
A choć tył zabrać chciała Szwabów chmura,
Przecięż dopadłem starego gościńca.
Przez okno, sady, rejteruję w szyku,
Wśród gradu strzałów, bębnienia i krzyku.

Mój korpus z jeńcem, za stodołą skryty,
Dotrzymał placu, i duch wstąpił we mnie,
Gdym poznał w cieniu czapek naszych kity.
Narażało się, dał Bóg, niedaremnie:
Generał wzięty, piękny łup zdobyty!
Tak myślę, biegąc—aż wtém, jak nie hrémnie
Szyldwach z za płota—z głowy czapkę zmiecie!
Już i nie pytam o szwabskie rupiecie.

Hazard wojenny! część łupu stracona—
Lecz jeniec w ręku; byle dopaść szkapy!
Dopadam—nogę kładę już w strzemiona,
Chłopu na kuraż smolę trzy harapy,
Lecimy—w nogach tryumf i obrona—
Dobranoc! śpijcie panowie harcapy!
Chciałbym zobaczyć jutro wasz ambaras,
Gdy się bez głowy zobaczycie na raz.

Wszystko w odwrocie zdawało się sprzyjać;
Do naszych widet nie było pół mili—
Kazałem zręcznie jarami wywijać,
A często stawać na podsłuchy, czyli
Pogoń nie idzie? Rzadko też popijać
Dałem z blaszanki. „Jutro będziem pili,
Rzekłem, za tryumf naszego oręża.
Jak nie pić, kiedy bez krwi się zwycięża?

Jak się nie cieszyć, kiedy dobra nasza?
Dla was galonki, mnie szlifa nagrodą;
Cesarz do gwardyi jeszcze pozaprasza—
Tylko ty chłopie dobrze idź, nie z kłodą
Jedziesz to przecię! cóż cię tam przestrasza?
Nie bój się, od nas nie wyjdziesz ze szkodą.
Hultaj! patrzajcie pod wóz mi się schował—
Lancą go—z nami nie będziesz żartował!"

Było to właśnie na samym zawrocie
Z jaru na błonia Ułan co na szpicy
Wystrzelił, nagle skręcił ku nam w locie,
Krzycząc, że półk nas otacza konnicy!
Chłopek ów widać miał oczyska kocie,
Że ich nasamprzód zobaczył w ciemnicy.
Cóż poczniem? w nogach jedyna obrona—
Lecz z moim jeńcem liczba nieskończona.

W łeb mu wypalić! i—odwodzę kurek,
Lecz bezbronnego zabić jako bydlę,
Tegoby chyba dopuścił się Turek,
Tego w żołnierskiém nie mamy prawidle.
Ot, lepiéj wezmę, uwiążę na sznurek,
Pojedzie gładką błonią, jak po mydle.
Czerkieski sposób. Wiążę do kulbaki,
Aż tu rotowym ogniem zagrzmią krzaki!

Ach daj go katu! tośmy w tarapaty
Wleźli, gdzie spojrzysz, czy w lewo, czy w prawo,
Z frontu i z tyłu sypią się psubraty...
Umrzeć to umrzeć, byle umrzeć z sławą!

Wiara, hej do mnie! Za broń stare chwaty!
Jak utniem szarżę samoczwart—oj krwawo
Gdzieś przypłacili!—nauczka na harde.
Widzisz mój pałasz we krwi aż po gardę.

Zgoła, na sucho wyszliśmy z kąpieli,
Na sucho bracie, choć w kwaśnym humorze.
Łupy i jeńca wszystko kaci wzięli,
I moją przyszłość. W takim dyshonorze
Trudno żyć; człowiek bądź w łeb sobie strzeli,
Bądź gdzie braciszkiem zostanie w klasztorze.
Hej, na frasunek! jest tam co w manierce?
Jedyny kordyał na zranione serce...—

Łyknął i żalów zalał się potokiem.
Znając naturę onegoż dziwacką,
Nie wyjeżdżałem z duchownym obrokiem.
Aż kiedy skończył chryję desperacką,
Wstał, niecierpliwém cisnął na mnie okiem
I spytał:—A ty co na to?—Co? gracko
Pan wachmistrz Jaszczołd spisał się i kwita!
Wszystko sprzyjało, tylko konduita...—

Ledwiem to słowo wymówił, by wrzątkiem
Sparzon, wyleciał z mojego baraka,
Ale nie z zemstą, ani też zawziątkiem.
W duszy mi szczerze żal było biedaka,
Że nigdy koniec u niego z początkiem
Zgodzić się nie mógł. Natura już taka:
Rzuci się w zamiar śmiały—i osięgnie.
Cóż? kiedy w końcu przez lekkość ustrzęgnie.

Tym razem jednak tę chlubę wziął w zysku,
Że wróg przestraszon, taborem uchodził
Wciąż po bezwodném, gołém stepowisku,
Aż pod Wieniawką znowu się ogrodził.
Lecz gdyśmy wodę przecięli w zdroisku,
I gdy się Niemiec przez trzy dni wygłodził,
Kapitulował. Wypijmyż panowie
Zdrowie Jaszczołda i wojsk naszych zdrowie!

MIMOZA.

POWIEŚĆ SENTYMENTALNA.

> Ces deux personnes n'en font qu'une. Elles sont tellement entrelacées comme les deux âmes et les deux existences des deux époux, que la vie de l'un, est le contrecoup perpétuel de la vie de l'autre, et que le même événement ou le même sentiment, répercuté dans un double écho, n'y produit qu'un seul et même intérêt.
>
> *De Lamartine.*

I.

Nie lubię, gdy się romans zaczyna od balu,
Nie lubię heroiny wyciętéj z żurnalu,
Na którą się modniarka składa i perukarz—
Bo najczęściéj pod blichtrem serca nie wyszukasz,
Zwłaszcza, gdy idealnéj szukasz heroiny
Na szybach woskowanych, we mgłach krynoliny.
Lecz któż nie wie, jak rzadko spotkać ją w tym świecie,
Gdzie uczucia tak sztuczne jak robione kwiecie,
Gdzie spojrzenia, uśmiechy i łzy wykłamane!
Jednakowoż bywają dusze tak wybrane,
Że żal patrzeć jak łańcuch z pajęczyn uwity
Przykuwa nie Maryle same, lecz Judyty.

II.

Na przekór założeniu temu, moja powieść,
Chociaż nietendencyjnéj natury, chce dowieść,
Że na balu w Warszawie—(przecudne tam bale,
Nietylko w sam karnawał, i po karnawale

Ochota nóg się trzyma, z szlachetnéj podniety,
Ażeby opisywać miały co gazety),—
Otoż, na jednym balu—tak powieść dowodzi—
Był panicz i panienka—oboje zaś młodzi
I na świat wstępujący. Nie wiem czy się godzi
Nazwać ich? Więc nie nazwę, lecz węzeł zawiążę,
Gdy powiem: ona była pięknością, on—książę.
Że zaś piękność—tu węzeł mój zadzierzgnę lepiéj—
Niezawsze się na drzewie herbownéj krwi szczepi,
I niezawsze z posagiem chodzi w jednéj sforze...
Otoż wpadam w socyalizm! uchowaj mię Boże
Od téj zmory, co dusi nasze powieściarze,
I daj, niech bez tendencyi tę powieść domarzę.

III.

W potokach światła, woni, kolorów, gorąca,
Parę tańczącą para prześciga tańcząca;
Walc wirowaty salę jak uragan wstrząsa:
Klarynety wciąż górą, bas niby się dąsa;
Skrzypce, jak śpiew pastuszka w dolinie pod lasem,
Rozlegają się echem i kłócą się z basem.
To Strauss lubieżne tony do serca tak leje,
Jakby napój miłosny,—i wszystko szaleje.
Girlanda tylko matron zbyt chudych, lub tłustych,
Ustawiona pod ścianą cenzura dla pustych,
W wysokiém nastrojeniu na kamerton cnoty,
Przez podwójne lornetki śledzi te obroty
Par tańczących i wzrokiem pomiędzy nie wpada,
Aż tancerka tancerza porzuca i siada.

Właśnie usiadła jedna sukienka bielutka,
Z twarzyczką, jak w mgłach księżyc lub w mleku jagódka—
Wolę to porównanie, bo nie ossyaniczne,—
Słowem, dziewczę to było tak śliczne, tak śliczne!
Lubo nie wiem, czy jasną pleć miała lub smagłą?
Gdyż najpierwsze wrażenie bywa rzeczą nagłą,
Jak działanie promieni słonecznych Daguerre'a.
Wrażenie się przyjmuje, ale nie rozbiera.

Najpewniéj, że w niéj wszystko było odpowiednie
I w cząstkach, i w całości, i tak niepowszednie,
Zwłaszcza wyrazem oczu, potém ust uśmiechem,
Że zgubić dla niéj duszę nie byłoby grzechem,
Chociaż grzechem być może w tegoczesnym duchu,
Co się rad zabezpiecza od tego wybuchu
Przez wolne wydymanie sercowych wulkanów:
W grze, sporcie i wojażach naszych anglomanów,
Wychodzących z infimy.
Usiadła pod ścianą,
Słuchała nie słuchając już przygotowaną
Jakąś długą perorę, mówioną półgłosem,
Zniosła ostre spojrzenie, rzucone ukosem;
Zniosła nawet—co dziw mi—na czoło zsunięty
Promyk włosów, a wachlarz ma nierozwinięty,
Choć po szalonym walcu chłodzić się wypada,
Zwłaszcza, gdy pierś zmęczona wznosi się i spada
Jak fala, co uderza o morskie krawędzie.
Szumne to porównanie znalazłem w Ostendzie.

IV.

Gdyby tam jaki bystry dostrzegacz stał z boku
I uważał niezwykłą odmianę w jéj oku,
Co z pod rzęsów jedwabnych długi promień słało
W jeden punkt, tylko w jeden—bo nic nie zbaczało,
Jak i słońce nie zbacza, patrząc w boże światy,
Gdy odświeża je z wiosną w zieloność i kwiaty—
Pewnieby w lot pochwycił, jak wyżeł przepiórkę,
Jakiś sekret i w serca aż zajrzał komórkę.
Szczęściem, że go nie było! wreszcie trwało krótko;
Bo oto przed pięknością, księżycem, jagódką,
Młodzieniec wzrostem, czołem, profilem tak inny
Od reszty, stanął przed nią, a jakiś pan zwinny
Choć otyły, zapewne gospodarz zabawy,
Przedstawił go z tytułem księcia, do Warszawy
Tylko co przybyłego.
Panna się spłoniła,
Odrzekła coś półgłosem i oczka śpuściła,

Choć pewnie weń patrzała owém światłem duszy,
Co widzi o mil tysiąc i co słyszy w głuszy.
Wszak bywają osoby o dwoistym wzroku,
Co widzą w oddaleniu, nawet w nocnym mroku,
Lepiéj niż na dniu—jest to organizm nerwowy...
Wreszcie tak samo widzą i koty, i sowy.
Lecz ja chciałbym tu skreślić stan dwóch serc niezwykły,
Gdy się spotkały w tłumie i na raz przenikły,
W skutek prądów tajemnych ku sobie biegnących,
I gdzieś się w napowietrznéj drodze krzyżujących,
Aż zawiązują węzeł, sympatyą nazwany,
W którego moc nieznaną już kocha nieznany,
I wpierw nim się ich oczy spotkają, dłoń zbliży,
Już czują coś w powietrzu, i krew bije chyżéj,
A wewnątrz się rozlewa tęsknota tak rzewna,
Wszystkie myśli przenika harmonia tak śpiewna,
Że co widzą, co słyszą, co dotkną—to wszystko
Przedstawia się jak z innych światów pojawisko!
Kwiaty lepiéj im pachną, niebo błękitnawsze,
I zieloność zieleńsza, ludzie dobrzy zawsze
Jak anioły—a ziemia istny raj przed grzechem.
Możnaby świat spółbożyć takich serc uśmiechem!
Lecz dobro się nie szerzy jak mór, lub cholera,
I ten uśmiech na ustach ironii umiera!
Cóż dziwnego, że para tak usposobiona
Szukała się, znalazła, i w jego ramiona
Gdy zaprosił do tańca, jak gołąbka biała
Rozpostartemi skrzydły na piersi zleciała,
I oboje w tłum wpadli.

V.

Próżno chcieć odemnie
Bym opisywał, jak to walcować przyjemnie,
Jak wonne tchnienie wciągać, oko topić w oku,
I ulatywać w niebo w wirowym obłoku—
Bo mógłbym jak raz trącić o płaską zmysłowość,
Lub zabrnąć w Balzakową opiso-rzeźbowość,

Z zasady rozdrabianą dzisiaj na atomy,
Z czego treść arcy kusa rośnie w długie tomy
I na łokcie się płaci. Ja tam téj metody
Trzymam się, i co chwila wymyślam przeszkody,
Zupełnie jak w gonitwach końskich z przeszkodami,
Gdyż im dłuższa rzecz będzie, księgarz więcéj da mi.

VI.

Wtém orkiestra ucięła, szmer powstał na sali:
Ogólny szturm na bufet...

VII.

Gdzież będziem szukali
Pary naszéj? Nie śmiałbym posadzić ich przecię
Przy szumiącym szampanie, truflowym pasztecie,
W gawędce o miłości z krytycznym poglądem,
Niemniéj filozoficzno-estetycznym sądem,
Co się często kochankom tegoczesnym zdarza,
Że lawę namiętności leją z kałamarza.
Tam—ich nie ma. Lecz gdzież są?
Gdzieżby indziéj byli,
Jeśli nie tam, gdzie księżyc świeci, słowik kwili,
Wody mruczą i drzewa wieczorne pacierze?
Zwykle piękna natura dziesiąty grosz bierze
Z pierwszych uczuć, a zatém wniosek oczywisty,
Że w każdym zakochanym trochę panteisty.
Zgadłem!—otoż ich widzę—w oknie. Cień firanek
W połowie ich zasłania, a księżyc kochanek
Znów w połowie oświeca. Podobnie ich miłość
Teraz jasna—w przyszłości pochmurna zawiłość..
Ale gdzież im te myśli trapiące przyjść mogą,
Gdy w téj chwili prócz siebie nie widzą nikogo?
Bo i po cóżby mieli wyprzedzać tę chwilę,
Gdy w niéj upojeń, szczęścia, zbiegło się aż tyle!—
Cherubin przed jasnością bożą ócz nie mruży,
Tylko mdlejąca wiara wciąż lęka się burzy.

Nie wiem co tam mówili; milczeli najpewniéj.
Milczenie się wyraża w miłości najśpiewniéj
I najgłębiéj, jak cisza ukrainnych stepów,
Gdzie niezmierna tęsknota od niebieskich sklepów
Wieje w serce człowieka, pogrąża w zadumie,
Że już sobie ze światem rady dać nie umie.
Milczeli—po cóż mówić, gdy wszystko do koła
Tłómaczyło ich myśli? Włoskich topól czoła
Kłaniały się, winszując narodzin Erosa—
Od gwiazdek uśmiechniętych spadywała rosa
Wilgotnym pocałunkiem—róż pąkowie prysły
I cudną woń posłały wietrzykiem do Wisły;—
A słowiczek, poeta odwieczny a nowy,
Wyśpiewał dla nich sonet. Na cóż im rozmowy?
Na co rozmowy, kiedy ich źrenic promienie
Spływały się ze sobą, mieszało westchnienie,
Usta drżały jak listki, a ściśnięte dłonie
Gadały o najmniejszém drgnieniu serca w łonie.
W kontemplacyi wzajemnéj wszystko się zamyka;
Jest to w sztuce miłości największa mistyka,
O któréj ni Grek żaden, ni Owid nie wiedział;
Chrześciaństwa od pogaństwa najszerszy w tém przedział
Który znowu najnowsza chce godzić nauka:
Że kto duszę posiada, ten i ciała szuka.
Jeśli romanse grzeszą zbytnią gadaniną,
Tedy niemy bohater, z niemą heroiną
Tępoby posuwali ten dramat miłosny,
I każdyby go cisnął, mówiąc, że nieznośny,
Że autor niepotrzebne nasuwa domysły,
Że i w miłości język powinien być ścisły
Jak w algebrze; co słusznie, wszak dzisiaj kochanie
Jakby algebraiczne wygląda zrównanie.

VIII.

Nie wiem czy książę przeczuł naszą niecierpliwość,
Czyli też przyrodzona uniosła go żywość,
Czy wreszcie powódź uczuć, tak nagle jak wody
Górskie, wśród najpiękniejszéj wezbrane pogody,

Nie mogła się pomieścić w piersi bez pęknięcia,
Co się i malowało w rysach twarzy księcia,
Bladych, skurczonych bolem téj wewnętrznéj burzy,—
Bo się chwycił za piersi i jęknął:—Och dłużéj
Milczeć mi niepodobna!—W nieaktorskim geście
Znać było nieudane cierpienie. Nareszcie
Przybrawszy wyraz twarzy spokojnie posępny,
Rzekł:
—O przebacz mi pani! jeżelim występny,
Jeżelim cię śmiałością moją mógł obrazić!
Tyś wybrana i święta—a czyż mógłbym kazić
Choćby cieniem złéj myśli anielskość dziewiczą?
Ku tobie mię coś niosło siłą tajemniczą—
O mil tysiąc przeczułem, że ktoś mię tu czeka;
O mil tysiąc wiodła mię jakaś postać lekka,
Jak we śnie, kiedy człowiek po powietrzu lata.—
Z tych słów wydał się książę, że jest dyplomata,
Bo odgadł sytuacyę, w którą go rzuciła
Od wszelkiéj dyplomacyi potężniejsza siła.
A że w tém odgadnięciu i ona spostrzegła,
Jak się w jedném uczuciu z kochankiem swym zbiegła,
Więc milcząca, ku ziemi śpuściła powieki.
—Pani! mówił znów książę: twój jestem na wieki!
Jedno mgnienie rozstrzygło, namysłu nie trzeba;
Bo czuję, że się na mnie spełnia wyrok Nieba.
Nie wiem, jakie przeszkody świat pod nogi ciśnie,
Lecz wiem, że łańcuch świętéj przysięgi nie pryśnie,
I cokolwiek tu spotka, ślubów mojéj duszy,
Ludzie mogą naruszyć, niebo nie naruszy.
Ażebyś nie myślała, że w mózgu się pali
Szaleńcowi—daj mi tę gałązkę konwalii:
Będzie to moich przysiąg świadek i zadatek
Wzajemności twéj, pani! O daj mi ten kwiatek!
Położę go na sercu. Gdy to bić przestanie,
W niego przejdzie nadzieja moja i kochanie,
I wonią mówić będzie, niż ja mówię tkliwiéj,
Że choć tu nieszczęśliwi, tam będziem szczęśliwi!—
Zapomniałem z początku, kiedym te osoby
Wyprowadzał na scenę, wymienić ozdoby

I znaki szczególniejsze: kolor sukni, włosów,
Czy w nich był powój, fiołki, lub girlanda z wrzosów,
Jaka tusza, nos, usta jakiego rozmiaru?
Do pisania pasportów widać nie mam daru.
Chcąc jednak to naprawić, potrzebna jest wzmianka,
Że w jéj włosach świeciła konwalij równianka,
I że kilka gałązek, uciekłszy z szeregu,
Leżało na jéj szyi jak płateczki śniegu.
Otoż do tych to zbiegów książę miał przemowę
I żądanie przy wstępie trochę romansowe,
Co chyba wytłómaczy ta jedna uwaga,
Że na wstępie szczególniéj popłaca odwaga,
Zwłaszcza kiedy tak jedna jak druga osoba
Czuje pociąg i jedno w drugiém się podoba.
Jakoż książę zgromiony nie był, lecz przeciwnie,
Słodko się uśmiechnęło dziewczę, i naiwnie
Podało mu uszczkniętą konwalii gałązkę—
Nie jak ów, co to znalazł zgubioną podwiązkę
I aktem komedyanckim dar skompromitował:
Ona dała pamiątkę, a książę ją schował.
Wszystko to się odbyło prędzéj niż w tym rymie,
A w takiéj tajemnicy, że nawet jéj imię
Nie biegało po sali rzucone przez ciocię,
Pytającą: „Gdzie Kocia? kto mi porwał Kocię?"
Pewność tę jeszcze lepiéj ten wzgląd udowodni,
Że ludzie się nie trudnią drugimi gdy głodni—
Szczególniéj, gdy zastawne czekają ich stoły.
Wyjątkiem od reguły jest głodny a goły.

IX.

Cóż daléj? czytelniku, zapytasz wraz ze mną.
Cóż daléj? Przyznam ci się, że daléj dość ciemną
Podano mi legendę, niby kropek kilka,
W których może się zmieścić i pasterska chwilka,
I balkonowe sceny Romea z Juliettą,
I porwanie z klasztoru, i podróż karetą,
Pogoń, odbicie, scena z zagniewanym tatą,
I z jakimś kontuszowym zaciętym Sarmatą,

Co się na sentymentach nie zna ani trocha,
Co myśli, że dość kazać, a serce pokocha,
I nawzajem, że grzechem kochać bez rozkazu; —
Słowem, tysiąc scen, rysów do tego obrazu
Mógłbym brać, aby wypchać ten środek jak ptaki
Wypychają, w żołądek kładąc sierć lub kłaki —
Aż ptak będzie jak żywy, tak złudną z piór szata,
Lecz w tém sęk, że nie śpiewa, ani też nie lata.
Te wszystkie kombinacye, jak panny do wzięcia,
Przeciągały przedemną, lecz nie przedsięwzięcia
Nie zmieniało mojego. Dwa skrzydła motyle
Dano mi, więc je razem ze sobą zeszpilę,
A o kadłub już mniejsza — bo cóż po kadłubie?
W motylu każdy skrzydła lubi, i ja lubię.
Tak samo i w powieści: gdy początek dany
I koniec — to już mniejsza czém kadłub wypchany.
Zresztą, źle jest z wszystkiego na raz się wygadać:
Co braknie, czułe dusze mogą podokładać.

X.

Cóż robi nasza piękność po owym wieczorze?
Co może. A co książę? On również co może.
A zatém nic nie robią oboje. W tym szale
Wiele się wzdycha, marzy, przemyśliwa, ale
Zwykle nic się nie robi; bo i robić trudno
Gdy w samotności gwarno, a w gwarze bezludno;
Kiedy jedno za drugiém po obłokach goni,
Szuka w kwiatach i trawkach, gdzie igra Favoni,
Bożek, którego tutaj wskrzesiłem dla wiersza;
Restauracya klassyczna, zaiste niepierwsza.
Wszak ktoś tam o klassyków Warszawskiego Księztwa
Niedarmo tyle kopij skruszył bez — zwycięztwa.

Otoż choć się szukają z razu gdzie ich nie ma,
Choć miłość taką próbę dość długo wytrzyma,
Jednakowoż ból serce ugniata jak zmora:
Książę się rozchorował, i ona też chora.

Choroba jest potrzebna jak burza w naturze —
Serce jeśli nie pęknie, wzmocni się przez burzę.

A widać, że obojgu wyszło to na zdrowie,
Bo się więcéj zbliżyli odtąd kochankowie.
Jacyż z nich nowicyusze! jaki brak rutyny!
Dzisiaj rzadko kto chory z tak błahéj przyczyny.
Pewny znanéj recepty klin klinem wysadza.
Gdy jedno serce chybi, drugiém wynagradza.
Myśli takie na chwilę u nich nie postały:
Jakoż są to wyjątki — albo ideały,
Tyle tylko z drugimi mające wspólnego,
Że on chciałby w nią patrzeć, ona patrzeć w niego.
Zbliżyli się nakoniec! Lecz takie zbliżenie
Kochanek przedsiębierczy miałby w nizkiéj cenie,
Bo i zbliżenie nawet różnie się tłómaczy:
Czyż Gustaw potępieniec na szczycie rozpaczy,
I po stracie nadziei nie chciał przestać na tém,
By Marylla z nim była jak „siostrzyczka z bratem?"
Któżby na tém nie przestał? Wszak to samo szczęście!
A jednak, gdy je mamy, marzy się zamężcie.
Miłość jest jak pragnienie niezgaszone niczém.
Mógłbym to poprzeć Biblią, Dantem, Mickiewiczem,
A nawet z życia wziętym przykładem okrasić,
Gdyby dziś nie umiano pragnienia tak gasić,
Że nic się ogniotrwałéj już piersi nie czepi.
Rozsądźcie: czy to lepiéj, czyli też nie lepiéj?
Nim trybunał w téj sprawie swe zdanie wyrzecze,
Muszę wracać do wątku, bo jeszcze uciecze,
Jak z wiatrem nić pajęcza, którą snuje jesień,
Niby ostatni kwiatek stygnących uniesień.

XI.

Wracam tedy do rzeczy. A więc się zbliżyli
I widywali często z daleka; lecz czyli
Były jakie zabiegi ze strony książęcia,
Aby się ojcu panny zalecić na zięcia?
Tego nie wiem; zapewne później to nastąpi...
Wiemy jak narzeczeni zazwyczaj są skąpi
W szafunku chwil, grą uczuć tyle zaprzątniętych,
Ażeby po protekcyę gdzieś do wszystkich świętych

Biegać, kłaniać się, ściskać, wyprawiać obiady,
Układać twarz i mowę jak do maskarady,
A na dobitkę robić z notaryuszem targi —
Niżli to, milsze dla nich cierpienia i skargi.
Jakoż o tém nie myślą.
Codzień ona blada:
Rumieniec znikł od balu. W otwartém usiada
Oknie, po za kwiatkami, co w doniczkach rosną,
A przed nią z naciągniętą kanwą stoi krosno,
Gdzie haftuje: tradycya ta od Penelopy,
Wszystkie tęskniące panny iść muszą w jéj tropy.
A jednak kwiatki, listki, pod jéj paluszkami
Jakoś wschodzić nierade — bo haftuje łzami,
Główkę wspiera na dłoni, wzdycha raz po razu.
Czasem klęknie i rączki złoży do obrazu
Częstochowskiéj Madonny — i wtedy, o cudzie!
Coś ja ciągnie do okna popatrzeć. Tam, ludzie
Niby rzeka ulicą płyną — obce twarze;
Lecz chód jego w ulicznym wnet rozezna gwarze
I nigdy się zmyli. Bo oto młodzieniec
Przesuwa się, wzrok wznosi — a na nią rumieniec
Występuje tak nagły, serce drży, wzrok ćmi się...
I nie wie czy to jawa, czyli też jéj śni się?
Takie jedno zbliżenie na cały dzień starczy.
Niby z nimi nie wskórał i język potwarczy.
Lecz z czasem i on śmielszy, lubo się zdawało,
Że już po pierwszym kroku niewiele zostało,
Bo wstęp był impetyczny jak początek ody.
Dziś spokojniejsza szyba téj głębokiéj wody;
Ich gwiazdy chociaż stale wciąż dążą ku sobie,
Że jedna doba drugiéj niepodobna dobie.
Książę coraz się częściéj ulicą przechadza.
Czasem bukiet ma w ręku, co myśl serca zdradza
Symbolem purpurowym, żółtym lub niebieskim.
Czasem też na przepysznym bachmacie czerkieskim
Powoli po pod oknem przejeżdża, a zwierzę
Zwykle karne i grzeczne, jakoś na kieł bierze,
Wspina się, w miejscu kręci — nieraz popręg pryska,
I spojrzenia ich dłużéj sypią się z ogniska.

Aczkolwiek ócz wymowa ma swe cycerony,
Uczucie się wymowniéj wyraża przez tony,
Najwymowniéj w dotknięciu, w uścisku najdzielniéj.
Lecz tę skalę kto inny niechaj uzupełni.
To pewna, że miłości aż dwa są rodzaje:
Jedna tutaj się kończy, druga nie przestaje
I za grobem snuć swoich marzeń i nadziei,
Jedna nienasycona, gdy druga się przeje.
Że kochankowie nasi do pierwszéj należą,
Widać to ze wszystkiego: bo cierpią i wierzą,
I ulgi nie szukają w tém, co ją przynosi.
Przecięż kto się chce zbliżyć do panny, ten prosi
Rodziców albo krewnych o wolność bywania,
Rozpoczyna formalne o rękę starania,
Walczy z przesądem, upór, intrygę zwycięża,
I chąc być mężem, musi zdobyć imię męża.
Tryb to zwykły; lecz oni odmiennego kroju.
Codzień przejrzeć się wzajem jak słoneczko w zdroju,
Westchnąć, zblednąć, zczerwienieć, kłaść rękę na sercu,
Jakby się przysięgało na ślubnym kobiercu;
Spotkać się na spacerze, lub w kościelnym tłoku,
Usłyszeć nótę dumki miłosnéj o zmroku,
Znaleźć zgubiony bukiet, a wierszyk w bukiecie —
To już dla nich wystarcza, to szczęście w ich świecie.
I tak ubiegło lato na sennem marzeniu,
Niby anioł, co spłynął na złotym promieniu,
I przyniósł aż z Edenu kwiatów pełne kosze,
Któremi posypywał wszystkie ich rozkosze
I pragnienia człowiecze, że prawie myśleli,
Iż mogą tu na ziemi kochać jak anieli.
Lecz trafem, między inne, rodzaj niezabudki
Wmieszał się i ostrzegał, że raj ziemski krótki.
Kwiat ten zowią przeczuciem.
A cóż jest przeczucie?
Oto najsłodszych serca rozkoszy otrucie.

XII.

W romansie tym przeczucie grało wielką rolę,
I tak jéj, jak i jego owładnęło wolę,
Że na raz i téj chwili oboje wiedzieli,
Jak we śnie magnetycznym, gdzie się spotkać mieli,
I pewno nie chybili. Czy w Saskim ogrodzie,
Czy w aleach, gdzie z ciotką o wieczornym chłodzie
Wyjeżdżała powozem, czy na nabożeństwie.
Wiedział gdy słaba, wiedział gdy w niebezpieczeństwie,
Bo raz wpadł był do domu i narobił krzyku,
Że gore! Ona również w swoim pokoiku
Siedząc, naraz uczuła przestrach niespodziany,
W chwili, gdy go w nurt Wisły niósł koń rozhukany.
Słowem taką sympatyą zrosły się ich dusze,
Że przykład aż na braciach Syamskich dać muszę:
Bo jeśli się plecyma zrość mogły bliźnięta,
Czemuż dusza nie może z duszą być zrośnięta?
Przebaczcie, jeślim znudził tą metafizyką;
Wszak każdy ma pretensyę, zapewne dość dziką
Tłómaczyć fenomena, co są nad pojęcie.
Niedarmo filozofy brodzą w tym odmęcie,
Od czasu, jak im Szekspir rzekł prawdę niemiłą,
Że są rzeczy, o których ani im się śniło.
Odtąd pyszny filozof wszystko rad tłómaczy,
Z tą maleńką różnicą, że każdy inaczéj.

XIII.

Nie wiem, czylim sympatyę zdobył dla méj pary,
I czyli kto nie powie, że to sposób stary
Kochać tak niedołężnie i sentymentalnie?
Nie przeczę — i już czuję jak mię krytyk palnie.
Lecz cóż począć? tak było! nie moja w tém wina,
Że bohater marzyciel, marząca dziewczyna,
Po powietrzu latają jak Dantowskie duchy,
Z kwiatów życia strząsają ledwie same puchy;

Smutków, radości ziemskich, prawie jak nie dzielą,
I żywi, gdzieś na gwiazdkach gniazdo sobie ścielą
Z westchnień, spojrzeń, snów, rojeń i pieszczot niewinnych—
Jak gdyby mieszkańcami byli światów innych,
Jak gdyby rzeczywistość w zębate swe koła,
Nie śmiała jak człowieka porwać i anioła?...
Gniewajcie się jak chcecie, lecz miłość prawdziwa,
Rzadko jest działającą, częściéj gnuśną bywa;
Jéj ogień nie hartuje, owszem serca topi:
Najtęższi przy Omfalach zniewieścieli chłopi.
Bo kiedy łzy do oka cisną się bez przerwy,
A serce pierś rozsadza, rozstroją się nerwy,
A za gardło ból chwyta, a gorączka pali —
Czy podobna w tym stanie być mężem ze stali?
Mniemam też o niejednym wielkim bohaterze,
Co zasłynął romansem, że kochał nieszczerze,
A przynajmniéj uczucie podzielił na dwoje:
Między sławę rycerską a kochankę swoję.
Przeciwnie tam, gdzie miłość ma swój cel jedyny,
Światy marzeń ogromne, a małe są czyny.
Bohater, istne dziecko co na koń drewniany
Wsiadłszy, zrywa wędzidłem, naciska kolany,
Miota się, rzuca cały, a koń stoi wryty.
Grek niedawno z pian morskich postać Afrodyty
Tworzył, a ztąd miłości symbol: morska pianka.
I takim był mój książę i jego kochanka.

XIV.

Ile ciemna legenda dostarczyła rysów,
Tylem o nich powiedział.
Pod cieniem cyprysów,
Arab fantazyi swojéj może puścić wodze,
Bo ciekawych słuchaczów nie brak w nudnéj drodze.
Zresztą puszcza bezbrzeżna, piaskami zasiana,
Wydaje tak powieści jak fata-morgana.
Lecz u nas, gdzie bez gazet żyć prawie występkiem,
Tym podobne androny, pół-echem, pół-gębkiem,

Słuchają się i mówią. Salon nie pustynia,
Choć w puszczy niż w salonie prędzéj muz świątynia.
Com słyszał, to powtarzam, zwłaszcza że fakt pewny,
A nie bajka, gdzie wchodzą zaklęte królewny.
Otoż jednego ranka dziwny kaprys losu
Zburzył ten raj kochanków. Piorun bez rozgłosu
Spadł i rozciął jak mieczem dwie duszyczki bliźnie,
Że się już nie połączą, aż w późnéj ojczyźnie.
Mówiąc jaśniéj: mój książę wezwan telegrafem
Na dwór, wracał natychmiast. Również dziwnym trafem,
Ojciec panny zaniemógł; więc przysłano po nią,—
I oboje w przeciwne strony na raz gonią:
On na północ, daleko, — ona o mil kilka.
Chwilka ich połączyła, rozłączyła chwilka.
Czy złowrogie przeczucie ostrzegło ich wprzódy?
Czy sny były straszące, lęk serca i nudy?
Tego nie wiem; najpewniéj, że coś być musiało,
Lecz niby nie pomogło, kiedy tak się stało.
I konieczność ich wzięła jeszcze w takie kluby,
Że ni ona lubego, ani on swéj lubéj
Nie mógł nawet ostatniém pożegnać wejrzeniem.
Słońce dzień ten powinno było choć zaćmieniem,
Niebo łzami obchodzić, kwiaty listki stulić —
Przecież wdzięczna natura mogła się rozczulić
Nad nimi, kiedy uczuć była powiernicą!
A tymczasem, jak na złość, dzień nad okolicą
Rozpostarł lazurowe bez plamki namioty,
Złote słońce świeciło, świecił księżyc złoty —
I świat się uśmiechywał jak dziecię z pieluszek,
Nie bacząc na łzy krwawe rozdartych serduszek.

XV.

Grad tęsknic, melancholii, trwóg, gorzkich wyrzutów
Spadł na nich i okolił jakby klatką z drotów.
Osobno przesadzone ptaszki, obojętnie
Patrzą na świat do koła, choć wabi ponętnie
Cukierkami rozkoszy, choć przyrzeka zatrzeć
Te rysy, co tam w głębi, choć nie każe patrzeć

Po za siebie, a tylko w urocze obrazy
Różowemi małżeństwa powleczone gazy,
Piękne imię i statek, folwarki i cugi,
I podobnych konjunktur szereg jeszcze długi.
Ten język przez obojga był niezrozumiany,
I odpadał jak grochy rzucone o ściany.
Mimo tego, z obojgiem co chciano zrobiono:
On został cudzym mężem, ona cudzą żoną.
Bez żadnéj protestacyi spełnił się obrządek,
Jakby tego wymagał społeczny porządek,
Wola ojców; nareszcie, jest to rzecz przyjęta,
By chłopcy się żenili, za mąż szły dziewczęta.
Nie wierzyłem, wyznaję, w całe to podanie,
Żeby się związek taki odbył jak śniadanie,
Bez mdłości, przeklęctw, szlochów i bez krwawéj sceny;
Lecz widać, że dziś rzadziéj sztylet Melpomeny
W życie nasze się miesza, z czego wniosek taki:
Że nieprawda, co piszą Sand'y i Balzaki.

XVI.

Był dzień majowy, ciepły; mgła wilgotnych woni
Wisiała nad sadami bzów, wiśni, jabłoni;
Słowik zaś te zapachy chcąc zagłuszyć w pieśni,
Przekonał, że duch woni, duch śpiewu—rówieśni
Są jacyś geniuszkowie. Jeśli woń odurzy,
To śpiew z serca wyciśnie uczucie, jak z róży
Wyciskają na Wschodzie olejek pachnący.
Był to dzień... Dosyć tego!
Na ganek służący
Przyniósł z poczty dzienniki, i list pod adresem
Saméj pani. Gazety porwał pan obcesem
I zatonął po uszy w dziennéj polityce.
Pani list otworzyła.
Oblicze kobiéce
Nie jest duszy zwierciadłem. Niech to nie obraża:
Wszak oblicze z marmuru, pod dłótem rzeźbiarza,
Jedno-li poruszenie wewnętrzne wyraża,—

Toż marmurową maską gdy wdzieje kobiéta,
Nic przez nią najciekawsze oko nie wyczyta,
Krom tego, że los jakieś popisał tam runy,
Za któremi cierpienia leżą lub całuny.
Czytała—a na masce marmurowo-białéj
Nie drgnął jeden nerw więcéj, i prócz plamki małéj,
Co zrumieniła lice, nie znać plamki innéj—
List pewnie obojętnéj treści i niewinny.
Sam mąż, co z razu zerknął nad arkusz dziennika,
Chcąc ją spytać zkąd list ma, i co tam zamyka?—
Gdy ujrzał marmurowość, pytania nie wtrącił.
Dobrze zrobił! Na wieki byłby sobie zmącił
Wieśniaczy, czerstwy żywot. On, co się tém chlubił,
Że górnych sentymentów w kobiecie nie lubił,
Cenił w niéj gospodarność przy zdrowiu, urodzie—
Za złe nie miał, chociażby hołdowała modzie
Byle znowu wciąż nie szły sążniste rachunki.
On, co przyszedł do takiéj, jak powiadał, żonki,
Co była i gosposią ładną i posłuszną—
Musiałby teraz zgłębiać zagadkę jéj duszną.
Sęk nielada logogryf rozwiązywać taki!
Ztąd sądzę, najszczęśliwsze podobne prostaki:
Bo co wewnątrz? nie dbają, jak ci antykwarze,
Ceniący Benvenuta rzeźbę na puharze,
Nie patrzą w środek, myśląc, że naczynie próżne.

XVII.

U gminu wieści noszą jaskółki podróżne—
I ta forma w poezyi bardzo jest na rękę,
Bo ptaszkowi do dzióbka dość włożyć piosenkę,
Aby z effektem oddał smutną katastrofę.
Aktorka, gdy umiera, woli paść na sofę
Niż na ziem; ja rad nierad padam na podłogę—
I już list ten nieszczęsny powtórzę jak mogę!
Wprzódy jednak maleńki szczegółek dołożę:
Dzisiaj właśnie, rok temu na balu...
Mój Boże!
Któż potrafi rozwikłać losu plątaniny!
Dosyć, że dziś rocznica, niby urodziny

Miłości ekstatycznéj, dziwnéj, niepodobnéj,
Upowitéj promieńmi nadziei zagrobnéj,
Kołysanéj w najgłębszym dwojga dusz tajniku,
I pragnącéj co prędzéj na gwiazdy promyku
Wrócić znowu zkąd zbiegła—pomiędzy anioły—
Snadź za czysta na ziemskie walki i mozoły!

XVIII.

I wybuch jéj rozpaczy przeszedł bez wybuchu.
Jakoż wszystko stłumiła w sobie, w piersiach, w duchu,
Gdy czytała wyrazy listu od kochanka—
Bo to był list od niego:

„Pani! tego ranka
Lekarze byli u mnie. Poznałem z ich twarzy,
Że już nic się spodziewać nie mam od lekarzy.
Ledwo kilka dni życia zostało mi. Czuję,
Jak duch mój gdzieś w daleką drogę się gotuje.
Dokąd pójdzie? sam nie wiem, lecz jeśli choć trocha
Zatrzyma w sobie woli, to ku téj, co kocha...
. . . . . .
Do listu kilka zeschłéj konwalii gałązek
Dołączam: pod ich godłem zrobił się nasz związek.
One moją przysięgę słyszały... te świadki
Zasadź w ziemię—pielęgnuj jak zwyczajne kwiatki:
Jeśli odżyją barwą i wonią po zgonie,
To znak, że ja w nich żyję i dla ciebie wonię... "

XIX.

I koniec. Zakochani miewają pomysły
Tak dziwne, że je rozum nie przyjmuje ścisły;
I ja sambym odrzucił, gdyby nie uwaga,
Że żadnéj cudowności rozum nie pomaga,
Owszem depcze jak bajkę i do chorób liczy
Wszelki z zagrobnym światem związek tajemniczy.
A jednak to zdarzenie wyszło z ust prawdziwych,
I heroina sama liczy się do żywych,
A niezmyślonych osób: istna *sensitiva*,
Od światła stula listki—ale w świecie bywa

I pyta: „Co tu robię?" U wód za granicą
Spotkać się ze światową mogłeś samotnicą,
Gdyż jéj dziwna historya z ust do ust krążyła.
Zapytana o prawdę—nigdy nie taiła,
Owszem pokazywała dowód, ów uschnięty
Kwiat konwalii, pieszczony jak depozyt święty,
I nigdy nieodstępny. Liście, białe dzwonki,
Odżyły tak wspaniale, że ołtarz patronki
Niepodobna ozdobić nawet piękniejszemi,
A zapach wydawały jakby nie z téj ziemi,
Tylko inny. W legendach, gdy Święty się zjawia,
W powietrzu taką wonność po sobie zostawia.

PRZESYŁAJĄC MIMOZĘ

DO HR. J. P.

Pani, co rzadki posiadasz przywiléj,
Że umiesz mówić i słuchać najmiléj,
Często i nie wiesz w rozmowy zapale,
Jak sypiesz perły, dyamenty, opale,
Niby tysiąca nocy książę wschodnie,
Gdy każe skarby miotać na przechodnie.
Los mi nadarzył jednego wieczora,
Żem miasto rupii, schwycił Koh-i-nora,
I rad nad podziw monarszéj szczodroty,
Chciałem ten klejnot mieć w oprawie złotéj.
Chełpliwość srodze była ukarana,
Bo to był kamień z władzą talizmana,
Który mi zaraz dziwny figiel spłatał,
Żem już po ziemi nie chodził a latał
Wirowym lotem wiatrakowych skrzydeł,
W zaklętym świecie bajecznych mamideł,
Goniąc a goniąc bez tchu, wypocznienia—
Jakieś dwa Diwy, dwie Peri, dwa cienia
Zrobione z woni, muzyki i tęczy.
Myślałem, że mię ta pogoń zamęczy—

Ale na szczęście dopadłem gdzieś soli,
I one cienie wziąłem do niewoli.
Sekret to bowiem jeszcze średniowieczny,
Że kiedy dręczy kobold niebezpieczny,
Lub czarnoksiężnik gdzie na zdradzie stoi,
Solą się tylko zły duch uspokoi.
Szeroko o tém legenda pisała,
Jak marmurowa Venus z piedestała
Zbiegłszy, goniła za artystą w tropy,
Przez całą drogę z Rzymu po Alp stopy,
Jak po noclegach, spoczynkach, popasach,
Czy to w ruinach, czy w skałach, czy lasach,
W różnéj postaci trapiła biedaka,
Mieniąc się we lwa, rysia, wilkołaka,
To znów czarnego na koniu rycerza,
Co miał twarz trupią, skrzydła nietoperza—
Aż raz w zamczysku, gdy go noc napadła,
Ta sama Venus wieczerzę z nim jadła
Lukullusową. Różne tam szatanki
Siarczyste wino lały mu do szklanki,
Owoców, potraw stawiały obficie.
Artysta zmiatał—był przy apetycie.
Lecz mu się jadło niesłoném coś zdało,
Więc ze solniczki soli szczyptę małą
Wziął—i w momencie pękła czarów siła,
Tylko bogini w powietrzu zawyła...

I ten talizman, i bogini ona—
To fikcya stara—tylko odnowiona:
Że kto ze światem fantazyi się zbrata,
Ten dla zwykłego jest stracony świata,
Pewnieby w końcu zamienił się w parę,
W błędny ogniczek, lub ponocną marę,
Gdyby ratunku nie było w téj soli,
Co z ziemską biedą godzi mimowoli.
Nie wiem czy garść jéj nie za nadto spora
W téj tu powieści, i czy Koh-i-nora
Wartość nie zgasła w pośledniéj oprawie?
Osądź łaskawie.

TAJEMNICA.

Za dawnych czasów, na zamku Kruszwicy,
Jakiś tam Popiel, książątko, panował;
I był postrachem całéj okolicy:
Obdzierał, wieszał, chłostał i mordował.
Naród, zwyczajnie opuściwszy uszy,
Cierpiał zbytnika, choć przeklinał w duszy.

Przecięż nakoniec kilku wojewodów,
Którym za skórę dobrze sadła nalał,
Uknuło skrycie i bez korowodów
Skończyć z nim krótko, by dłużéj nie szalał.
Koniec ten, nie wiem, czy był romantyczny,
Czy rasynowski, dosyć, że logiczny.

Kiedy spiskowi tak radzą na zgubę,
Srogiego pana, za piecem schowany
Syn gospodarza, dziecię bardzo lube,
Słyszał przysięgi, namowy i plany.
A że wyrostek i niebity w ciemię,
Zrozumiał sekret, schował jak pod ziemię.

Wiek to był ciemny, nie wiedziano bowiem
Co są donosy, pensyjki sekretne.
O! dziś my stokroć szczęśliwsi się zowiem,
Wartość cnot znamy przez cyfry budżetne.
Ale nasz prostak nigdyby dla zysku
Ojca nie sprzedał, choć wiedział, że w spisku.

Więc z tajemnicą jak z ołowiu bryłą
Biegał dni całe, to polem, to lasem,
A od swych stronił, bo ciągle korciło
Choćby dwuznacznie coś bąknąć nawiasem,
A że poganin, nie wiedział też wcale,
Że można ulgę mieć w konfessyonale.

Nieraz dla ulgi chciał śpiewać po lasku
Swą tajemnicę—a nuż ucho zdradzi

I gdzieś zaniesie? Nieraz i na piasku
Chciał pisać kijem—a nuż się nie zgładzi?
Przed wiatrem nawet chronił sekret owy—
Nuż lodem spadnie? a wiatr był marcowy.

Lecz pewnéj doby, gdy szedł nad jeziorem,
Przyszło mu na myśl sekretu zbyć snadnie:
Niech leci w wodę z kamieniem i worem,
A nie wypłynie, co raz leży na dnie.
Więc rzekł do wody:—Pod maćkową gruszą
Księcia na łowach myśliwcy uduszą.—

Lekki jak piórko odtąd nasz prostaczek
Już się nie troszczył o ojcowską głowę—
Gdy wtém maj nadszedł: każda trawka, krzaczek,
To w kwiat wystrzela, to w gałązki nowe.
Jezioro również ubrało się w trzciny
By z wiatrem gadać o tajniach głębiny.

Tymczasem, nie wiem, przez jaki tam sposób
Wysmukła trzcina wyrosła przy kraju,
Gdzie Popiel zwykle pośród dworskich osób
Przechadzkę lubił. Więc podług zwyczaju
Idzie, a trzcina:—Pod maćkową gruszą
Księcia na łowach myśliwcy uduszą.—

Odkryty zamach! Ot właśnie z ponową
Miał Popiel jechać na łowy z rycerstwem!
I odpoczywać pod gruszą maćkową...
Teraz mu grożą takiém przeniewierstwem!
—Czekajcie zdrajcy! ukarzę przykładnie,
Za taki fortel tysiące głów spadnie!—

Był to pan, mówią, energiczny wielce:
Dotrzymał słowa—łbów skręcił niemało!
I nasz wyrostek, pomiędzy wisielce
Mógł był odróżnić głowę ojca białą.
Wpadł w wielką rozpacz, rzucił się w jezioro.
Odtąd duch jego błądzi nocną porą.

KSIĘGA CZARNOKSIĘZKA.

Biedni poeci! państwo naszéj wiary
Co dzień napada zgraja professorów,
Archeologów i sztuk amatorów.
Pochodnią prawdy zwą swe okulary.
Słusznie! Erostrat przez swoją pochodnię
Na nieśmiertelność zarobił wygodnie.

Kraków, naprzykład, kędy w grobach leżą
Nasi królowie—ach, pokój im w grobie!
Kraków—poezyi za grosz nie ma w sobie
Z Sukiennicami i Maryacką wieżą—
Czy, że poetów Duch boży unika,
Czy że zaklęty w opisie Wężyka?

Ani poeci, ni autor opisu
Winien téj prozie, lecz, jak rzekłem z góry,
Badacze prawdy. I tak, z onych który,
Wściekły bibliofil z rodu czy kaprysu,
Ów Twardowskiego otworzył fascykuł,
Choć inkwizytor łańcuchem go przykuł.

I czytał księgę, niepomny co ludzie
Mówili o jéj czarnoksięzkiéj mocy,
Że zaraz dyabeł wyskoczy jak z procy.
Ale bibliofil, nieulękły w trudzie,
Przejrzał do deski i siłą powagi
Swéj uczoności, rzekł:—To Żydek z Pragi!—

Żydek, nie Żydek—cóż kiedy zepsuta
Wiara w te dziwy! Cóż kiedy Twardowski
Został już Faustem, Niemcem z łaski bozkiéj!
Kiedyś w łeb weźmie łęczycki Boruta—
Niech swemi dyabły Lach się nie przechwala.

Owoż za czasów, kiedy nasze światy
Stały nietknięte, i kiedy wierzono.

W dyabły i czary, a baby palono,
Był żak w Krakowie, chudeusz za katy,
Gdyż po kolędzie szedł co dzień z bliźniaki:
Krup lub omasty wrzucił jaki taki.

Czasem przy święcie kapło kilka groszy,
To wnet obracał na papier, na świécę,
Zwłaszcza gdy księżyc zmieniał jasne lice—
Biedak! niewiele zażywał rozkoszy,—
Ztąd nie raz, nie sto, posyłał do biesów
Siebie i swoich Arystotelesów.

Więc kiedy bieda dojęła mu ciężka,
I głód dokuczał, i marznął pod strychem,
Umyślił szczęścia popróbować z lichem,
I jak mysz wkradł się, kędy czarnoksięzka
Księga przykuta stała na łańcuchu—
Otworzył—czytał i rzekł:—Jaw się duchu!—

Na to wezwanie zatrzęsły się półki;
Małe oktawy, in quarto, foliały
W tańiec—a globy same wirowały.
Żak nieustraszon, daléj swe formułki
Cytował, pokąd w siarczystéj zamieci
Bies się nie ozwał:—Do usług waszeci!—

Czy niespodziane takie powitanie,
Czyli też widok dość szpetnéj postury
Z koziemi rożki, z kociemi pazury,
Sprawił, że język jak kołem mu stanie.
Coś tam bełkoce; Dyabeł krzyczy:—Prędzéj!—
—Pietruszki daj mi!—a chciał rzec: pieniędzy.

Piękna pomyłka! co rzekł, to się stało.
Dyabły jak skoczą oknami i dachem
Nosić pietruszkę, aż jednym zamachem
Oną wszechnicę zasypali całą.
Szczęściem, że zawsze kur na dyabły pieje.
Ten losby Kraków spotkał co Pompeję.

OBRAZ PANAGII W BURZY.

Ce que découverte la sagesse humaine, ce sont les perils: l'homme dans ce moment devient religieux.

Chateaubriand.

Pewnego czasu, w pogody prześliczne,
Chętka mię wzięła odprawić niedługą
Na morzu Czarném, przy brzegach, żeglugę.
Okręt był grecki, na nim grono liczne
Osób zastałem, co na morskiéj fali
Jak ja, na nowość wrażeń polowali.

Przy dobrym wietrze wybiegliśmy chyżo
Na pełne morze; brzegi się już ćmiły;
Z gajów Bosforu zalatywał miły
Powiew; a fale ledwo okręt liżą,
Takie spokojne. I w podróżnych duszy
Snadź też harmonia, bo na raz się zbliżą,
I w pogadance nikt głowy nie suszy,
A rad ze swoich spowiada się wrażeń,
Albo z słyszanych gdzieś w świecie wydarzeń,
Ztąd też rozmowy urok był cudowny,
I mruk największy stawał się wymowny
W obliczu morza, tych miejsc historycznych
I towarzyszek podróży, prześlicznych.
Przecięż w regule musi być wyjątek.
Taki wyjątek był i w naszém kole:
Jakiś jegomość, z marszczkami na czole,
Siedział na boku, przy nim ksiąg dziesiątek,
W których wciąż grzebał, i tylko czasami
Wzrok swój zawieszał między obłokami.
Może się dziwił ich kształtów przemianie?
Wątpię—najprędzéj, że jakie zadanie
Metafizyczne rozwiązać zamyślił,
Bo na powietrzu a — b skreślił.

Z oryginała wszyscy się uśmieli,
I prędko o nim wszyscy zapomnieli;

Bo kiedy z duszy leje się rozmowa,
Nawet złośliwy dowcip żądło chowa.

Wtém nasz kapitan, co stał przy sterniku
I coś z nim mówił wskazując przy górze,
Krzyknął z płuc głębi:—Burza! mamy burzę!
Pozwijać żagle!—Z każdego kąciku
Wyskoczą majtki, i jak po drabinach
Pną się po masztach, po rejach, po linach.
W mgnieniu, kawałka nie zoczyłbyś płótna—
A nam zaś dziwno zkąd trwoga okrutna?
Gdyż niebo zawsze pogodne się zdało,
I tylko w dali coś niby tam wrzało.
Więc jaki taki skrył się do kajuty,
Bo już pociągać zaczął wicher luty,
I wielkie fale biły w boki nawy.

Wchodzę—aż oto w sukience złotawéj
Obraz Panagii wyjął nasz padrone
I obżegnywa każdą świata stronę—
Potém w kąciku zawiesza, i świéce
Zatli jarzęce...
Dźwigając książnicę
Całą przy sobie, wszedł i nasz literat,
Spojrzał po izbie: skrzywił się, coś nierad
Z tego co widzi, bo się rozśmiał głośno,
I mierząc obraz źrenicą ukośną,
Szemrał:—Lud głupi! lud ciemny jak w rogu!
Nie stanął nawet w filozofii progu.
Dawniéj Junonie, dziś kadzi Madonie.
O! cobyś na to rzekł bozki Platonie,
Powstawszy z grobu? co wy mędrce wszyscy?!
My tylko idziem! w miejscu stoją nizcy;
Ich świat—to cuda, świeczki i obrazki;
Nasz—filozofia, mądre wynalazki...—

Po téj tyradzie, burza się rozsroży.
Piorun maszt strzaskał, a wicher noc całą
Gnał nas na skały.—Słówby mi nie stało
Malować trwogę... prawdziwy sąd boży!

Ci ręce łamią, owi krzyżem leżą,
Najspokojniejsi, co najwięcéj wierzą.
Majtkowie także pomp swych odbieżali,
Do świętéj Panny o pomoc wołali
Z taką ufnością i z poddaniem takiém,
Że chociaż każda chwila grobem zda się,
Byliśmy pewni wzlecieć choćby ptakiem.
I ta nadzieja święta sprawdziła się.

Na raz nas łodzie rybackie otoczą:
Z tonącéj nawy, ach! jakże ochoczo!
Każdy uciekał, jak Niebu dziękował!
A gdzież filozof? czy się wyratował
Spekulacyjnym jakowym wykrętem?
Oto go widzę, leży w pół umarły—
Lecz cóż to?--z licem Panagii świętém
Szydercze usta pobożnie się zwarły!
W trwodze mu zgasła pochodnia rozumu,
Lampą zbawienia błysło czucie tłumu.

OPRYSZKI.

Na rynku w Krakowie
Wesoła muzyka;
Prowadzą katowie
Herszta rozbójnika.

Na rynku w Krakowie
Ze stryczkiem kat czeka:
—Pij, kumie, na zdrowie!
Bo droga daleka.—

—Nie będę pił wina
Choć w złotéj dasz szklance!
Wysoka drabina:
Zagram na multance.—

I wysłał z niéj głosy
Po niwach, po wodach;

Otrząsnął łzy rosy
Na kwiatach, jagodach.

—Już szczeblów połowę:
Zadzwonię w multankę;
Nim katu dam głowę,
Pozdrowię kochankę.—

I zadął jak z rogu
Na sioła, na bory;
Na każdym grał progu,
Z drzew zrywał bisiory.

—Drabina się kończy,
Niech zagram raz jeszcze:
Kto złączył, rozłączy...
Z światem się popieszczę.—

I zagrzmiał głos gruby
Jak organ grzmi farny,
Aż zrywał chmur czuby,
Aż nastał dzień czarny.

—Gdzie stryczek? kat woła—
Gdzie szyja? wżdy ciemno!—
Oj strach był dokoła,
Kat wołał daremno.

Bo z borów, siół, szlaków
Głos wrócił, a z głosem
Stu wpadło junaków
Z watażką i krzosem.

—Gdzie wódz nasz?—grzmi rzesza.
Straż broni zdobyczy...
Kat, herszta co wiesza,
Sam został na smyczy.

Przedmieścia zgorzały,
Struchleli mieszczanie,
A Tatry zagrzmiały:
—Górą Podhalanie!—

KONANIE KOZAKA.

Na kuczmańskim szlaku głucho,
Tylko wciąż majaczy tuman,
I tęt kopyt bije w ucho
Kozakowi, co zaduman,
Czy ubity u kurhana?

Ni zaduman, ni ubity;
Ognia krzesze, skałki pali,
Postrzałami wskroś przeszyty,
Porąbany wskroś od stali...
To tatarska—jedna rana.

Na niezabud miał chuścinę,
Drze, owija—już nie stało!
W gardle sucho, łyka ślinę:
—Wody! wody! wiele, mało!—
„Wody!" w stepie odwołało.

Kary konik stał w pobliżu,
Nie tknie trawy, łeb zwieszony,
Płacze pana,—a na krzyżu
Siedzi orzeł, ostrzy szpony
Na mołojca białe ciało.

—Wiem ja, wiem ja, hen! na błoniu
O trzy nieba ztąd źródlisko;
Lećmy w zakład bracie koniu,
Ja wysoko, a ty nizko.
Jak prześcigniesz, skrzydła stracę.

—A ja czémże ci zapłacę?
Chyba potniesz mię na części?—
I step tętni, gdy koń skoczy;
Gdy ptak leci, piórmi chrzęści.
Ptak ochoczy, koń ochoczy.

Długo, długo ni o ptaku,
Ni o koniu wieści nié ma—

A tu stygnie duch w kozaku,
Zmora siada nad oczyma...
Na kuczmańskim pusto szlaku!

Oj niepusto! ziemia dudni
I przemyka coś przez jary,
Konik z wodą drze od studni...
A gdzie orzeł, czy znikł w chmary?
Oj nie! orła wiezie kary.

—Bracie koniu! twa wygrana;
Daruj, daruj skrzydełkami!—
—Cyt, cyt ptaku! słyszę pana
Jak posyła świst z wiatrami,
Lecz mdlejący, nie stepowy.—

Trzy polany, trzy parowy
Jeszcze przed nim. Jak na lirze
Struny—w dwoje go przyrosło.
Schować orłom swoje piérze,
Jego wierne serce niosło!

I doniosło!—Przy junoszy
Padł, wyciągnął długą szyję:
—Pij, pij panie!—Pan nie pije.
Trup z kozaka, trup z rumaka...
Na żer orły! nikt nie spłoszy.

WYPRAWA CHMIELNICKIEGO.

NA MULTANY.

Z Niżu wieje, cichy wietrzyk wieje.
Młódź kozacka w taniec iść gotowa:
Tylko Bóg wie, nim wyjdą przez słowa,
Jakie myśli pan Chmielnicki grzeje!
Ni setniki o tém nic nie wiedzą,
Ni rotmistrze, hetmany kurenne;
Bóg, co jeden zna serce bezdenne,
Zna w Chmielnickim jakie myśli siedzą.

Nad Dniestr przyszli, mieli trzy przewozy.
Pan Chmielnicki wyprzedził obozy,
Do Chocimia skoczył, listy strzéla—
Multańskiego wyzywa Wasyla:
—Po co długo słowami szermierzyć?
Albo bić się, albo mir uderzyć.
Na przymierze przyjmiesz mię w gościnę,
Lub Wołoszy oddasz połowinę.—

Gdy Wasyli poczuł takie wieści,
Do hetmana Potockiego pisze:
—Czy hetmanie masz rozum niewieści,
Czy-ć gorzałka w drzemocie kołysze?
Czyś pancerne spoił towarzysze,
Że dopuszczasz Chmielnickiemu broić,
Trupom naszym kraj multański zgnoić,
Kraj multański naszą krwią napoić?

Lachy z grodu uchodzą, z Suczawy,
Wasylowi niosą wieść niesławy.
Po ich drodze płynie potok krwawy,
A ich trupy pilnują granice.
Wasyl patrzy na Jassy, stolicę,
Łza mu kanie:—Jassy moje, Jassy!
Jako dziewic krasa, twoje krasy.
Wiatr perzynę rozwiewa na szlaki,
Twoją krasę rozwieją kozaki!—

Pan Chmielnicki zahetmanił gracko,
Młódź na Siczy ucieszył kozacką!
Potarł Wołosz, Lachom zalał sadła!
W on czas sława jasna na nas spadła:
Kozak gonił wszem cudzym na strachy,
W Ruskie ziemie, w Perekopce, w Lachy.

ZAPRZEDANA.

Na zielonéj, na carynie
Siedzą Turcy, lulki kurzą
Przy sorbecie i przy winie,—
A Romana winem durzą:

—Hej Romanie, kumie naszy!
Przedaj siostrę Oleneczkę
Dla Turczynów, dla kardaszy
Za jedwabną, za uzdeczkę,
Za koniki maści karéj,
Za siodełko, srebrne tkanie,
Za czerwieńce, za talary,
Przedaj siostrę nam, Romanie!—

Roman do dom wraca, siada
Za stół, głowę wsparł na stole;
Dumka w dumkę, w radę rada:
Dać, czy nie dać ją w niewolę?

—Hej Oleno, hej siostrzyco!
Stół cisowy zaściel czysto:
Pomyj misy, niech się świécą
Pozłocisto i srebrzysto.
Hej Oleno! hej siostrzyczko!
W białe owiń się rańtuchy:
Rumianeńkie umyj liczko,
Może zkąd napłyną druhy.—
Siostra wyszła na podwórze
I poziera w step szeroki:
—Zkąd Romanie takie duże
Dymy idą pod obłoki?
Czy się orły skrzydły biją,
Czy owczarze turmę żeną?—
—Ni się orły skrzydły biją,
Ni owczarze to Oleno,
Ale Turki, twoje swaty
Twoje druhy i bojary;

Zawiozą cię w kraj bogaty.
Dadzą-ć złota co niemiary.—

Usłyszawszy to dziewczyna,
Ta różyczka, ta kalina,
Jako chusta wraz pobladła,
I o więcéj już nie pyta,—
Do świetlicy tylko wpadła,
Czegoś szuka—ot i chwyta
Nóż ze stołu długi, ostry...
Utopiła nóż w jelita:
—Hej Romanie, nie masz siostry!—

—Lepiéj było się nie rodzić,
Niż przebijać marnie łono.—
—Lepiéj marnie z świata schodzić,
Niż Pohańca zostać żoną!—

BRANKA TATARSKA.

Nie zapieją nocne kury,
Nie czuwają ludzie w sielc;
A tu naszły dymu chmury,
A tu naszło Tatar wiele.

Zrabowali, popalili,
Poganiają lud w jassyrze,
Powrozami upowili,
Podcinają konie chyże.

Jedzie Tatar na bezdroże,
U strzemienia brankę troczy.
Stara branka iść nie może,
Wypłakuje stare oczy.

Dniem i nocą, stepem, wodą,
Jadą, brodzą, w kraje chana.
Tatar stanął przed zagrodą,
Żona wyszła przeciw pana.

—Witaj moja! ot masz lite
Złotogłowy, zausznice,
I przywiozłem ci kobiétę,
Z saméj Polski niewolnicę.

Trzy roboty robić będzie:
Niech oczyma pasie trzodę,
A rękoma kądziel przędzie,
A nogami huśta młode. -

Więc oczyma pasła trzodę,
A rękoma przędzę snuje,
A nogami huśta młode,
A młodemu przyśpiewuje:

—Tatarczątko, luli! luli!
Ty po córce mi wnuczątko.
Córka matki nie przytuli,
Babki nie zna niebożątko.—

Tu Tatarka, wstała, zbladła:
—Zkąd ty znasz mię, niewolnico?—
—Gdy cię niańka w kąpiel kładła,
Iskra padła ci na lico.—

—Matko moja! zrzuć te łaty,
Bierz jedwabie, bierz sobole!
U nas taki kraj bogaty,
Co masz tęsknić na Podole?!—

— Lepsza moja płachta zgrzebna,
Niźli wasza szata złota;
Tobie tęskność niepotrzebna,
Po Podolu mnie tęsknota.—

ODJAZD NA WOJNĘ.

Gomon, gomon po dąbrowie,
Tuman w polu się przewala;
Wyganiała mać synala:
—Idź ode mnie, matka powie,

Niech cię Turczyn w plon zabierze!—
—O, mnie matko Turczyn zna,
Dziarskich koni stado da.—

Gomon, gomon po dąbrowie,
Tuman w polu się przewala;
Wyganiała mać synala:
—Idź odemnie, matka powie,
Niech cię Orda w plon zabierze!—
—O, mnie matko Orda zna,
Srebra, złota dużo da!

Starsza siostra z koniem czeka,
Młodsza z szablą i kołpakiem;
A najmłodsza wciąż wyrzeka:
—Którym bracie wrócisz szlakiem
Za rok? za dwa? za pół wieka?—
Wyglądają z wszystkich stron,
Czy nie jedzie z wojny on?

—Weźmiéj siostro garstkę piasku,
Posiéj piasek na kamieniu;
Codzień chodź o zorzy brzasku,
Płócz ten piasek w łez strumieniu,
Jeśli piasek zejdzie, skwitnie,
Jak na wiosnę kwitnie sad,
Wtedy z wojny wróci brat.—

Po dąbrowie grają głosy,
Tuman polem się przewala;
Przywołuje mać synala:
—Wracaj synu! zmyję-ć włosy!—
—O, mnie matko deszcze płóczą,
Rozczesuje ostry głog,
Suszy wicher—ciężkom zmokł!—

CYGANKĄ.

Cyganeczka, wróżka w boru,
Z chróstu szałas grodzi;

Młode dziewczę co wieczoru
Do Cyganki chodzi.

—Oj Cyganko! oj co wróżysz,
Masz na serce leki!
Ty kozaka dla mnie zdurzysz,
Niech kocha na wieki.—

Cyganeczka koło toczy,
I wróży wśród koła,
I dziewczynie splot warkoczy
Ustrzyże z nad czoła.

—Cyganeczko, daléj, daléj,
Mnie tęsknica taka!—
Cyganeczka kosę pali
I poi kozaka.

—Czemu w kuble mętna woda?
Czy wiatr na jeziorze?
Czego tęskni dziewka młoda?
Czy się kocha może?—

Oj dziewczyno, złe to czary,
Kozak się wywinie!
Szumią łozy, szumią jary,
Liść po wodzie płynie.

Szumij jarze, szum bajracze,
Pokąd się zielenisz!
Ty dziewczęta zwódz, kozacze,
Aż się i ożenisz!

PRZYJAZD.

Szumią łozy, oczerety.
Gdzieś kozacze z drogi, gdzie ty?
Zjechał błędem, wiatry ściga,
Konia strudził, koń naléga.

Kozak leci górą, dołem,
To jaskółką, to sokołem,
Niezmordowan, niezatrzyman,
Aż mu drogę zaszedł liman.

Liman, gwiazda w ciemnym stepie.
Konia puścił, wodę chlepie,
A sam łzami zlewa lica.
Z drzewa kuje zuzulica.

—Oj zuzulo! dobre ptaszę,
Pokaż, pokaż szlaki nasze,
Kędy jechać do słobody,
Czy przebrodzić duże brody?

Czy tam góry, czy polany,
Do dziewczyny, do kochanéj?
Ty leć przodem, siądź na drzewie,
I zakowaj mojéj dziewie.

Jak usłyszy, rzuci łoże,
O kozaku wspomni może!—
Zuzuleńka z drzewa kowa,
A pod drzewem trwa rozmowa:

—Lecę, lecę dniem i nocą,
A sam nie wiem jest-li po co?
Do niewiernéj może jadę,
Po truciznę, lub po zdradę.—

—Ja tu płaczę dniem i nocą,
Płaczę, wzdycham, nie wiem po co.
Po niewiernym płaczę ja tu,
A on buja gdzieś po światu!—

Ciszéj! ciszéj! u kozaka
Jak gwiazd w niebie, miłość taka,
A miłości u dziewicy,
Ile srebrnych łez w krynicy.

TRZY KUKUŁKI.

Wypadł sokół z lasu na caryny,
Pojrzy w koło: nie stało drużyny—
I wyskoczył z watażką na hale;
Za nim tucza, wystrzał po wystrzale,
Źle z junakiem!—Oj zielona sosno,
Skryj mię w kity, co tak bujno rosną!—

Tucza szumi sosna się chybota:
—Nie chylaj się sosno, ja sierota.
Z mojéj drużby bielą w dołach kości,
Z méj rodziny nikt tu nie zagości,
Chyba tylko strzał z rusznic doleci,
Chyba orzeł po karmię dla dzieci.—

Tucza szumi, po halach się wspina.
—Zdaj się zbóju!—z dołu napomina.
Junak milczy. Grają wciąż rusznice,
I gałęzie ścielą mu łożnicę.
Już sokolich skrzydeł nie roztoczy,
I watażki we krwi nie ubroczy!

O świtaniu wieści znosi rosa:
Trzy zuzule lecą przez niebiosa,
Wszystkie siwe; zawodzą jak wdowy.
Jedna siadła u bujnéj mu głowy,
Druga siadła przy nogach młodziana,
Trzecia siadła przy sercu, gdzie rana.
Kędy głowa—siedzi mać sędziwa;
Kędy nogi—siostrunia spoczywa;
Kędy serce—młoda narzeczona.
Matka płacze—płynie łza skrwawiona;
Siostra płacze—napełnia krynicę;
Narzeczona suche ma źrenice.
Matka płacze od roku do roku;
Siostra płacze od rana do mroku;
Narzeczona co pomyśli, wzdycha,
A co westchnie, jak drzewko usycha!

SPIĄCY MILTON.

Do ***

Zbudziłaś mię—dziękuję! Ale cóż mi po tém,
Kiedy suknią szeleszcząc, zbudziłaś przelotem?
A jam widocznie na to położył się w gaju,
Bym się obudził z myślą o straconym Raju.
Zapewneś nie wiedziała, z jakiéj to przygody
Raj utracony powstał? Słuchaj:
Milton młody
Wyszedłszy na dumanie, do jakiegoś lasu,
Tak się znużył dumaniem, że zapragnął wczasu,
Czyli, mówiąc po prostu, pod drzewem zachrapał.
A był to piękny chłopiec! zwłaszcza, kiedy zapał
Ożywiał jasne oczy, na teraz zamknione;
Za to usta miał śliczne, jak karmin czerwone,
Ząbki jak perły i włos pozłocisty, kręty.
Tam, w lesie, za aniołka śmiało mógł być wzięty.

Owoż jakaś panienka—nie wiem czy poetka,
Dość, że smukła jak trzcina, a jak sarna lotka,
Biegła sobie gaikiem, a ujrzawszy śpiocha,
Stanie przed nim, popatrzy—i bodaj już kocha.
Serduszko w niéj zadrżało, aż raczka upiekła:
Chciała z razu uciekać, ale nie uciekła,
Tylko—przebóg! ach, uszy zatulcie Angielki!
Gdyby się dowiedziano, skandal byłby wielki,—
Na ustach młodzieniaszka całusek gorący
Wyciśnie, i to głośno, choć pewnie niechcący,
Bo jakby przestraszona w gąszcz największy wpadła,
Ledwo ślad zostawując sennego widziadła.

On tymczasem błękitne przecierając oczy,
Ustami czegoś szuka, jakby sen uroczy
Chciał dogonić na jawie, i zgarnia ramiona,
Lecz w nich tylko powietrze było, a nie ona.
Senże to? ale jaki! Z raju anielica
Zbiegła pewnie i skrzydłem trąciła o lica.
Zkądże na ustach został jakiś przysmak miodny,
I czuł oddech na twarzy palący, nie chłodny,

I szelest—gałązkami zadrgała leszczyna—?
To nie duch, ale raczéj aniołek, dziewczyna!

Jéj rysy, acz przez senne oglądane tkanki,
Wyryły mu się w duszy jak portret kochanki,
W tém lepszy, że ni złodziéj, ni przypadek jaki
Mógł go porwać, lub zetrzeć ulubione znaki.
On też z nim nierozdzielny nosił się po świecie,
Lubego wzoru w każdéj szukając kobiecie,
A choć cudne spotykał, nie napotkał swojéj.
Nie wiem czyby się mieniał na Helenę z Troi.
Dość, że poznawszy krajów i ludzi coś dużo,
Zawiedziony w nadziejach i zbity podróżą,
Gdy nie znalazł przedmiotu swych westchnień na ziemi,
Rzekł w końcu: — Ona w niebie, między wybranemi!—
I daléj w lot się puścił stropem ugwieżdżonym,
Nie oparłszy się nigdzie, aż w Raju straconym,
Gdzie spotkał ową piękność widzianą za młodu,
Poznał ją i wyśpiewał—Ewę, matkę rodu...

Spróbować snu Miltona wzięła mię pokusa:
Położyłem się w gaju by dostać całusa,—
A chociaż ci sposobność dałem, jakiéj mało,
Bo i las, i samotność, i południe grzało,
Przebiegłaś niedomyślna... Oboje tracimy:
Ja całusa,—ty pani, tracisz w zamian rymy.

MOJA GĘŚL.

Zawierucha szumi, szumi,
W okna bije śnieg;
Moja gęśla to rozumie
I zabrzęknie w mig:

Coś o słońcu, coś o maju,
Coś o kwiecie łąk,
O szemrzącym też ruczaju,
Wciąż tylko brząk, brząk,

Czarne tucze wiatr nanosi,
Piorun bije z chmur;
Moja gęśla w dłoń się prosi,
Cichy dzwoni wtór:

Coś o szczęściu, o pogodzie,
O spokoju dusz,
I o rajskiem coś ogrodzie
Bez gromów i burz.

Czemuż w słońce, czemuż w ciszę
Strunką ani drgnie?
Tylko smętna się kołysze
W najchmurniejsze dnie?

Nie ma wtóru dla słowika
Ni dla gajów, wód...
Czemuś gęśło taka dzika,
Nieczuła jak lód?

A! rozumiem!—Teraz w siebie
Wciąga blask i woń:
Słucha co tam mówią w niebie,
Co tam szepcze błoń.

A nabrawszy z wiosny, lata,
I dźwięków i farb,
Kiedy jesień zakołata,
Otworzy swój skarb.

I wonnością, zielonością,
Olśni zimny dół,
Abym z wiarą i miłością
Przyszłość naszą snuł.

ŻEGLUGA.

Chodź kochanko, chodź na morze!
Wiatr nam w żagle dmie!
Nowe gwiazdy, nowe zorze
Witać będą cię!

Miniem porty i zatoki,
Kotwię rzucim na obłoki.
Precz od lądu, precz!

Kto ma duszę niewolniczą,
Temu światem — ląd;
A nam stropy nieb granicą,
Królem wiatr i prąd.
I bez świadków tu kochanie
Tajemnicze jak otchłanie...
Precz od lądu, precz!

Nieraz siądzie na maszt mewa,
Wieści niosąc z ziem,
Że tam burza łamie drzewa—
Nie smucim się tém.
Co nam ziemie! co nam burze!
Nam tu gwiazdy lśnią w lazurze,
Precz od lądu, precz!

JUTRO.

Serca pojone piołunem,
Dusze boleścią zranione,
Patrzcie na drzewa zielone
Poobalane piorunem!
Patrzcie na chmury tam w górze,
Jaka z nich tęcza wykwita:
Przejdą pioruny i burze,—
Jutro nas słońce powita.

Pielgrzymom do ziemi słońca,
Gościniec zaległy głazy:
Majaczą wody, oazy,
A piaski, piaski bez końca.
Czy dojdziem, czy nie—iść trzeba?
Ku gwiazdce, co tam przybita!
Krok jeden—zdejmiem ją z nieba:
Jutro nas słońce powita.

Jutro—lecz jakże dziś przeżyć
Tę noc, bez chleba, przytułku?
Patrzajcie, iluż w tém kółku
Przestaje w to jutro wierzyć!
A przecięż lada jagódka
Może nakarmić do syta,
Przytulić trawka mięciutka,—
Jutro nas słońce powita.

O wierzmy! tylko niewiarą
Pielgrzymy w tych puszczach giną,—
Burze i noce przeminą,
I ty się skończysz, Saharo!
Kto o swą drogę gwiazd pyta,
Bóg mu otworzy lazury;
Niewiernym da noc i chmury,—
Jutro nas słońce powita.

PODRÓŻ.

Kiedyż, kiedyż do was wrócę?
Bracia moi, siostry moje!
Ranną rosą pierś napoję,
Z głosem dolin gęśl nastroję,
I na całą błoń zaorzę?
Kiedyż, kiedyż do was wrócę?

Oto księżyc, oto gwiazda
W okno skrada się promykiem;
Och, nie powiem nic przed nikim!
Promyk będzie mi konikiem;
Dosiędę go—jaka jazda
Przez błękity wprost do gniazda!

Toż im sprawię niespodziankę!
Jaka radość, jakie płacze!
Pisklę wraca się tułacze!
Lżéj umierać, jak obaczę

W koło siebie z siostr równiankę,
Matkę, druhów i kochankę.

Każde czyta w mojéj twarzy:
—Jak się zmienił! ach, włos siwy!
Czy tam byłeś nieszczęśliwy?
Mów: czyś żywy, czy nieżywy?
Dobre czasy ujrzym, starzy—
Co Bóg zechce, to przeważy.

Biegaj, biegaj, rozpatrzże się
W całym domu: czy jak było?
Czy się dużo odmieniło?—
Wszystko dawne mi odżyło,
A porosło, jakby w lesie,
A ku ziemi domek gnie się.

I zaglądam w każdy kątek—
Zegar wita mię kukawką,
Na podwórku lipa z ławką,
Gdziem dziecinną grał zabawką;
Dnszą chwytam dawny wątek,
Z końcem wiąże się początek.

Aż czeladka mię oskoczy:
—Panicz! panicz!—ci ściskali,
Drudzy z boku spoglądali.
—My już pana opłakali!
Z nami będzie ci ochoczéj,
Tylko nie jedź w świat za oczy.—

Darmo! darmo!... Póki skryty
Księżyc w chmurze—czy widzicie?—
Póty z wami wasze dziećię;
Lecz jak stanie na błękicie,
Spłynie po mnie promyk lity
I poniesie przez błękity.

I znów biegnę między sady,
Z kwieci na skroń trząsam rosy,
W chłodném tchnieniu kąpię włosy,
Z pól i dolin chwytam głosy:

Jeszcze, jeszcze—nie ma rady!
Ot już zjeżdża promyk blady.

—Bądźcie zdrowi! bądźcie zdrowi!—
—Zostań, zostań, synu! bracie!—
—Próżno, próżno mię wołacie,
Dłoń łamiecie, rozpaczacie.
Już i za to ktoś odpowié:
Głowę utną księżycowi.—

SKARGA WIESZCZA.

Biedny wieszczu bez słuchacza,
Bez strun żywych gęśli biedna!
Jak ptaszyna, co rozpacza
Na pustyni sama jedna.

Cóż ci po tém, że do koła
Marzysz taki raj prześliczny?
Oko płacze, serce woła —
Odpowiada gwar uliczny.

Cóż ci po tém, że w podniebie
Myśl wyrywa się skrzydlata?
Chcesz co ziemskie zrzucić z siebie—
Ciemna więzi cię komnata.

Strumyk brzękiem, echem skała,
Kwiatek wonią się odzywa;
Tobie pióro karta biała —
Jeden tylko wieszcz nie śpiéwa.

Oj! śpiewali niegdyś oni
Za słowiańskich starych czasów,
Kiedy gęśl im drgała w dłoni,
Wśród Peruna świętych lasów.

Oj! śpiewali korowodem
Na teremie Włodzimierza,
Gdy róg żubra krążył z miodem
Od rycerza do rycerza.

Lub gdy lirnik z sioła w sioło
Szedł na gody, wieczornice,
Pieśnią rzewną, to wesołą
Rozpromieniał, chmurzył lice.

Dla mołojców i dla dziewic
O kukułce śpiewał chwilę;
Znowu śpiewał, jak królewic
Sławny Marko zwalczył Wilę.

To od Dniepru, od Dunaju
Znowu dumkę Haliczanek,—
Jako dziewka kwiatki w maju,
Duch słowiański splatał w wianek.

Tak bywało za Lumira,
Za Bojana — teraz jeszcze
Serbska gęśla, ruska lira
Konająco zaszeleszcze.

Chwytaj, chwytaj czuciem, uchem,
Dźwięk w powietrzu, zanim skona,
Piewco młody, z silnym duchem!
Gęśli nowo nastrojona!

Twój świat ciasny się rozszerzy
W stepy, góry, nieboskłonem;
Gdy zapiejesz, gmin się zbieży,
Abyś wstrząsał jego łonem.

Kiedyż, kiedyż dni przeminą
One czarne? kiedyż przecię
Pieśni wieszczów znów popłyną
Z sioła w sioło, wskroś po świecie?

PAMIĘĆ SERCA.

Gdyś wszystko żegnał u chaty twéj proga,
Ile też przysiąg na stałość, na wierność!
Czy to rozdzieli lądów, mórz niezmierność,
Zawsze powietrzna zostaje nam droga.

Przez nią polecą nasze myśli, chęci —
Nie wstrzyma wicher przeciwny, ni mgła!
Wierzcie nam, wierzcie, ze wszystkich pamięci
Najdłużéj pamięć serca trwa.

Od pól rodzinnych, od siostr i kochanek,
Ledwo los pomiótł — a nić uczuciowa
Im dłuższa, dalsza, tém cieniéj się snowa,
Że od pajęczych niegrubsza dziś tkanek:
Rzadko wieść jaka po niéj się zakręci,
Rzadziéj dopłynie westchnienie lub łza,—
I mimo przysiąg, ze wszystkich pamięci
Najkrócéj pamięć serca trwa.

Każdy głos z domu, to jak krzyk puhacza:
Tam brat z ojcowskiéj wyzuwa cię włości,
Kochanka trudnéj zbywa się miłości,
Owdzie ktoś sławę nicuje tułacza.
A wy rzucacie, na krzyżu rozpięci,
Płomienne słowa w dusz ostygłych dna ..
Próżne łzy, słowa! — Ze wszystkich pamięci
Najkrócéj pamięć serca trwa.

O! gdybyś duchem zapytał, pielgrzymie,
Tych drzew, wód, dolin, gdzieś młodość przeskakał,
Czy-ć pamiętają? — kamień by zapłakał,
Woda zadrżała, las oddał twe imię;
Bo dzień odjazdu każde ziółko święci,
Na każdéj trzcince wietrzyk żale gra,
Tylko u ludzi, ze wszystkich pamięci
Najkrócej pamięć serca trwa.

CZEGO WZDYCHASZ?

—Mamo! ty wzdychasz za lepszym gdzieś krajem,
Mówisz: tam będziem szczęśliwi i wolni,
Żyli jak kwiatki, jak ptaszkowie polni —
I czemuż my tu zostajem?

Powiedz mi mamo, kędyż takie życie:
Czy tam, gdzie w polu pomarańcza rośnie,
Cały rok wiosna, i lato po wiośnie?—
—Oj, nie tam dziécię!—

—To może mamo, tam jak w książce pisze:
Kędy w upały chłodek nieustanny,
W szklanych pałacach wciąż biją fontanny,
Sto dziewic do snu kołysze?
Gdzie rajskie ptaki siedzą na palm szczycie,
Perły wyrzuca na brzeg morze samo,
A rzeki złoto—czy tam wzdychasz mamo?—
—Oj, nie tam dziécię!—

—To wiem, ty wzdychasz na twoje Podole,
I po tych łanach, co się kłosem chwieją,
Po białym dworze—i lubą nadzieją
Osładzasz nieraz twe bole.
Nie bierz mię z sobą, tam—śnieżne zamiecie
I kruków stado słania się nad groby!...
I ty tam wzdychasz do ziemi żałoby?—
—Nie wzdycham dziecię!

Lecz wzdycham, synu, za ojczystą stroną—
Oby w wiosennym odżyła powiewie,
A wszystkie ptaszki na rodzinném drzewie
Witały wiosnę wróconą!
Wtenczas już, synu, nie westchnę daremno:
Będziem wśród swoich, szczęśliwi i wolni,
Żyli jak kwiatki, jak ptaszkowie polni...
Dziś, wzdychaj ze mną!

POCIECHA.

Nie skargami, ani łzami
W kres wznioślejszy dążyć nam:
Łza i skarga jak rdza plami,
Nie przemoże piekła bram.

Jeśliś prawdzie przysiągł wiarę,
Pod jéj znakiem walkę wiódł,
Dziś, choć gorzką pijesz czarę,
Dla potomków składasz miód.

Oj, nie trudem kilku chwilek
W świat atomy można zlać;
Szczęście wspólne, nie motylek,
Wieki rośnie, aby trwać.

Źle na losy zdać się z wszystkiém,
A gdy zdasz na losy coś,
To coś jeszcze pal ogniskiem
Własnéj siły, duchem wznoś!...

ZAKLĘTE KOŁO.

Wędrowiec śpiewa, gdy go podróż nudzi—
I żeglarz śpiewa na wezbranéj fali;
Biedny wyrobnik, z piosenką się budzi,
Żołnierz ponóca, oparty na stali,
Kochanek pieśnią łzę z oczu wyludzi—
Skarży się drzewom i wiatrom się żali,—
Mnie, choć te wszystkie dokuczają bole,
Nie mogę śpiewać w tém zaklętém kole!

Ptaszki codziennie, kiedy wstają zorze,
Dźwięcznemi chóry gwiazdę dnia witają,—
A mnież co słońce najwyższe pomoże,
Gdy zewsząd takie chmury naciskają?
Darmo! choć palce na struny położę,
Brzękną raz dziko i wnet się zrywają...
Kiedyż w harmonię przerodzą się bole,
Kiedy zaśpiewam w tém zaklętém kole?

Niegdyś, gdym wierzył w gorączkowe szały,
Bywał dla pieśni tajemny zakątek,
Zwodnicze życia w około mię grały,
I napowietrzny wił się jakoś wątek.

Dziś, one postać szatanów przybrały,
Burzących świata nowego początek;
Zewsząd czyscowe dojmują mi bole—
Jakże zaśpiewać w tém zaklętém kole?

Baśń o łabędziu chodzi dawnéj treści,
Że pieniem zgonu zwiastuje zbliżenie;
I tak dźwiękami srogą śmierć rozpieści,
Że z lekka w wieczne przenosi go cienie.
U mnie, tu w głębi, aż tyle boleści!
Zaśpiewam—może śmierć przyjdzie na pienie...
Darmo! choć jakaś myśl siedzi tu w czole,
Nie mogę śpiewać w tém zaklętém kole.

CZAS DO BOGA.

Ziemskim potęgom tylem się nasłużył,
Napalił ofiar z czynów i uniesień,
Jam się mojemu Bogu tak zadłużył,
Jako ten rolnik, gdy nań wczesna jesień
Razem uderzy, a pole odłogiem...
Czas było z ojców połączyć się Bogiem!

W strasznych ciemnościach długo się chadzało,
A choć wśród cierpień i jęku rozpaczy,
Na promień łaski człek baczył tak mało,
Tak bezrozumnie dufał w szał junaczy,
Że myślał niebo zwalić pychy rogiem,
Czas było z ojców połączyć się Bogiem!

Odkądem z starą wziął rozbrat osobą,
Ścieżki mych ojców, jako drogi mleczne
Widzę za sobą, i widzę przed sobą
Ścieżki przyszłości, ni to tęcze śliczne...
Czemużem chodził w przeciwieństwie srogiém?
Czemużem z ojców nie łączył się Bogiem?!

Drobneż, ach drobne te mędrków rachuby,
Jak pył kurzawy, którą szatan wznieci!

A ta ich wolność—to na dusze śruby;
W miłości ojca najwolniejsze dzieci:
I głów nie ugną, nie klękną przed wrogiem...
Czas nam, czas bracia połączyć się z Bogiem!...

CZY JUŻ WIOSNA?

Mury, dachy wszerz i wzdłuż,
Nad dachami dym i kurz,
Ani nieba, ani łąki,
Ani mówią tu skowronki:
—Czy to wiosna już?

A tam w oknie coś zieleni?
To wazonki
Pełne lilij, róż.
Biedne kwiatki
Z swojéj klatki
Zapytują tych kamieni:
— Czy to wiosna już?

Czy już wiosna? kto nam powie?
Czy nietoperz, pan ciemnicy?
Czy powiedzą krzyki sowie
Z pustek dachu? Źle, kto budzi
Duchów nocy!—Spytam ludzi.

Ot tam, widzę, ogrodnicy
Z koszykami na targ śpieszą,
Z wiosny się cieszą,
Bo z wiosny żyją.
Mają ogórki, sałatę, groch młody,
Tętna przyrody pierwéj dla nich biją,
Jak dzieci wiszą u piersi przyrody.
Ich zapytam.
—Czy już wiosna?
Czy się rozmaiły lasy?

Łąki w majowe ubrały atłasy?
Czy dużo kwiatków? kukułka miłosna
Czy kuka?

OGRODNIK.

Nam co po wiośnie?
U nas bez wiosny, a wszystko rośnie—
To sztuka!

JA.

Ależ drzewa, murawa?

OGRODNIK.

Tylko dla oczu zabawa
Ogród angielski! u mnie warzywny,
Niepiękny, lecz pożywny.—

Źlem trafił! on zysku kłem
W ziemi ryje, jéj przerabia soki
Zgnilizną, szkłem,
I myśli, że Bóg obłoki,
Że stworzył ziemię i światy
Dla ogórków i sałaty!

Tam grono miejskiéj czeladzi
W święto niedzielne rade się prowadzi
Od warsztatów, na wioski, na błonie,
Wyschłe piersi poić zdrowiem.
Lśnią się oczy, radość w łonie,
Od nich o wiośnie się dowiem.
—Moi panowie! pewnie z przechadzki?—

JEDEN Z CZELADZI.

Tak, ze wsi.

JA.

Czy tam już wiosna? nie wiecie?
Czy jak dziewica wieniec sobie plecie,
Rozwiesza perły i motyle cacki?
Czy się rumieni rumieńcem róż?
Czy zerka oczkiem strumyków?
Powiedzcie: czy wiosna już?

JEDEN Z CZELADZI.

Któż to zgadnie! ogrodników
Pytaj panie, czy tam wiosna?

Tam—masz piwo,
I Marysię czarnobrewą,
I zieleni się tam sosna,
Godło karczmy.
Słuchaj kumie!
Bo to waszeć wszystko umie,—
Jeśliś widział, powiedz panu.

DRUGI Z CZELADZI.

Nie widziałem...
—Czcza mozoła!
Duszą, ciałem lgną do dzbanu.
Świat im krąży po pijanu,
Oni osią tego koła.
Klnę tęsknotę!
Z ust prostaka w szczerozłote,
Fantazyjne chciałem ramy
Ująć obraz; jak zwierciadłem
Porozświecać głąb méj jamy
Słońcem wiosny—i w noc wpadłem!
Bądź co bądź,
Choćbym miał się lodem ściąć,
Zapytam jeszcze. Widzę młodziana
Z książką w ręku, wraca z pola,
W oku myśl wielka wplątana,
Czytał Żan-Pola.
—Młodzieńcze! z nóg twych, okurzonych pyłem,
Wnoszę, żeś był za miastem.

MŁODZIENIEC.

Byłem.

JA.

Ha! czy tam wiosna? schwytałżeś wietrznicę
I tulisz w zmysłach, jak w oku źrenicę,
Barwę, cień, blaski? jak w zaklętym domie
Sił rozpowiciem grała-ć niewidomie,
A tyś dźwięk łowił, trzymał w dzwonie ucha,
Aż w rym odegrał dzwon ducha?
Czy tak? wiosna—młodzieniec—
Myśl jedna: milion kwiatów w jeden wieniec,
Ty mi objaw wiosny cud...

MŁODZIENIEC.

Cud wiosny? Po deszczu coś trochę zielono,
To fenomen; ziemi łono
Resztką ognia topi lód.
Czytam wulkanów systema,
I powiadam: Wiosny nie ma
I być nie może; w jądrze żar przygasa,
Z wierzchu rośnie lodów massa—
Słońce toż samo w lody się zamyka,
I znowu chaos nastaje dziedziczny.

JA.

Więc wiosny nie ma? Dowód śliczny.
Jam go wzniósł nad brak uliczny!
A on mu niewart rozwiązać rzemyka!
Jest wiosna, bo jest miłość,
Rozpowicie, bo zawiłość.
Pierwéj krąży sok pod korą,
Nim wystrzeli maju wiankiem:
Zgadniéj czuciem, a przed porą
Staniesz się wiosny kochankiem.

1834, w więzieniu.

ITALIAM! ITALIAM!

—Poeta, młody, a Włochy tak blizko!
Bierz kij pielgrzymi, zwiedź bogów siedlisko
I sztuk kolebkę, pomniki i groby,
I Rzym chrześciański, ten posąg Nioby.
Spiesz, śpiesz za Alpy, choćbyś nic nie zyskał,
Tylko trzydziestu wieków prochy ściskał...

—Nie kuś szatanie mową twą zwodniczą,
Nie budź tęsknoty mgłą gór tajemniczą.
Jakby tam za nią raj sielski Tybulla
Głuchy na dźwięki gineów John-Bulla;
Jakby tam głazy nie były głazami,
Choć tylu wieków mówią językami;

Jakby zbawienie czekało pielgrzyma!...
Prochy i groby! Gdzie dziś grobów nié ma?
A ty mnie jeszcze, z duszą rozbolałą,
Każesz iść płakać nad przeszłością całą
Rzymskich rozwalin, szukać ognia wiary
W dyplomatycznym chłodzie téj tyary...
A może śmieszniéj, bym jak Elgin wtóry
Z fresków, płaskorzeźb poodzierał mury,
I niemi zdobił śniegami zawianą
Na naszych stepach lepiankę słomianą?—

—Więc nie chcesz gruzów?... Człeka badaj, człeka.
Duch jego w formę troistą tam ścieka:
Religii—niebios błękitnych—umnictwa—
Trzy najwspanialsze Italii dziedzictwa!
Bierz kij pielgrzymi: choćbyś nic nie zbadał,
Tylko z krwią Bruta, lub Rienzich gadał.—

—Marna to wielkość onych bożków Rzymu,
Których sława nie stoi za kłąb dymu,
Co się z męczeńskich stosów w górę ciągnął,
Gdy gołąb orły w wóz tryumfu wprzągnął.
A jednak państwo miłości, pokory,
Ma swą purpurę i swoje liktory.
Wrzącym przesądem, jak słońce równika
Pali wśród siesty czaszkę lazzarona,
Co pod kolumną rzymskiego portyka
Utracił wolę do życia—i kona!
Piękne mi niebo, piękny cud Madony!
Dziwni umnicy: Rafał i Torkwato,
Co swoim pendzlem, swojemi bardony
Ubogacili ziemię tak bogatą,
Dziatwę jéj karmiąc dziewięciu muz mlékiem!
O wy niebaczni! Wśród takich pamiątek
Zabyć wam było Romula początek,
I wilczym wnuków nie nakarmić szpikiem?
Krew bohaterów byłaby w nich wciekła
Na wykupienie z Dantowego piekła.

Patrzcie! śnią teraz—jak w nudów świątyni
Duchy ich wstrząsa smyczkiem Paganini,
Improwizator, skoczek lub kastrata
Wodzą na pasku dawnych królów świata.
O ziemio bogów, wieszczów i malarzy!
Stopa pielgrzyma ciebie nie znieważy.

1840 r.

ZIMA I LATO.

I.

Styczeń rozpostarł śnieżne całuny,
Posępno, głucho, jakby wśród truny.

Ponocne mary wyją w zamieci—
Matka ukradkiem do boru leci.

Samotna chatka stoi tam w borze.
Puka:—Otwórzcie!—Oj nie otworzę—

Ofukła wróżka, niedobra jędza.
A matka:—Syna los mię przypędza!—

—Losów nie zmienisz, jakie bądź padną,
Ni siłą woli, ni sztuką żadną.

Już policzone lata, dni, mgnienia,
Wiem co go czeka, z ksiąg przeznaczenia.—

Cóż tajemnica słów wróżki znaczy?
Matka dłoń łamie. Krzyk sów, puhaczy

Ze starych zwalisk, coś złego wróży...
I mary jęczą w śnieżystéj burzy.

II.

Słoneczkiem letniém gorą niebiosy,
Z błoni wesołe wstają odgłosy.

Skacze co żywie: muszki, motyle,
I cyprys wesół, choć na mogile.

Jeden tam młodzian chmurne miał czoło,
Jakby w zaklęte wpisany koło,

Unikał słońca, bieżał w puszcz ciemnie,
Starca o rady pytać tajemnie.

Starzec miał długą, po sam pas brodę,
W oku gwiazd blaski, w czole pogodę.

—Niech cię zła wróżba, synu, nie trwoży.
Idź! drogę życia wskaże Duch Boży,

A z sercem prostém i wolą silną
Zyszczesz szczęśliwość tutaj niemylną.—

I po tych słowach rozwiał się w parę,
Lecz słowa starca: natchnęły wiarę.

—Niech los nasyła męki, łzy, bole,
Znam drogi Pańskie, w piersi mam wolę.—

Odtąd polubił jasne niebiosy,
Świat mu się wdzięczył i w kropli rosy...

WIEJSKI KOŚCIOŁEK.

Jakież to wdzięczne wita mię ustronie!
Wśród lasu łąka, przez łąkę rzeczułka,
Wzgórek—lipami wieńczone ma skronie,
Nad wieńcem liści błyszczy krzyż kościołka.

Ot, na mszę dzwonią! Strząsnę kurz pielgrzymi,
Przestąpię długo omijane progi;
Lud wiejski ciągnie—pomodlę się z nimi:
Wszak najbogatszy w wiarę lud ubogi.

Tutaj konają świata dźwięki próżne,
Jakoś na duszy ochoczo i lekko.
Szały namiętne, zapędy bezdrożne,
Zostańcie za mną daleko, daleko!

Wybrani idą do świętego stołu,
Przyjmować w skrusze Ciało i Krew Pańską.
Ja jeden stoję—ach szczyptą popiołu
Posyp kapłanie tę dumę szatańską!

Może mnie łaska ożywi niebieska,
Wypchnie zwątpienie z méj piersi ściśniętéj,
I jaka łezka, z lat dziecinnych łezka,
Wróci mi pokój niewinny i święty.

Aż wtém, wśród wiernych zagrzmiał hymn niedzielny.
Głos mój połączę z tych prostaczków pieniem:
—O święty Boże! święty nieśmiertelny,
Zmiłuj się!—Łzy mi pociekły strumieniem...

Och! bo lat wiele, upłynęło wiele,
Jak ucho moje tych pień nie słyszało
W ustach współbraci, i w takim kościele—
Młodszém wspomnieniem serce zapłakało.

Bo któż bez żalu może w przeszłość patrzeć,
Kto wolen cierpień, goryczy tajemnych?
W obliczu Pana, ktoby nie chciał zatrzeć
Łzami, na karcie życia rysów ciemnych?

I Pan przemówił do mnie w onym śpiewie,
Wiarą, nadzieją i miłości mocą,
Pan mię uczynił liściem na tém drzewie,
Co świeżym wiankiem połyska nad nocą.

NIE SŁUCHAJ PIOSNEK.

DO***

Nie słuchaj, dziewczę, piosneczek guślarzy,
Choć ucho głaszczą słowiczemi dźwięki!
Zatruty oddech kwiat twéj wiosny zwarzy:
Guślarz dba tylko o sławę piosenki.

Piosnka guślarza—to uścisk upiora,
Co w śnie niewinnym krew dziewic wypija;
Z jedwabnych rzęsów, rumieńca, kędziora,
Piosnkę uprzędzie, spokojność zabija.

Słyszałaś w bajkach, jak wędrowca zdradą
Wabi na bagna szatan w złota blasku;
Tak guślarz wabi w swoje Eldorado,
Aż wyprowadzi na pustynię piasku.

Bo serce jego—jak wulkan spalony,
A ideały—jak pajęcze sieci,
Westchnienie jego—jak rozbite dzwony,
A błędny ognik do kresu mu świeci.

Nie słuchaj piosnek dla dusznéj swobody,
Każda z nich wagą uczucia się ceni.
Uczucie wielkie—dyament cudnéj wody,
Ozdoba koron; rozbity—pierścieni.

DZIECIĘCE LATA.

Piękne to były dziecięce lata,
Kiedym zaledwie odnikł od ziemi!
Myśl moja często ku nim ulata,
Złocąc je snami, łzami cichemi.

Kiedym to igrał na matki ręku,
Kolano ojca było konikiem,
W sercu woń taka i tyle dźwięku!
Oj, nie płakało jeszcze po nikim!

Świat wtedy dla mnie taki był mały!
Ludzie tak dobrzy jak ich cukierki,
Gwiazdki milionem oczek mrugały:
Chciałem mieć skrzydła, zdjąć te iskierki.

Lub kiedy księżyc wyjrzał na wzgórze,
Biegłem ku niemu—już, już go chwycę—

Znowum po niebie jeździł na chmurze,
I za batożek brał błyskawicę.

Widziałem słonko, jako się kładło
W złote łóżeczko z chmurką pod głowę,
Jak go jezioro potém odkradło,
Ledwo już rąbki widać różowe.

Co ranek, wieczór jam myślał sobie:
—Jaki Bóg dobry! dla méj zabawki
Zrobił ten księżyc, słońce na dobie,
Ptaszki, motylki, kwiatki i trawki.—

I co dzień rano, wieczorem co dzień
Mówiłem pacierz razem za mamą:
—Boże! niech będę darów Twych godzien,
I niech Cię kocham zawsze tak samo!—

O gdzież te lata?! Na pełne morze,
Jak od wybrzeży fala odbita,
Odbiegły—znikły. Kiedyż o Boże!
Anioł lat młodych we mnie zawita?

SONETY.

I.

Petrarcha, Michał Anioł, Szekspir, Filikaja,
I krymskich sadów śpiewak—moi przewodnicy!
Promieni z ich obrazów pełno w méj źrenicy—
Czyż nie jedno uczucie gęśl naszą nastraja?

Kiedy zwierza obsaczy w kniei gończych zgraja,
Jedna myśl was unosi łowów zapaśnicy:
Ręka chwyta kordelas, oko cel rusznicy—
Zwycięzca, kto się pierwszy krwią zwierza upaja.

Który wygrał w tych gonach na miłosném polu,
Nie wiem, ani zgadywać napróżno się kuszę —
Najpewniéj rymy wasze są to dzieci bolu,

Co krzykiem napełniają ciemną serca głuszę
Lecz świat sądzi inaczéj: w Kapitola wianki
Znajome, nieznajome, wplata wam kochanki.

II.

Któż o miłości śpiewa, a jeszcze w sonetach!
Anachronizm, dziś tylko studencka rozrywka!
Dzieje serca powtarza każda pozytywka,
A romanse w socyalnych smakują atletach.

Dawniéj były kobiety—dzisiaj o kobietach
Nie słychać, na ich miejscu w spódnicach ideje,
A bohater, gdy bardzo już się rozszaleje,
Każe się postrzydz w Turka, tyje na sorbetach.

O, biednaż wasza dola, piosenki sieroce!
Ronione rażem z łzami w nieprzespane noce—
Cóż poczniecie, gdy zimno i wzgarda was zwarzy?!

Co poczniem? wszak ptaszyna i na mrozie śpiewa;
A śpiewa pod okienkiem, i nikt się nie gniewa—
A nuż śpiew nasz posłyszy Ona... i zamarzy?

III.

Jam tak o ludzkie sądy mało dbały,
Że czy mię sławią, czy mię też niesławią,
Spoglądam z brzegu, jak na morskie wały,
Co żwir i namuł po sobie zostawią.

Bo i cóż znaczą swarliwe bazgrały?
Kto mózgu nie ma, pewnie go pozbawią,
Kto nieobronny, padnie pod ich strzały,
Za co mu pomnik z papieru wystawią.

Tylko o jeden głos twój, luba! stoję:
Kiedy samotni znajdziem się oboje,
A ja ci czytam, lub coś rozpowiadam,

Ust twych i oczu śledzę wyraz każdy,
Jeśli się schmurzą—jak od gromu padam,
Jeśli uśmiechną—lecę po nad gwiazdy.

IV.

Samotny, nagromadzam w duszę takie dziwy,
Jakich w Szecherezady powieściach ni słychu:
To wyspy pływające, to gaje, zdrój żywy,
A wonno, miękko, błogo, jak w róży kielichu.

A jaki na doręczu mam dowcip szczęśliwy!
A jak umiem z słabości zdjąć i pozór grzechu!
O, już dzisiaj podbiję ten duch uporczywy,
Połamię ten twój oręż ironii i śmiechu.

Wchodzę, i zaraz oko uwięźnie w jéj oku,
Wrząca żądza na dołkach usteczek się wiesza,
Myśl się plącze w warkoczów rozwianym potoku.

Głowa, serce, krew, wola, wszystko tak się miesza,
Że nie umiałbym nigdy powiedzieć na dobie:
Czy ja jestem sam sobą, czyli tylko w tobie?

V.

Dwojakie dzisiaj chcę obchodzić święto:
Królowéj nieba zapalam gromnicę,
A mojéj ziemskiéj otwieram skarbnicę
Nieuronioną i mnie niepojętą.

O byleś chciała spojrzeć w odemkniętą!
Znajdziesz myśl-dyament i rubin zapału,
Szmaragd-nadzieję i kawał kryształu—
Łzę skamieniałą ze sercem zrośniętą.

Błagam cię: bierz z niéj, o bierz mój aniele!
Nic mię nie żałuj; wiele, tylko wiele!
Bo te dyamenty, rubiny, szmaragi

W zamknięciu świecić nie mają odwagi,
Lecz gdy ozdobisz niemi pierś i skronie,
Podwójnym ogniem każdy z nich zapłonie.

VI.

Że za tobą przepadam—i cóż ci to szkodzi,
Gdy przepadam z daleka, milczący jak kamień?

Przecięż ja król wszechwładny w świecie mych omamień,
Jak wśród morskich przestworzy rozbitek na łodzi.

Gdy w tęsknocie ku tobie dzień po dniu mi schodzi,
Gdy oczy wypatruję ku wieści o tobie,
Gdy gwiazdę powiernicą tęsknot moich robię,
A imię wiatrom rzucam—i cóż ci to szkodzi?

Czyżby jęk mój daleki, jak widmo w Makbecie,
Przecinał dwa westchnienia ku sobie płynące,
I w drodze mylił usta siebie szukające?

—Gdzie jest dwoje szczęśliwych, niepotrzebne trzecie.—
O masz słuszność! cierpienia krzyk zawsze dochodzi,
Choć sto sążni pod ziemią... To szkodzi! to szkodzi!

VII.

Akt piąty, katastrofa! łzy—sztylet—trucizna—
Zwykle stoją w programie, lecz dziś to nie moda,—
Natomiast lekka w mowie ironia—i woda—
I zwykłych uprzejmości trzydniowa pańszczyzna.

Ktoby się był spodziewał! jednak któż nie wyzna,
Że kiedy go uniesie raz namiętność młoda,
Stokroć więcéj w wątpliwość świat i Boga poda,
Niż przypuści, że zgoić mogłaby się blizna,

Sercu zadana? Miłość, dopóki marzeniem,
Jak ptaszek w złotych piórkach po powietrzu lata,
Póty wierzysz w uczucia tego nieskończoność;

Lecz niechaj rzeczywistość do drzwi zakołata,
Mgły życia na majową upadną zieloność,
Młodość, wiosna i miłość zostaną wspomnieniem!

1837 r.

NAD RENEM.

Zamki nadreńskie, olbrzymów łożyska
Ze skał wykute! gdy was okiem mierzę,

Gotyckie łuki, sklepienia i wieże—
Małość dzisiejsza o ziemię mię ciska.

A cóż dopiero, gdy sztuk dziwowiska
Oglądam: śpiące w granitach rycerze,
Rzeźby kamienne, lekkie jako pierze...
Zazdrość mi z oczu łzę gorzką wyciska,

Że na méj ziemi, na téj białéj księdze
Nie ujrzysz—tylko kurhan, a pustkowie,
Łzy bezowocne i bezśledną nędzę—

Natenczas niebo wyzywam, niech powie:
Czyśmy wyprzędli wszystką życia przędzę,
Czyśmy dopiero wyprzędli w połowie?

NA LIŚĆ Z WIEŃCA TASSA.

PRZYSŁANY Z RZYMU.

Uszczkniony w San-Onofrio liść z wieńca Torkwata
Przysyłasz mi. To nie liść, a jedno cierń krwawy,
Co się w wawrzyn przerzucił, skroń wieszcza oplata,
Gdy go całun powija pieluchami sławy.

Czyż nie cierniem mu była jego dworska szata?
Nie cierniem te kancony na książęce sprawy?
Nie cierniem fawor pański, lub więzienna krata?
Nie cierniem Leonory uśmiech na pół łzawy?

Zaprawdę—kogo Pan Bóg posłał tu na ziemię,
By wiązał i grzał serca, myśli kruszył pęta —
Biczowanie go czeka w świecie, jak w eremie,

A dni jego jak burzą miotane okręta...
Ale cóż go obchodzi ostry cierń, lub brzemię?
Jego dusza w żywocie, a już w niebo wzięta!

DO **

—Hej! hej! pierzchliwe, Postumie! Postumie!
Zbiegają lata. Ni modlitwa nasza
Zmarszczków z oblicza odstraszyć nie umie,
Starości, ani śmierci nie odstrasza. —

Taką piosenkę w napadzie splinowym
W sadach Tyburu Horacy gdzieś składał;
Toż jam, w humorze jak on nieróżowym,
Tę jego strofę dla ciebiem przekładał.

I mnież się trapić, że z drzew mego sadu
Jeden mię cyprys na grób odprowadzi?
I mnie, że z piwnic dziedzic mój bez ładu
Drogą cekubę powysącza z kadzi?

Wszak jam z tych rzędu, co przyszli za późno,
Gdy Zeus już lenne porozdawał włości,
Co bez dóbr ziemskich żyją sobie luźno
Kroplą nadziei, wiary i miłości.

Cóż mię obchodzą cyprysy, cekuby?
Byle gęśl nasza, ta wdowia orlica,
Strzegąca sławy ojców od zaguby,
Godnego w tobie znalazła dziedzica.

Oby niepłonném było to przeczucie:
Że pod twym palcem gęśl jak rumak skoczy—
Hymny popłyną zwycięzkie, koronne,
I mnie mogilna ziemia lżéj przytłoczy.

DO ODJEŻDŻAJĄCÉJ NAD REN.

Jeżeli pani będziesz w nadreńskiéj dolinie,
Radzę zwiedzić Moguncyę. Znajdziesz tam świątynię.
A po prostu katedrę romańskiego stylu,
Kędy pośród zabytków budownictwa tylu,
Zachwyci cię czworobok krużganków zamknięty,
Zaciszny i budzący w sercu spokój święty,—

Bo to jest Campo Santo mogunckiéj przeszłości.
Tam—pod rzędem nagrobków leżą sławne kości
Burmistrzów, professorów, możnych patrycyuszy.
Każdy ma szumny napis, który cię nie wzruszy—
Pomiń je, a uważnie zwróć oko na jedną
Gotycką płaskorzeźbę, wcale niepośledną,
Która wiem, że się pani od razu spodoba.
Będzie to skromny pomnik wieszcza Frauenlob'a.
Grono niewiast mogunckich z głowy spuszczonemi
Trumnę jego tam niesie do święconéj ziemi.
Że go płaczą—o! znać to w fałdzie każdym szaty—
Bo i jakże nie płakać tak serdecznéj straty!
Z nim miłosne piosenki zstąpiły do grobu,
Ochocić się bez niego już nie ma sposobu —
Żadne z wesel ni biesiad pewnie się nie uda!
Minenzenger, miłości umiał śpiewać cuda,
Nią zapalać serduszka, łagodzić tęsknice,
Płakać z wdową, do ślubu prowadzić dziewicę,
Słowem, wdzięcznemi rymy opiewać te dzieje,
Kiedy serduszko skacze, rośnie, albo mdleje...
Pięknyż mu hołd oddały wdzięczne Moguncyanki,
Gdy go niosły do grobu i sypały wianki!
Toż i pani, nie wątpię, ta myśl się spodoba,
Byś westchnieniem uczciła pomnik Frauenlob'a.
Acz to Niemiec—cóż szkodzi?—lecz kochał, więc za to
Jedno łzawe spojrzenie będzie mu zapłatą.
Bo i ja, gdybym rymów naskładał tysiące
Na usteczka z korali, na oczy mówiące,
Na liliowe kibicie i krasne jagody—
Och! i jabym się obszedł bez większéj nagrody,
I miasto jakiéjś sławy głośnéj, niepośledniéj,
Wolałbym na mym grobie łzę tylko od jednéj.

1855 r.

DO P. R.

MÓWIĄCEJ SWOJE POEZYE.

Chociaż w poezyi różne są gusta,
I tyle sądów co głów,
Przecięż to lubo, gdy piękne usta
Grają harmonią słów,

I każdy obraz, myśl, porównanie,
Illustruje wyraz lic.
Przy tej poezyi wszelkie pisanie
Niewarto nic a nic.

Tom myślał sobie, gdyś wczoraj pani
Mówiła piosenki z gór,
Istny skowronek, kiedy najraniéj
Wzleci i śpiewa z pod chmur.

Tyle tam było świeżości wonnéj,
Tyle dziewiczych śnień,
Że chociaż dzisiaj do prozy skłonny,
Uczułem tych kilka drżeń,

Jakich w młodości mej doświadczałem,
Gdym skrzydła u ramion czuł...
Tryumf niemały, natchnąć zapałem
Tego, co wierzy na pół!

Więc ukarany za mą niewiarę
W czarowną poezyi moc,
Orlice białe, czarne i szare
Marzyłem przez całą noc.

Marzyłem łódkę Dunajcem gnaną,
Białą dziewicę wśród fal...
Wtém bije ósma godzina rano—
Marzeń tych, jakże mi żal!

PAMIĄTCE

ZGASŁEGO PRZYJACIELA

JÓZEFA DUNINA BORKOWSKIEGO.

Zgasłeś bracie, piewco młody,
Polsce, druhom, wcześnie!
Ni cię żegnał dzień swobody,
Ni koło rówieśnie.
Zgasłeś bracie, piewco młody!

Życieś zbrzydził—oj wiem czemu!
Bo się wlokło nudnie...
Tyś ku słońcu gnał jasnemu
W najburzliwsze grudnie.
Życieś zbrzydził—oj wiem czemu!

Komu w sercu duch Hellady
Tlił jak lampa w grobie,
Temu pewnie świat nasz blady,
Temu tak, jak tobie,
W sercu gorzał duch Hellady.

Duch Hellady, co posągi
Krwią i życiem poi,
Co na okrzyk: „Missolongi!"
Krocie Kleftów zbroi,—
Duch, co wskrzesza i posągi.

W świecie duchów bój tak ciężki:
Każda zbroja pryśnie,
Choćby płatnerz czarnoksięzki
Ukuł ją umyślnie.
W świecie duchów bój tak ciężki!

I my pójdziem tam gdzie i ty
Jutro, dziś, w godzinę,
Aż gościniec zrobim bity
W piękniejszą dziedzinę...
I my pójdziem tam gdzie i ty.

A tymczasem z swych obłoków
Spływaj w bratnie koło;
Z ocz nam otrzéj chmurę mroków,
A ze znoju czoło!
Spływaj, spływaj nam z obłoków!...

Wieszczéj sławy tam nie trzeba,
Gdzie przyszłość na dłoni,
Lecz gęśl ziemska bez tchnień nieba
Nic, nic nie uroni...
Wieszczéj sławy ci nie trzeba!

DO KSIĘŻNY M. C.

ODJEŻDŻAJĄCÉJ Z KRAKOWA.

W czyim ogrodzie słowiczek siada,
I melodyami zczaruje,
Temu się wiosna z cudów spowiada,
I za tysiące ten czuje.

Na czyim dachu gniazdko założą
Przelatujące bociany,
Znać nad dobytkiem opiekę bożą,
Kwitnie pomyślność bez zmiany.

Lecz gdzie najmilsza z bożych posłanek,
Miłość bliźniego zawita,
Serca, jak kwiaty, wiążą się w wianek,
I przyszłość mniéj już zakryta.

Czary słowicze, bocianów wróżby,
Dłoń litościwą a mężną,
Kto w grod nasz przyniósł z sobą? O! któżby,
Jeżeli nie ty, o księżno!

Kto nas ożywił, podniósł, zaśpiewał,
W serca wlał świeży krwi strumień?
Któż, jeśli nie ty! Kto się spodziewał,
Że zadrgną prochy tych trumien?

Opuszczasz, księżno, miasto-sierotę,
A nuż w noc dawną zapadnie?
Próżna obawa! Twe ziarna złote
W sercach zostaną choć na dnie!

ŻYCZENIE.

Chciałbym w gałązkę zamienić
Każdy suchy drewna kawał,
Aby się mógł zazielenić,
Kwiecie i owoc wydawał.

Chciałbym kamienie i bryły
Silnie do piersi przycisnąć,
Ażeby z ukrytéj siły
Mógł życia strumień wytrysnąć.

Chciałbym mlekiem Muz dziewięci
Każde serduszko napoić,
By wlać wyższe czucia, chęci,
I razem tworzyć i roić.

ZAGADKA.

Rozwiąż zagadkę—zagadka nielada!
Jaka to woda, co z nieba nie spada?
Jaka to woda, co nie tryska z ziemi?
Gorzka, a przecięż walczy z najsłodszemi?
Zwierciadło serca, czasem bałamutne,
A częściéj szczere, wesołe lub smutne?
Kiedy ją usta wypiją miłosne,
Życie się budzi w tobie jak na wiosnę?

To nie zagadka, ale prawda żywa.
Ta woda u nas łzami się nazywa,
Które, choć nieraz smakują goryczą,
Nawet truciźnie słodkości użyczą.

Kiedy serduszko rozkoszą wezbrane
Na rzęsach perły porozwiesza szklane,
Wtenczas złocistych tyle słońc ci wschodzi,
Że się roztapiasz w ognistéj powodzi.

Lecz za to nieraz udaną rozpaczą,
Jak krokodyle, obłudnice płaczą;
Wtedy zwierciadło pokazuje krzywo,—
Niechże źrenica zadrga łzą prawdziwą,
Ujrzysz głąb duszy jak na dnie krynicy:
Miłość, lub boleść w sercu krasawicy—
I rosę łzawą zebrawszy ustami,
Jakby ambrozyą dzielisz się z bogami.

OSTATNIA PROŚBA.

Potrząśniéjcie mię kwiatami,
Bo już ze mnie duch ulata.
Pomieszany z ich woniami,
Do lepszego przejdzie świata.

Woń konwalij, bzów, fiołków,
Jakże lekko się unosi,
Ni to złotych rój aniołków!—
To mój luby tak mię prosi.

Jego słowa i westchnienia
Ta woń żywo mi tłómaczy;
Widać nic się tam nie zmienia,
Krom cierpienia i rozpaczy.

Sypcie kwiaty koło czoła,
Tu, na piersi—jeszcze, jeszcze!
Tém ci prędzéj do anioła
Mego wzlecę i popieszczę.

Mnie kochanie tak zabiło,
Więc mię zbawi też kochanie,
I co tylko tu snem było,
Tam mi w pełni zmartwychwstanie.

ODJAZD.

O już nieraz coś mi wróży,
Że ta miłość się rozwieje,
Krew wykipi w takiéj burzy,
Serce na nic spopieleje.

Któż tych oczu blask wytrzyma,
Kto ten uśmiech, ten głos rzewny?
Nawet schronić się gdzie nié ma,
Jam dni moich tu niepewny.

Wyznam... może po wyznaniu
Umniejszą się moje męki.
Trudno przestać na wzdychaniu
I nie zostać panem ręki.

Więc otwieram usta drżące,
Słówko: „Kocham!" już już padnie,
Lecz spojrzenie błagające
Na mych ustach zamek kładnie.

I tak męczy, bez ustanku
Paląc, burząc spojrzeniami—
Aż pewnego też poranku
Odleciałem z jaskółkami.

1838 r.

ZŁOTA CHWILA ŻYCIA.

Różnie się wiją życia koleje
Od kolebki do cmentarza:
Na jednéj miłość do nas się śmieje,
—Kochaj, o kochaj!—powtarza.

Życie, jak kwiatek, cudnie się stroi
W chwili miłosnych uniesień;
Póki jak pszczółka się nie wyroi,
Póki nie zwarzy go jesień.

Jeśli dwie dusze, po okwitnieniu
—Kocham cię!—sobie powiedzą;
Mogą coś wiedzieć o sprzyjaźnieniu,
Lecz o miłości nie wiedzą.

Tylko gdy kwiecie ma woń i farby,
Miłość, jak motyl skrzydlaty,
Nad bezcennemi wciąż lata skarby
W puszków się stroi szkarłaty.

I czarne losu chmury przewierca,
I w oddaleniu nić snowa—
Duch niewidomy spaja dwa serca,
Bo to jednego połowa.

Czy dusze nagle płomieniem buchną,
Gdy się raz pierwszy gdzie zbiegną,
Czy też nieznacznie, z wolna, lekuchno,
Ogniem skłonności zażegną—

Wszystko to jedno; lecz jest wyjątek:
Gdy jedno gore, a drugie
Zimne jak kamień; taki początek
Rokuje szczęście niedługie.

Co mówię: szczęście! chorobę raczéj
Udręczającą okrutnie:
W miłości rozstrój—jedno się znaczy,
Co dzwonić w niestrojną lutnię.

Lecz gdy prawdziwą harmonią dźwięczy
Stopionych z sobą dusz dwoje,
Świat dla nich weźmie kolory tęczy,
Aniołków otoczą roje.

To raj, jakiego pendzel nie stworzy,
Stworzy go tylko wspomnienie,
Gdy jeden obraz blaski gwiazd złoży,
Tęcze i słońca promienie!

Kto choć na chwilę takiéj słodyczy
Nie zakosztował na świecie,
Niech skarby liczy, godności liczy,
I słynie w swoim powiecie.

PIEŚŃ DO NAJŚW. PANNY.

O Maryo! moja miłości,
Moja nadziejo złota!
Słońce w ciemności,
Źródło żywota!
Gdy spojrzę w Twoje niebiosa,
Zaraz weselszy być muszę:
Szczęście, jak rosa
Spływa mi w duszę.
Z Twéj Jasnogóry zdroje łask biją...
Błogosław Maryo!

Kto się do Ciebie poleci,
Choć w burzy na Oceanie—
Jak nic przeleci
Wiry, otchłanie.
Kogo wziąć raczysz w obronę,
Ten lekko, na tym padole
Z cierni koronę
Nosi na czole.
Z Twéj Jasnogóry zdroje łask biją...
Błogosław Maryo!

Jak pokos w polu ucięty
Prosi, by związał go rolnik,
Tak włóż mi pęty:
Jam twój niewolnik,—
I przyjm to serce w ofiarze,
Którem ci dawno poślubił,
Bo w świata gwarze
Łatwobym zgubił.
Z Twéj Jasnogóry zdroje łask biją...
Błogosław Maryo!

KTO WSPOMNI?

Burzami gnany wędrowiec,
Czyż swoją ziemię powita?
Czy się o jego grobowiec
Blizka potomność dopyta?

Jeżeli miejsca spoczynku
Nikt z druhów nie zwilży łezką,—
Kalino, różo, barwniku,
Strząście nań rosę niebieską!

Jeżeli zimni przechodnie
Od grobu odwrócą lica,
Przyświecajże mu łagodnie,
Cichy promieniu księżyca!

Jeśli nakoniec nikt żywy
Nie wspomni o mnie, o pieśni,—
Wspomnijcie gaje i niwy,
Wspomnijcie ptaszkowie leśni!

Ptaszkowie, doliny, kwiaty,
Księżycu, gwiazdo, błękicie!
Dla was śpiewałem—wy z laty
Gęślarza nie zapomnicie.

OKRUSZYNY.

Ἄνω ποταμῶν ἱερῶν χωροῦσι παγαὶ κἀπὶ δίκα, καὶ πάνεα πάλιν στρέφεται.
(*Εὐριπίδης, Μήδεια*).

Dawne strony.

Piękne to strony! jakże piękniejsze bywały
Oczom młodym, patrzącym przez tęcze i szały,
Na te smugi dziś głuche, niegdyś takie głośne
W słowiki, kwiaty, wonie, westchnienia miłośne!
W duszy młodéj letniemi kołysanéj snami
Uczucia są tęsknotą, myśli uczuciami.

Zmiana.

Czuję to—spoważniałem; już ja nie ten samy
Co dawniéj, kiedy humor wesół nie znał tamy,
Myśl się rozbryzgiwała w dowcipy, żarciki,
A od śmiechu się kładli moje rówienniki.
O, bo też w Polsce naszéj wszystko się zmieniło!
Od niéj padł cień i na mnie, choć mię w niéj nie było;
Zresztą, im bliższy zachód, tém dłuższy cień pada,
Tém głębsza cisza, w któréj głos z za światów gada.

Kolej życia.

Jeśli śmierć celem, czemuż kwiaty cudne
Spotykać, żegnać, w ciągu krótkiéj drogi?

Jeżeli życie, czemuż takie trudne
Z ostremi głazy, raniącemi głogi?
Śmierć, albo życie—na jedno wychodzi:
Czy straty płaczesz, czy nadzieja zwodzi.

Cierpienie.

Koncha cierpi na perłę w swém łonie zamkniętą.
Za ból, co się uzacnia, wielbij wolę świętą.

Kto umie cierpieć?

Kiedy nieszczęście w mężczyznę uderzy,
Zżyma się, ciska, żal i skargi szerzy,
A obwiniając i losy, i ludzi,
Najcierpliwszych przyjaciół w końcu znudzi.

Kiedy nieszczęście uderzy w kobiétę,
Cicha tam skarga i łzy płyną skryte;
I choćby skonać, wszystko w sobie stłumi —
Bo też kobieta tylko cierpieć umié.

Miłość.

Czysta miłość w pokornéj jawi się postaci,
Nigdy ślubnéj obrączki dyament nie bogaci.

Zawód.

Nie żal mi słońca, gdy chmurą spowite,
Bo wiem, że znowu wzejdzie złotolite.
Nie żal, gdy kwiecie osypie się z drzewa,
Kiedy rumiany owoc zeń dojrzewa.
Lecz żal, gdy wszystkie złożysz w kim nadzieje,
A on twą wiarą i czuciem zachwieje.

Najsroższy ból.

Ciężka zaiste męka
Smażyć się w ogniu powoli;
Lecz znam ból, co gorzéj boli
I bardziéj nęka:
A tym jest, umierać co dzień,
Przez długie i długie lata,
W zimném objęciu świata.

Egoizm rodziny.

Powinność po próg domu; daléj, droga pychy.
A ojczyzna? trud dla niéj? ofiary?—to grzéchy!
Mówi świętoszka, ręce umywszy od winy,
I czczci bożyszcze swoje: Egoizm rodziny.

Kolej życia.

W życiu nie ma c r e s c e n d o, ztąd powód rozczaru:
Po wielkich, idą chwile małego rozmiaru.

Niesprawiedliwość.

Niesprawiedliwość, jak strzecha dziurawa,
Jak drzwi skrzypiące, o trzech nogach ława,
Musi się sprzykrzyć śpiącym i leniwym,
A cóż dopiero żywym, sprawiedliwym?

Sąd krzywoprzysiężny.

Jeśli cię niecny trybunał powoła:
Bądź zimny i milczący—kamień zgoła.
Ten sąd dobranych katów na to siedzi,
By pytał—twoich nie chce odpowiedzi.

Manifest rewolucyjny.

Wolność przyrzekasz, jakiéj w świecie nie bywało!
Pewnie nic nie dotrzymasz, albo bardzo mało.
Czemu? bo nie wiem gruntu, na którym ją sadzisz,
I czy sam, dziś lub jutro, z nią się nie powadzisz.

Kościół i wolność.

Póki kościoł nie ochrzci wolność, dziś pogankę,
A wolność nie zaślubi religię wygnankę,
Póty siać będziem wiatry, zbierać same burze,
I świat znudzon złą siejbą, da kark pod obróżę.

Wolność stronnictwa.

Stronnictwo głosi wolność szeroką, niepłonną;
Chciałbym wierzyć—nie mogę wierzyć w wolność stronną.

Pod żywe przekonanie upór się podszywa:
Z czego idzie duch stronnictw i nauka krzywa.

Pusta wymowa.

Złote prawdy mówimy, a nikt ich nie słucha,
Boście goręci głową, ale zimni z ducha.

Żywe słowo zgłuszono wymową obłudną,
Przeto o żywe słowo dzisiaj jest tak trudno.

Prawda.

Nie ma prawdy bez fałszu, jak światła bez cieniu,
Czysta prawda na wiary spuszcza się promieniu.

Niemylność.

Są ludzie, którzy nigdy się nie mylą,
Bo w nic mądrego głowy nie wysilą.

Złudzenie.

Nam się zdaje, że prawdę zdobyliśmy całą,
Gdy ledwo cząstki głupstwa pozbyć się udało.

Istotne bogactwo.

Bogactwo ducha, to mi prawdziwy skarb życia
W wszelkiém inném strapienia więcéj niż użycia.

Historya.

Sam Bóg w sumieniu człeka nawskroś czyta;
Historya sumienie stronnictw tylko chwyta.

Piekło.

„Z sprawiedliwością bożą" nie zgadza się piekło,
Rzekli mędrki—i piekło na ziemię uciekło.
Dziś Boga ubieramy w łaskawsze przymioty,
Coraz też brniemy w liczniejsze niecnoty.

Herezya.

Prawdziwa wiara maluczkich przyciąga,
Herezya do wozu możnych się zaprząga.

Błędy kościoła.

Kto tylko chce, ten błędy wytyka w kościele.
Czemu? bo się sam błędów wszelkich opił wiele.

Łatwy powrot.

Z wszystkich punktów na kole w środek mierzy droga.
I z najbłędniejszych zboczeń powrot jest do Boga.

Bezżeństwo księży.

—Niechby się nasze żeniły kapłany!
Z bezżeństwa idzie żywot oberwany;
Kapłan zły obywatel.—Myśl falszywa:
Czyż żona, dziecię bardziéj nie odrywa?

Przesądy.

Odrzuciłeś przesądy, tradycye odwieczne,
A natomiast wprowadzasz własne, niedorzeczne.

Źle ten czyni, kto wiarą swych ojców pomiata,
Gorzéj, kto nią nicości polityczne łata.

Ogrom głupstwa.

Gdy spojrzysz w głupstwa bezdenne czeluści,
Niezłomna wola nieraz cię opuści;
Bo chociaż wniosłeś światło w głąb ciemnicy,
Przez grube mroki nie dojrzeć téj świécy.

Nowa era.

Starego świata godzina wybiła
Ostatnia—gruzy pokrywa mogiła,
Ale się ukwieconą barwą nie zieleni.
Miłość i wiara jeszcze bez promieni.

Zdrajcy.

Kto dzisiaj wolność zdradził? oto jéj kapłany:
Dzwonią sławnie, lecz przy mszy istne zakrystyany.

Stare złe.

Ładu świat woła, a nieład się szerzy,
Jak przy budowie babilońskiéj wieży,

Bo ster sumienia wypadł z ręku wiary:
Namiętności władną, i świat jak był, stary.

Formy.

Gdy się wszystko rozrasta w całkiem nowe życie,
Za cóż o starych formach rządów mi prawicie?

Różne są formy: ta najlepsza bywa,
Co najprościejsza, a żywa, a żywa.

Życie, to strumień: przeléj go w naczynie,
Wodę mieć będziesz martwą—nie popłynie.

Zły rząd.

Złe rządy porównałbym z owemi trupami,
Których własne zepsucie trzyma nad falami.

Zbrojny pokój.

W zbrojnym pokoju zostać chcieliby książęta.
Mniéj straszna wypuszczona strzała niż napięta.

Bieg wypadków.

Wypadki się ścigają, i my je ścigamy.
Na tak olbrzymie płótna gdzież są ramy?

Kommuniści.

Wspólności chcecie w imię cielesnéj wygody?
Między biedaki, zgoda! Możnym nic do zgody.
Więc wydrzem! i wam wydrą ci, co w większéj biedzie.
Darmo! wóz o trzech kołach daleko nie jedzie;
Czwartego trzeba, co się miłością nazywa,
Głębie dolin wypełnia, a góry zrównywa!

Socyaliści.

—Nie uznajem, prócz naszéj powagi rozumu! —
Jakby to społeczeństwo składało się z tłumu,
A nie w moc myśli bożéj było społeczeństwem!
Za cóż codzień wyjeżdżać z nowém sprzeciwieństwem,

I to, co Pan Bóg związał, w niwecz rozwiązywać,
By fuszerską robotą po swojemu zszywać?

Pseudo-demokrata.

Żeś tam pryncypiów chlipnął na bruku paryzkim,
Myślisz, żeś lud nasz odgadł z gruntu i ze wszystkiém:
Aleś ty starą łatę nową pokrył łatą,
I jesteś liberalnym dlań arystokratą.

Nowe dworactwo.

W imię ludu je, pije, chodzi i oddycha,
I płaszczy się, i schlebia. Dworak? co u licha!
Jam myślał, że dworactwo z dworami przepadło:
Nie! z przedpokojów wyszło, na rynku zasiadło.

Propaganda.

Do ludu trafiać ciężko wam, acz chcecie,
Bo lud prostaczek, maluczki jak dziecię,
A wyście mądrzy postępy cudzemi.
Stańcież się dziećmi choć raz własnéj ziemi.
Kiedy Kaniowski żydy, baby strzelał,
Wierzcie mi, mniejszy przedział go rozdzielał
Niż was od ludu. O nim lud ma pieśni,
Was nigdy nie znał, o was ani nie śni.

Ubiór.

Sajeta cię nie kryje, lecz żupan, sukmana,
Znać, że i w twojéj duszy zaszła wielka zmiana.
Ej! byle nie z chwilowéj jakiéj maskarady.
Strzeż się dzieło odrodzin zaczynać od zdrady.

Nasza filozofia.

—Nie mamy filozofii, w ślepą babkę gramy! —
Za to katedrę z ruin, mogił i krwi mamy.
W téj szkole wielkich nieszczęść, gdzie sam Bóg naucza,
Snadniéjby do mądrości skarbów dobrać klucza.

Ciężkie ofiary.

Dobrze to wilki sycić i kozę mieć całą,
Ale gdy wilki mamy, a kozy nie stało,

Cóż rzucimy na pastwę? Historya o smoku:
Już królewską dziewicę dajemy w tym roku.

Środeczki.

Ludzie małego serca środeczki doradzą;
Męże z ducha na bożéj prawdzie się osadzą.

Siła.

Tyle już Pan Bóg zrobił, zrobi jeszcze tyle,—
A ty człeku narzekać śmiałbyś, żeś nie w sile?
Różne są siły, i różnie je liczym:
Widziałem wielkie siły zbite niczém.

Bohatery.

Darmo splatamy wieńce wawrzynowe,
Kiedy bohater w końcu nas okłamie.
Łatwiéj o wieńce niżeli o głowę,
Łatwiéj o bułat niż o chrobre ramię.

Zmiana dynastyi.

—Tytanów bogi, bogów ludkowie wyparli —
Niegdyś Grek śpiewał. Gdyby za naszéj żył chwili,
Byłby dodał:—A ludków wypędzili karli,
Wet za wet, jak ludkowie bogom uczynili. —

Nasi reformatorowie.

W łoże Prokrusta wciskasz, choć co wleźć nie może,
Ten u mnie reformat, jest kto rozszerzy łoże.

Śmiałość i rozsądek.

Śmiałość z rozsądkiem piękny owoc rodzi,
Lecz o zgubę przyprawia, gdy samopas chodzi.

Szkoła życia.

Niejednéj rzeczy pojąć nie umiem —
Żyjmy dłużéj, a zrozumiem.

Gdzie się obrócisz, najczęściéj się zdarzy
Z dobrém zmieszane słyszeć głupie baje.

Bo młódź powtarza, co mówili starzy,
I to za swoje przedaje.

Pycha i głupota.

Patrz! jak czwałują przez jary i błota.
Któż oni jeźdźce? To z Pychą Głupota.
Szczęśliwéj drogi! nikt was nie wyprzedzi;
Z tyłu za wami Wstyd ze Szkodą siedzi.

Mowa i milczenie.

Acz pożyteczną jest mowa,
Pohamuj ust twych ochotę:
Srebrnemi mogą być słowa,
Milczenie jest szczerozłote.

Puszczasz się na niezwykły i styl, i wyrazy:
Czemu? bo i pomysł zwyczajny, i obrazy.

Krzykacze.

Krzyczysz, występnych pod pręgierzbyś stawił.
Samżeś od wczoraj na włos się poprawił?

Samopoznanie.

Wtenczas siebie poznajesz, skoro więcéj w sobie
Odkrywasz ułomności niż w innéj osobie.

De mortuis.

Jedno imię zostaje—reszta na zgniliznę!
Zostawże umarłemu tę jedną puściznę.
Szczera skrucha, pokuta, gniew boży przebłaga,
Człek tylko winowajcę i za grobem smaga.

Hart woli.

Ogrom składa się z cząstek, myśl topisz w ogromie.
Cóż po tém gdy twa wola i słomki nie złomie?
Łamiąc się z drobnostkami, zahartujesz wolę;
Z taką zbroją wyciągnąć łatwiéj w wielkie pole.

Kto tylko raz się przełamie,
Ten się zwycięży raz drugi;

I zaraz ma wolne ramię,
I żądze ma na usługi.

Kto mędrzec.

Któż mędrzec? jeśli nie ten, co pychy się zrzeka,
I uczy się choćby też od prostego człeka?

Mocarz.

Kto mocarz? jeśli nie ten, co sam się zwycięża,
A nie ten, co gród bierze przemocą oręża?

Bogacz.

Kto bogacz? jeśli nie ten, kogo żywi praca?
Kto ku swemu zbawieniu co Bóg dał obraca?

Postęp.

Postępem nie nazywaj swych poszóstnych cugów,
Pysznych karet, lokajów w galonach i długów.
Lepiéj z Chrystusem doczesnych dóbr nie mieć,
Ale na duchu, na cnotach zolbrzymieć.

Doświadczenie.

Młodzian na schwał się rzuca w doświadczenia ciernie,
Chociaż w tych, co przebyli, żywe ma przykłady.
Historya nic nie uczy, acz maluje wiernie—
Zawsze drogę ludzkości krwawe znaczą ślady.

Geniusz.

Snadno złe w nic obrócić, lecz pracy geniusza
Nie zetrze żadna siła ludzka, ni katusza.
A gdy myślisz, żeś geniusz okiełznał, toś chybił:
Tyś trupa, z którego duch uszedł, tylko przybił.

Wielka myśl, lecz w zasłonie, w każdéj piersi drzemie;
Geniusz zbudzi ją tylko i zasłonę zdejmie.

Dokąd idziem?

Trudnobyś dał odpowiedź mojemu pytaniu:
Czy dziś ludzkość w porodzie, czy też na skonaniu?
Bo i jedno, i drugie spostrzegam symptoma;
Znowuż, jak niegdyś hordy rykną: Roma! Roma!

Nicość.

W nicości wieść żywot grzechem,
Czemuż nie walczym z nicością?
Bo stoim między pośpiechem
A między opieszałością.

Stoicie wahająco, ruszcie się z kałuży;
Dość z niéj wybrnąć, a mniejsza już o cel podróży.

Sąd tłumu.

Tłum ludu zdolen, by sypać oklaski;
Lecz sądzić? sądu nie wydadzą wrzaski.

Kuglarz nielada, kto na sąd brukowy
Zda się—klaskaczy ma hufiec gotowy
I areopag, najczęściéj się zdarza,
Do Kapitolu zanosi kuglarza.

Gdzie Sofokl w wieńcach chadzał, tam rząd nie był z gminu,
Lecz tam, gdzie skroń partaczy zdobi liść wawrzynu.
Dwie siostry, gmin z tyranią, zwykle w parze chadza;
W wolności gmin przepalon, na lud się przeradza.

Głos tłumu.

—Któżby tłumowi chciał się opierać?
Ja mu oporu nie stawię.
Tłum krzyczeć będzie, zżymać się, spierać,
Ale ucichnie po wrzawie.
Lepiéj oświecić niż go zbyć pogardą.
—Trudno mój bracie, gdy ma czaszkę twardą!

Współczucie publiczne.

Jeśli cię w utrapieniu pociecha odstąpi,
Cicha łza w samotności pociechy nie skąpi.
Niechże cię spotka jaki gwałt uliczny,
Zaraz się ujmie za tobą tłum liczny.
Na innéj krzywdzie tłum nie zna się prosty;
Zna co krzywdy cielesne: mordy, turmy, chłosty.

Rozum zbiorowy.

Nie wiem co znaczy rozum narodowy,
Jeśli go nie ma w mózgu jednéj głowy.
Ni trochę w rozum nie wierzę zbiorowy.

Jedność.

Potrzeba spójni duchów, bo i sejmy walne,
Mowy wzniosłe, celebry też pontyfikalne
Na niewiele się zdadzą: pycha swoje rogi
Wciąż wystawia, i wiecznie tryumf mają wrogi.

Partaeze .

O, tylko chwal partaczy w każdéj sposobności!
Umieszczą cię, gdzie przyjdziesz, w rzędzie pierwszych gości

Sąd niewieści.

Czuciem dobre lub piękne odgadnie niewiasta,—
Niech się puści w dowody, stul uszy i basta.

Ciasny zawód.

Nie skarż się w swym zawodzie na związane ręce:—
Za czyn stanie głos pełnéj duszy, choć w piosence.

Ptaszki.

— Kupuj pan, kupuj te ptaszki wraz z klatką!
Leśni poeci śpiewają jak rzadko!—
Jam kupił, puścił: lećcie w imię boże!
Kto śpiewa w lesie, w więzieniu nie może.

Natchnienie.

Jak wietrzyk, co listkami po gałązkach dzwoni,
Co po wodném zwierciedle biały żagiel goni,
Nie jest własnością drzewa, ni żeglownéj łodzi,
Bo ten, co mu wiać każe, ten i wiać przeszkodzi,—
Tak natchnienie, co w niebo myśli twoje wzbija,
Bóg daje—bo natchnienie to własność niczyja.

Rozumkowanie poezyę zabija,
Chociaż poezya rozumowi sprzyja.

Astronom.

Wiem, żem proch, proch śmiertelny, lecz gdy wzrok utopię
W gwiazdy, i bieg ich ścigam po bezbrzeżnym stropie,
Zda mi się, że nogami ziemi nie dotykam,
Tylko u stołu Zeusa ambrozyę połykam.

Pomniki krakowskie.

Cudneż groby, świątynie, w tym naszym Krakowie!
Póki tacy w kamieniu rzeźbili Stwoszowie;
Lecz wstręt bierze na one dolepki późniejsze.
Co czysta wiara tworzy, wszystko najpiękniejsze.

Twory poezyi.

Gdzież nad Zorynę, Maryę i Maryllę
Świetniejsze gwiazdy na naszym błękicie!
Poeci! czemuż tak mało tworzycie,
Chociaż was tyle?

Kawki na kościele.

Na Maryackim kościele, czy latem, czy w zimie,
Stado kawek się czerni. Jest wieść, że na Rzymie,
Téj karczmie, gdzie Twardowski miał dyabłu wpaść w szpony,
Cały dach zapełniły i kawki, i wrony.
Cóż wnosić? Że z Krakowem źle, jak z kuternogą:
Dyabli chcą go brać gwałtem, ale wziąć nie mogą.

Dowcip polski.

Lekki Francuz słóweczkiem dwuznaczném cię szczypnie.
Polak myślą dwuznaczną uderza dowcipnie.

Prawdziwa poezya.

To u mnie nie poezya, jeśli się gdzie spotka
W pozlepianéj osnowie myśl dobra, lub zwrotka.
Piewcę prawego w lada półsłówku dojrzycie:
Jędrny, jakby myśl swoją wykował w granicie.

Prowincyonalizm.

Prowincyonalizm jakby w febrze zimnéj
Ciało schorzałe rozbiera do kości.
Nikogo nie stać na wspaniałe hymny,
Za to stek plotek i prywatnych złości —
To się zwie: pisać w miejscowym kolorze.
Czytać je — w miejscu, za miejscem — broń Boże!

Obfity pisarz.

Gdyby w drobnych utworach ducha nie rozdrobił,
Wzniósłby chwały monument i do gwiazd się dobił.
Gdyby się nie wysilił grunt na żółte kwiatki,
Byłby jaki aloes wystrzelił zeń rzadki.
—To fałsz!—rzekniesz.—Więc pierwsza myśl także fałszywa:
Nigdy kryształ, lecz kropla zawsze się rozpływa.

Oryginalność.

Ktoś rzekł: —Do żadnéj szkoły nie należę,
Nie naśladuję i w mistrzów nie wierzę.
Cóż mię nauczą Greki lub Rzymianie?
Znajomość z nimi to naśladowanie. —
Zgadłem twéj myśli wysoki kierunek:
Chcesz głupcem zostać na własny rachunek.

Starożytni i nowożytni.

Do starożytnych trzeba kommentarza,
Objaśnień, glossów, notat, odsyłaczy.
Z nowożytnymi toć gorzéj się zdarza,
Że się i autor sam nie wytłómaczy.

Rutenizm.

Cztery wieki mieliśmy wspólną dziejów kartę,
A dzisiaj, kiedy ciało ojczyzny w proch starte,
Garstka prochu złym wichrem w tumany wybucha,
I zaczyna historyę narodu — bez ducha.
Grammatyka fundament państwa co się stwarza;
Reszta wyrośnie z popa, albo z pałamarza.

Nowy Tytan.

— Cóż to za straszna odwaga
W tytaniém piórze!
Stare sławy do krwi smaga,
Wlecze przez błotne kałuże.
Jeżeli to nie jest blaga,
Ja mu wielką przyszłość wróżę. —

— Nie znasz pyszałka; próżnobyś się łudził
Jego tytaństwem, choć się do Tytanów
Sam rad przyznaje: on się tylko znudził
Własną nicością i szuka kompanów.

Metafizyk.

Chcesz w nieskończoność wkroczyć myślicielu,—
Wprzódy w skończonych rzeczach szukaj celu.
Chcesz się nasycić w całości ogromie,—
Wprzódy tę całość odgaduj w atomie.

W zaciekach swoich musisz o szkopuł uderzyć—
Jakiż cel filozofii? że potrzeba wierzyć.

Grób Sofokla.

(Z Antologii.)

Na mogiłę Sofokla pniéj się bluszczu cichy,
Miękko ją wyściel, murawo zielona;
Róże, trzęście nań rosę wonnemi kielichy,
Szczepy winne, składajcie na niéj swoje grona!
Bo to mistrz, co urokiem oblał myśli szczyty,
Jemu sprzyjały Muzy i Charyty.

Platon.

(Z Antologii.)

Najwymowniejszy z Aten mownych! czyjeż słowo
U mędrców panhelleńskich brzmiało jako owo,
Jako twoje Platonie? Jedném okiem w Bogu,
Drugiém w życiu, na ziemskim zawieszony progu;

Masz szczytność Pitagora, ironię Sokrata —
Jeszcze się w tę harmonię polemika wplata.

Serapis.

(Z Antologii.)

Jakiś zbój spał pod murem, co ledwo się trzyma,
Gdy śpiącemu Serapis stanie przed oczyma
I ozwie się z przestrogą: — Uciekaj, niebożę!
Co tchu ztąd, bezpieczniejsze wynajdź sobie łoże! —
Więc się zrywa, i ledwo z miejsca się oddalił,
Aż i mur — cud to sławny! — na pował się zwalił.
Rad niezmiernie, obiatę stawia jeszcze do dnia,
Pewien, że ono bóztwo przyjazne dla zbrodnia.
Lecz w nocy znów Serapis w śnie mu się objawił.
— Co myślisz — rzekł — hultaju! żem ja zbójcę zbawił?
W błędzieś: jam śmierć oddalił słodką, niespodzianą,
Aby cię w wielkich mękach na krzyżu wieszano.

Rzym.

(Z Antologii.)

Co tchu Zeusie zatrzaskuj na olimpskim dworze
Wrota śpiżowe, obstaw gród czujnemi warty,
Bo już pod berłem Romy uległ ląd i morze,
Tylko jeden do nieba gościniec otwarty.

Wieszcz.

Wieszcz nie echo swych czasów, ani też zwierciadło,
Jemu w dziale podwójne dziedzictwo przypadło:
Z tajników wyspowiadać duszę narodową,
Odgadnąć myśl wszechmocną, przyszłości dać słowo.

Jan Kochanowski.

O Janie! jako mistrza sztuki ja-ć nie cenię,
Tyś wyższy nad nią; z Nieba brałeś wprost natchnienie:
Ojca, obywatela, męża żywéj wiary.
O! niewielu zatknęło takie trzy sztandary.

Antoni Malczewski.

Być niepojętym, nie mieć za życia rozgłosu —
W poecie jest to może najwyższy szczyt losu.
Autorowi Maryi — napis, i dość na tém,
Gdy Polska, jak jest cała, potrząsła go kwiatem.

Bohdan Zaleski.

Dziecię z kolebki Rusałki wykradły,
Poiły rosą, na obłoczkach kładły
I kołysały śród dumek i szumek;—
Ale pieszczoszek niebity w rozumek,
Zrobił krzyż święty — pierzchnęły złe mary —
I chrześcianin zanócił hymn wiary.

Seweryn Goszczyński.

W zgliszczach Kaniowa struna odgrzebana,
Na ukraińnéj lirze nawiązana,
Sypała pieśni, jak skry, za pieśniami.
Czemuś ją zerwał od ziemi? i czemu
Chcesz strunę zanieść światu zaziemskiemu?
Dopókiś ciałem, o śpiewajże z nami!

Juliusz Słowacki.

Za ciasno twojéj piersi było w naszym gwarze!
Z razu stepy dnieprowe i puszcze w Saharze
Leczyły swym oddechem pierś wieszcza zbolałą;
Potém gdy już i stepów bezbrzeżnych za mało,
Światłe kolumny duchów sprosiłeś i cienie,
I oneć na bezdenne uniosły przestrzenie.

Szpetny mąż.

(Z arabskiego.)

Pewnego razu Beduinkę cudną
Widziałem z szpetnym małżonkiem złączoną.
Więc jéj zapytam: aza jéj nietrudno
Tak ułomnego brzydala być żoną?
A ona:—Pięknym jest on, nie dla ziemi,
Lecz Bogu piękny duszą nieskażoną,
A ja nań patrzę oczyma bożemi.—

Broda.

Broda najdowcipniejszy wynalazek mody!
Blichtr i czczość tegoczesną pokrywają brody.
Niby to senatorska powaga oblicza!
Ogół—a wymokłego odkryjesz panicza.

Do znawcy.

Zkąd wziąłem to lub owo? pytasz znawco biegły: —
Gdy sklepienie związane, nie pytaj zkąd cegły.

Łatwy i trudny żywot.

Nieraz myślę: com pragnął, tego już dopiąłem!
Aż tu na raz przeciwném obróci się kołem.

Rozdrób swój żywot — zleci ptasim lotem;
Skup go, a trudniéj pcha się z czoła potem.

BAJKI.

BEDUIN I WĄŻ.

Beduin zbrojny kopią, jechał sobie piaskiem.
Noc była—wtém na stepie mignęło coś blaskiem—
Więc pocisnąwszy konia dotarł w oka mgnieniu,
I ujrzał, jak wąż srogi zwijał się w płomieniu;
Chciałby wyleźć, nie może, bo zewsząd go piecze.
—Ratuj mnie Beduinie! dam co chcesz—wąż rzecze.
Na to Arab:—Złośnika ratować się boję;
Nuż ukąsisz?—
— Przenigdy, na sumienie moje!—
Wzruszon Arab uzdeczkę zawiesił na dzidzie,
I podał mu przez płomień—wąż do góry idzie,
A sunąc się po drzewcu, przepełzał nieznacznie,
I skoczywszy na szyję jeźdźca, dusić zacznie.
— Co robisz?!—krzyknął Arab.
— Duszę.—
— Och! i za co?—
—Taki zwyczaj; tu zawsze za dobre złem płacą.—
—Pofolguj!—rzeknie Arab—zwłoka nie zaszkodzi,
Póki się na to zdanie trzech sędziów nie zgodzi.—
—Mniejsza o to, gad rzecze, sfolguję na razie.—
I jechali pustynią, póki na oazie
Nie ujrzeli wiatrami palmy kołysanéj.
—Słuchaj palmo!—rzekł Arab—ten gad uwiązany
Na méj szyi, winien mi swoje ocalenie,
A teraz chce mię dusić! I gdzież tu sumienie
Utrzymywać, że dobre zawsze złem się płaci?!—
Palma na to:—Ma słuszność, a ty nie masz racyi.

Mój los niech ci dowiedzie: wszak co dzień przez wieki
Pielgrzyma liściem mojém zasłaniam od spieki,
Grzeję w zimno, owocem karmię go obficie,
A jednak on toporem odbiera mi życie!—
Na te słowa wąż silniéj pocisnął za szyję.
Jadą daléj, gdzie źródło z pod opoki bije.
Arab rzecz opowiedział, a źródło po chwili
Odmruknęło:—Mój człecze! ten wąż się nie myli.
Patrz na mnie: odkąd z głębi wylewam zdrój szklany,
Pragnienie tu przychodzą gasić karawany;
A kiedy się napiją i ludzie, i stada,
Wiesz co robią? ot każdy brud swój we mnie składa!—
Dwóch sędziów się zgodziło; wąż z radości bryknął
I tak ścisnął pierścienie, że Arab aż krzyknął,—
Lecz jeszcze sędzia trzeci nie wydał wyroku,
Wtém spostrzegają lisa: myszkował na boku
I już już się wynosił, gdy oni:—Stój bracie!
Na pół słówka prosimy!—
— Z daleka! co macie
Mówcie do mnie; niegłuchym!—rzekł i stanął w dali,
A oni mu o sprawie swéj opowiadali.
Gdy skończyli, frant główką pokiwał wątpliwie
I rzekł:—Oczom nie wierzę, dla tego się dziwię;
Więc ażebym zrozumiał, pokażcie mi przecię
Jak to było?—
A oni:—Rzecz najprostsza w świecie!—
I Arab znów przywiązał uzdę do kopii,
A gad po drzewcu na dół spuścił się ze szyi.
—Łap zdrajcę!—krzyknął lisek. I wąż siedział w matni,
Gdzie niewdzięcznik był zduszon. Szkoda: nieostatni.

1855.

CHORZY I BOGINI ZDROWIA.

Trzech pacyentów—co się często zdarza,—
Przyszło się radzić lekarza;

A że lekarz bardzo wzięty,
Więc nieszczęsne pacyenty,
Nie zastawszy zdrowiodawce,
Usiedli sobie na ławce.
—Witam! witam!—Sługa! służka!
—Spotkać bardzo mi przyjemno.
Jakże zdrowie?—Ej, źle ze mną!—
—Ba i ze mną.—O! i za mną.—
—Nie opuszczam prawie łóżka.—
I jak to chorzy mają w zwyczaju,
O swych defektach baju i baju;
Każdy wylicza chorób symptoma:
Ten tego nie ma, a ten znów to ma,
A stokroć taką chorobę woli,
Jaką ma sąsiad, bo to rzecz znana,
Że cudza rana
Zawsze mniéj boli.
W cierpkich przemówkach zazdrość przebija.
Nawet biedaków kąsa ta żmija,
I doprowadza do zwady
Dobre sąsiady;
Bo fuknął któryś:—I toż choroba,
Kiedy waść jadasz co się podoba?
A choć pod skórą rak tam gdzieś wierci,
Fraszka: z tém można żyć aż do śmierci.
I waść mój bracie
Próżno stękacie.
Cóż że paroksyzm mocny napadnie,
Uderzy o ziem, stłucze szkaradnie?
Przecięż nie ciągle i nie co doba
Trwa ta choroba.
Proszę porównać moje suchoty:
Płuca rwą się, kaszel dusi,
Oblewają zimne poty,
A harować człowiek musi
Bez siły i bez ochoty.
To dopiero stan rozpaczy!
Rak! konwulsye! cóż to znaczy?!

Chętnie przyjmę to oboje.—
—Mieniajmy się, oddam moje. –
—I ja moje. — I ja moje.—
Wszczęła sprzeczkę trójka chora,
A że w pokoju doktora,
Godło medycznéj nauki,
Stała z marmuru bogini w kącie,
Grecka Hygiea, po naszemu Zdrowie,
Więc biedaczkę przeszło mrowie
Po tym afroncie,
Gdy usłyszała rzecz jéj nieznaną,
Jak za chorobę, chorobę mieniano!
Jęknęła z żalu, i łza jéj pociekła
(Czasami płaczą kamienie)
I cicho rzekła:
—Jakież to straszne cierpienie
U tych tam ludzi, co na ławie siedzą,
Kiedy o mojém istnieniu nie wiedzą!
Nawet umarli szczęśliwsi, choć leżą
Snem nieprzespanym w grobach,
Niż tacy żywi, co w Zdrowie nie wierzą,
I przebierają w chorobach!—

GODNOŚĆ W NIEWOLI.

W pewnym dworze zwierzęta,
Konie i woły, osły i cielęta,
Ponieważ o nie nie dbano,
Rżnięto i bito i jeść nie dawano,
Postanowiły z godnością żyć,
To jest: dać się rznąć i bić,
Ale nie lizać pastuchom łapy,
Ani całować harapy,
Ni ogłaszać rykiem, kwikiem,
Jak miło być niewolnikiem.
—Wszak—mówił konik—niewola mniéj gniecie
Gdy jéj liberyi nie nosim na grzbiecie.—

Uczciwa rada przypadła do smaku,
I nie było między nimi
Słychać o żadnym dworaku;
Byli biednymi, ale nie podłymi.
Lecz pan dziedzic doszedł spisku:
I rozkazał na pastwisku
Złapać osła na postronek,
Ozłocił mu uszy obie,
Kokardą upstrzył ogonek,
I rzekł:—Leib-osłem cię robię!—
Osieł bryknął, i wesoły
Wpadł pomiędzy konie, woły:
—Czy widzicie te oznaki?
Pan mię wyniósł nad charłaki!—
I błyskając uchem złotém,
Tak pozawracał im głowy,
Że o godności zwierzęcéj potém
Nie było mowy.
W miarę jak zmieniał się duch,
Nie tylko uszy, lecz brzuch
Każdy sobie złocić dał.
A pan się śmiał
I rzekł do rządcy:—Waść zapisz
Dobre lekarstwo na upartą cnotę:
Że kiedy wróbla na plewy nie złapiesz,
Próżnego zawsze złapiesz na pozłotę.—

MĄDRY KRUCZEK.

Natura po kres pewny da się przeistoczyć:
Sroka gadać, koń może sztajera wyskoczyć,
Osieł liczyć godziny, pchła strzelać z armaty,
Zając nawet zające gonić, jak przed laty
Zdarzyło się w myśliwstwie sławném pana Paska!
Człowiek nietylko zwierza pojmie i ugłaska,
Ale go i wyuczy mnóztwa zgrabnych sztuczek.
O tych ludzkich sposobach zasłyszał gdzieś Kruczek,

Pies z podwórza, ochłapów kuchennych amator,
Urodzony polityk i cywilizator.
Więc mu przyszło do głowy, domowym zwierzętom,
Gęsiom, kaczkom, indykom, kurom i prosiętom
Zakazać przyrodzonych gdakań, pian i kwików,
Słowem, Kruczek wystąpił jako metr języków,
I wykładał téj rzeszy co dzień, od świtania
W teoryi i praktyce zacny kunszt szczekania.
Z razu tępo, lecz z czasem szła nauka gładko,
Zwłaszcza że mistrz i łajał, i kąsał nierzadko.
Otoż po latach kilku—niesłychane dziwo!
Wszystek drób, nawet chlewnik, choć nieraz fałszywo,
Jednak psiemi głosami warczał, skomlił, szczekał,
Aż kto żył, słuch zatykał i z dworu uciekał.
Jeden tylko pan dziedzic, o którym dość jawnie
Gadano, że majętność tę nabył nieprawnie,
(A wiemy, że na takim czapka zawsze gore)
Radował się z szczekania w porę i nie w porę,
I głaszcząc po łbie Kruczka, tak mówić doń raczył:
—Toś mi zuch, żeś co żyło w zagrodzie méj spsiaczył;
Bo i prawy właściciel do niéj się nie przyzna:
Gdy usłyszy szczekanie, rzeknie: „Psia ojczyzna!"—

Szczęściem słowik na drzewie śpiewał co rok w maju
O dźwięku brzmień wrodzonych, starym obyczaju,
Co rządzi zwierzętami od świata początku...
O długoby snuć można jeszcze z tego wątku!
Ale na co słów wiele, gdy jedno wystarczy:
Gęś niech gęga, kur pieje, a Kruczek niech warczy.

KOTKI I MYSZY.

Była koteczka i kotek,
Młoda para do pustotek,
Igraszek, skoków jedyna.
Takie stworzeńka chować nie nowina;

Więc się chowały w pańskiéj komnacie—
Miały śniadańko, obiad, kolacyę,
Wszelką wygodę
I swobodę:
Machać koziołki
Przez stoły, stołki,
W wieczór i z rana
Bawić panią i pana.
Czyż nad wszystkie zwierzęta
Nie najweselsze kocięta?
I w kochaniu kot najtkliwszy,
Kiedy ślepki przymrużywszy,
Koteczkę myje łapkami,
A ona myje kocura.
Gołąbki za nic z swemi pieszczotami:
U kotów tkliwsza natura.

Myszy siedząc pod podłogą,
Z podziwienia wyjść nie mogą,
Że ich teraz nikt nie straszy.
—Kto ma straszyć?—jedna rzeknie—
Znam państwa kotów, na kaszy
Bywam u nich; jak tam pięknie!
A jaki grzeczny jegomość!
A jejmość jeszcze grzeczniejsza!
Radzę zawiązać znajomość,
Bo potwarz najnikczemniejsza,
Że to są wrogi odwieczne!
Przecięż wrogi nie są grzeczne:
Drapią, gryzą i dławią,
A te karmią i bawią.
Trzeba żyć z niemi, to nam się przyda.
Bronić nas będą, gdy przyjdzie bieda
Na nasze schówki i nory.
Wszak to niezwykłe koty—to Angory:
Z długim włosem na nich skórka,
U łapek nigdzie pazurka.—

Ta przemowa w gronie myszek
Dodała myszkom ochoty,
Że wyskoczyły z komyszek
Dzielić kocie pustoty,
I równo z niemi
To po stołach, to po ziemi,
Wyprawiać bale,
Jak w karnawale.

Już ta zażyłość trwała czas długi,
Ale że pani myszy nie lubiła,
Więc raz rzekła do sługi:
— Czemuś koty okarmiła?
Tyle myszy w mej sypialni,
Zjadły mydło z gotowalni! —
Na rozkaz pani skończyło się święto:
Kotkom ujęto
Kaszy i mléka,
Kocia natura już mordem dyszy:
Ostrzą pazurki na swych towarzyszy,
I na raz w wirze żwawego walczyka
Padło sto myszy!

Dwa stare szczury
Widziały to z dziury
I rzekły: — Dobra nauka!
Niechaj mysz kota nie szuka:
Czy się Angorą, czy Maćkiem zwie,
Zawsze ją zje.

SATYR I SZTUKA GRECKA.

Pewnego razu zwykły leśny Satyr,
Na pół pijany, na pół dziki,
Zatém nie mędrzec, ani też bohater,
Zwiedzał ateńskie portyki.

I bardzo go to zgorszyło,
Gdy ujrzał przybrane ściany
W same mędrce i hetmany,
A satyrów nie było.
— O zuchwalstwo! o sromoto!—
Krzyknął Satyr gniewem blady —
Precz ztąd łotry, precz hołoto,
Temistokle, Milcyady! —
I machając w koło drągiem,
Walił posąg za posągiem.
Gdy narobił rumowiska,
Przypadł ktoś będący z blizka
I zawołał: — O szalony!
Cożeś zrobił?! —
— Cożem zrobił?—
Odparł Satyr — otom pobił
Grecką sztukę, a pomszczony,
Zwołam wasze Pigmaliony
I ze złota odlać każę
Kozie nogi, małpie twarze.
Bo też zbyt rządziły długo
Ideał, piękność klassyczna;
Rozpoczyna erę drugą
Satyr i Fryne uliczna. —
Na to, ów rzeknie do leśnego bożka:
—Gdybyś miał w głowie oleju troszka,
Wiedziałbyś o tém w ślepocie,
Że glinę łatwo rozbić, bo krucha;
Lecz by natchnienie brać w błocie
Trzeba rozbić Grecyi ducha.

1858 r.

KRÓL LEW I DRAPIEŻNE ZWIERZĘTA.

Król Lew w szlachetnym zapale,
Bo zawsze myśli wspaniale,

Wydał rozkaz urzędowy
Takiemi słowy:
— Zważywszy, jak wiele ginie
Zwierząt na moim dworze,
Pozwalam wiernéj drużynie
Swobodnie mnożyć się w borze.
Raz: że to szkodę przynosi
Gdy liczba wiernych ubywa;
Po drugie: dzban wodę nosi,
Póki się ucho nie zrywa.
Więc dla przykładu odtąd nie inną
Żywić się będziem strawą niż roślinną. —
Gdy rozkaz pański to zapowiada,
Między zwierzęty radość nielada;
Głównie zające, sarny, jelenie,
Co najsmaczniejszą mają pieczenię,
W swém uniesieniu nie znając miary,
Zeszły się razem, i pełne wiary
W święte lwie słowo, zaczęły radzić
Jakby to pańskie serce pogładzić,
Wdzięczne uczucia zanieść w podzięce
Za zaręczone życie zwierzęce;
A przytém błagać, aby podrzędne
Łapczywe lisy i wilki błędne
Brzmienie rozkazu ceniły więcéj
I nie dusiły sarn, ni zajęcy.
Już ułożono mowę dziękczynną,
Tkliwą, niewinną,
Którą z ich grona wybrana
Miała mieć sarna do pana.
Kiedy tak radzą, aż tu dokoła
Psów, wilków, lisów gromada,
Nachmurzywszy gniewne czoła,
Do nich przypada:
— Co tu robicie? Precz głupie zgraje!
Znów jakieś bunty i spiski?
Lwia mość nie dla was prawa wydaje;
Tu prawem są nasze pyski:

Lew nie usłyszy, co lis nie wysłucha,
A wilk nie włoży do brzucha.—
—Cóż to myślicie, że nam zdychać chce się?
Z lasu ten żyje, kto zamieszka w lesie.—
—Cóżbyśmy jedli, czy szyszki, korzonki?
Niech wam wylecą z głowy takie mrzonki.
Lew lwem, choć rozkaz jego nie do rzeczy,
Przeciwny prawu natury,
Nas nie nakarmi, was nie ubezpieczy.
Tu prawem zęby, pazury! —
—Tak jest! wilk krzyknął—zaraz wam dowiodę!—
I s t a n t e p e d e zjadł dwie sarny młode.
I król Lew nie miał więc racyi
W obec leśnéj biurokracyi.

KURA NA ŚMIECIU.

—Kochana kuro! za czém to i po co
Grzebiesz w śmietniku zamczyska?
Tu w dzień nieznajdziesz włożyć co do pyska,
A ty coś znaleźć chcesz nocą?—
Tak mówił brytan spuszczony z obróży.
A kura na to:—Praca mię nie nuży;
Ot szukam sobie na los, na trafunek,
Gdyż bardzo stare to śmiecie.
Tu wygrzebała prababka pierścionek
I za to słynie w gazecie. —
— Szukajże sobie, bo ja nie mam czasu:
Idę, by wilka przepędzić do lasu,
Lisa z kurnika, złodzieja od brogów.—
Przepędź też brysiu i archeologów!

DRAŹLIWA KWESTYA.

—Nic nie rozumiem myśli Opatrzności,
Na co owady dokuczliwe dała?
Zapewne szatan utworzył je w złości,
Aby mógł niemi dręczyć nasze ciała,
Gdy go od duszy odpędza Krzyż święty!—
Tak mówił w łóżku od stop do głów cięty
Gość oberżowy, męczennik dwojaki:
Bo i krew własną dawał i pieniądze.
Na to męczennik jak on drugi taki,
Ozwał się z łóżka: — Ja przeciwnie sądzę:
Nie winuj Stwórcy, ani też szatana,
Lecz oberżystę tyrana,
Co pisze kredką podwójną,
A cierpi czeladź niechlujną.
Owady gubić lub mnożyć,
Rzecz ta ludziom zostawiona;
Bogu chciało się je stworzyć,
Człek je czystością pokona.
Gdziekolwiek potworność dzika
Bierze przewagę nad nami,
Niedołęztwo się spotyka,
Jak w kwestyi téj z owadami.
Podobnie, wierz przyjacielu,
Bywa w innych kwestyach wielu,
Tak zwanych kwestyach żywotnych,
Kiedy gnuśnych, nieobrotnych,
Wypiera Szwab pracowity,
Albo toczą pasorzyty.—

BADACZ NATURY I ŻABY.

Badacz natury, dość ciekawa sztuka,
Bo zawsze czegoś tam szuka,

Idąc spacerem złapał u sadzawki
Dwie żaby, i dla zabawki
Anatomicznéj, jedną wziął pod nóż,
Rozpłatał wszersz i wzdłuż,
Odciął nogi, łeb, zdjął skórę,
Pod szkło mikroskopu kładzie,
I gapiącéj się gromadzie
Tłómaczy naturę.
A nagadawszy wiele mądrych rzeczy,
Gdy nikt nie przeczy,
Skończył prelekcyę—że zaś dobra dusza,
Drugi egzemplarz żaby wypuścił—niech rusza!
Żabsko szczęśliwe, bo wolność jéj dał,
Do sadzawki sunie w cwał,
I dostawszy się do wody
Zgromadzonéj żab czeredzie
Opowiada swe przygody:
—Och sąsiadko! och sąsiedzie!
Na dziwne patrzałam rzeczy,
Słyszałam geniusz człowieczy,
Rozprawiający przez dwie godziny
Nad ciałem mojéj kuzyny,
A w ogólności nad nami.
Kiedy człowiek tak nas waży,
Któż się poważy
Żaby nazywać gadami?
O! my nie gady, my znaczymy wiele
W stworzenia dziele;
Pokora już nie przystoi:
Na żabach świat stoi.—

Dziwićże się, jeśli lada
Autorek za prawdę bierze,
Co gazeciarz o nim gada
Jakby o Homerze,
A w osobne paragrafy
Mieszczą go historyografy?...
Biedna głowina wciąż roi,
Że na niéj cały świat stoi.—

MENAŻERYA.

W pewném miasteczku, większém niż Słomniki,
Pokazywano menażeryę w budzie;
Z ciekawością biegli ludzie
Widzieć lwy, małpy, niedźwiedzie i żbiki,
Psy morskie, koty, cielęta,
Papugi w różnym kolorze,
I inne jeszcze zwierzęta —
Któż je tam spamiętać może!
Bardzo ten widok bawił z początku,
Kiedy właściciel karmił je, lub droczył—
Lecz do małpeczki jednéj, w samym kątku
Każdy się tłoczył.
Tak była śmieszna i tak do człowieka
Podobna twarzą i ruchem,
Że i filozof, co wszystko docieka,
Nazwał ją upadłym duchem.
Co znowu pochwyciwszy gawiedź na języki,
Utrzymywała: że to człowiek dziki.
Słuchał tych rozpraw figlarz zawołany
(W każdém mieście taki bywa)
I rzekł:—Co znowu? wszak to wykapany
Nasz burmistrz, tylko mu piwa
Postawcie spory antałek
I zapisany szpargałek! —
—Ach prawda! burmistrz! on sam, w miniaturze!—
Wtórzyła gawiedź z czystém przekonaniem,
Bo to w gawiedzi naturze
Na oślep lecieć za zdaniem
Lada figlarza, albo też filuta:
Na tém najwięcéj mądrość jéj osnuta.

Początek dany—a więc na ten sposób
Poodkrywano podobieństwa nowe
Do różnych osób:
Zarosłą jako lew głowę,

A nogi, jak u żyrafy
Kto ma w mieście? jużci grafy,
Eleganty żurnalowe.
Ten szakal—to lichwiarz faktor,
Za lwami zwykle się włóczy—
A ten niedźwiedź co tam mruczy,
To niby gazet redaktor.
Papuga—znana dewota,
Bo gadatliwa i szczypie.
Komendant ma znowu ślepie
Wytrzeszczone jak u kota,
A lis—patron trybunału...
I tak daléj, aż pomału
Każdy w zwierzętach poznawał
Swego wroga, lub sąsiada—
A gdy szukać nie przestawał,
Na własny portret napada.
—A to zgroza! ten ów krzyknie.
Z oburzeniem podziw niknie,
I ta przed chwilą chychocąca tłuszcza
Prawie się gwałtu dopuszcza
Na biednym Włochu, właścicielu budy,
Że takie rozwozi brudy,
Co szczypią honor cnych possessyonatów:
—Dać mu sto batów!—

Byłaby pewnie przetrzepała Włocha
Ta zgraja płocha,
Gdyby nie starzec sędziwy,
Posłyszawszy wyrok krzywy,
Nie był się wmieszał jako rozjemca
Pomiędzy widzów i cudzoziemca.
Jakoż wysłuchał strony obojéj,
I rzekł po chwili:
—Widzowie mili!
Usłuchajcie rady mojéj
I pójdźcie sobie jakeście przyszli;
Ten Włoch nic złego nie miał na myśli:

Ze zwierzętami
Jeździ po świecie.
Czemuż się sami
W nich poznajecie?—

Mógłbym podobnéj użyć odpowiedzi,
Do téj gawiedzi,
Co w tych bajeczkach znachodzi przycinki
Bądź do drugich, bądź do siebie.
Ja tylko chłoszczę podłe uczynki,
Godność obudzam w potrzebie.
Strzelając na wiatr, w nikogo nie mierzę—
Kto zaś do siebie to bierze,
Jeżeli nie jest junakiem,
Niech się téj rady uczepi:
Że mu lepiéj siedzieć makiem,
A poprawić się najlepiéj.—

KOMU W DROGĘ — TEMU CZAS.

(Z papierów pośmiertnych).

Wdzięczne dnia światło, niebios wydęty błękicie,
Gwiazd stada z swoim pasterzem—księżycem!
Tyle już, tyle lat na mnie patrzycie
Wesołém lub chmurném licem!
Jutro już może nie powitam was:
Komu w drogę — temu czas!

Pieśni słowicze, ptaków powietrzne chorały,
Boru szumy mistyczne w nocną ciszę,
Śpiewne jeziora, mruczące kryształy,
Rozmyślań mych towarzysze!
Jutro już może nie usłyszę was:
Komu w drogę — temu czas!

Wonnych balsamów z czeremch, bzów, wiśni, jabłoni,
Majowy wietrzyk dla mnie nie pozbiera,
Ni tchnień żywicznych od lasów nagoni
I róż mi nie pootwiera.
Jutro nie przyjdę piersią chwytać was:
Komu w drogę — temu czas!

Wy, uskrzydlone duchy, z dłótem, pendzlem, piórem,
Coście od ziemi rwali mię do siebie,
Żem się nie toczył po niéj suchym wiórem,
A częściéj chodził po niebie!
W górnéj pracowni ducha spotkam was:
Komu w drogę — temu czas!

O złote myśli, w pasmo powplatane zgrzebne,
Marzenia wieszcza, zapału ekstazy!
Życia miraże już mi niepotrzebne,
Rzeczywistsza milion razy
Jutro mię wieczność oddzieli od was:
Komu w drogę — temu czas!

O mgły fantazyi! z gliny waszéj gdy lepiłem,
Twórca był ze mnie — twórczość to niepłodna;
Bo choć z waszego źródła ciągle piłem,
Nigdym nie dopił się do dna.
Bezsilne... więcéj grób powie od was...
Komu w drogę — temu czas!

Snem wszystko! Mleczną drogą, z gwiazd wybudowaną,
Pójdę ku słońcom, w przestwory szafiru,
Gdzie czysta Prawda będzie mi podaną
Wykuta, jakby z porfiru.
Żal mi serc kilku... moi! żal mi was...
Komu w drogę — temu czas!

OBJAŚNIENIA.

DO POTRZEBY WARNEŃSKIEJ.

Praktyk cygański. Praktykami nazywano wróżbitów: praktyki—czary.

Młody Krzysztoforze! Znana jest starożytna pieśń pobożna o Krzysztoforze. Czytelnik znajdzie ją w Księgach Bibliograficznych Lelewela. Rej mówi w „Żywocie poczciwego człowieka:"—Bądź jak on Krzysztofor wielki a stały we wszystkich sprawach twoich. — Krzysztofora wyobrażano w średnich wiekach w postaci olbrzyma i stawiano go przy zamkach, kamienicach, jak to po dziś dzień widzieć można w Krakowie, w Kazimierzu, w Lubelskiém, niosącego na ręku dziecię Jezus przez wodę, podpierającego się drzewem.

Na ocel. Stal, z czeskiego.

Z namiotu kraśnego jen szyty perłami. Namiot Władysława pod Smederowem szyty był perłami, jak mówi Janczar Polak.

Łażbią. Łażbić, miód z barci, pszczoły podbierać. Po drodze w czasie téj wyprawy wyłamano kilka zamków, przy których dwaj Polacy dzielnie sobie poczynali, jak pisze Bielski, gdy Jan Tarnowski u Sumenu wrota wysiekł, a Leszek Bobrzycki naprzód u Petraszu na mur skoczył.

Harcują k' wol' spyże. Spyża, żywność, np. zamki naspyżować. Ztąd zapewne spiżarnia, skład żywności.

Lud węgierski niemnożen, choć czysty. Nad 20,000 ludzi nie było pod Warną razem z Wołoszą. Lud czysty znaczy: dzielny, doborny. Draguła wojewoda wołoski, zobaczywszy małe wojsko węgierskie, powiedział, że Turek miewa więcéj luda, gdy na łowy jedzie.

Czambuł, z tureckiego: krótka wojenna wyprawa, bez wielkich przyborów na długą kampanię.

Padysza, jen się dał w derwisze. Murad II, po pierwszéj straconéj bitwie z Władysławem, z żalu wstąpił do klasz-

toru i pokutował; lecz gdy powtórnie Władysław wojnę rozpoczął, wywlekli go ztamtąd janczarowie.

Grek od głowy po dukacie bierze. Grecy zamiast bronić Turkom przejścia do Europy, przewozili ich na własnych okrętach, biorąc od głowy po dukacie.

Jak przewała deszczowa. Straszny miał być pochód gońców tureckich, czyli awangardy; autor pamiętników wyraża się, że gdzie przechodzą, tam kur wiele lat nie zapieje; w ich języku zowią się Akumdzie.

W poniedziałek—bitwa zaczęła się w poniedziałek o świcie.

Cztery pływa tam sztandarów, jeden biały, i t. d. Cztery są chorągwie cesarskie, które są pomiędzy dworzanami: jedna najprzedniejsza biała, złotem pisana. Nazywa się Alamsamdiat, jakoby kto rzekł: wszelkiéj mocy chorągiew. Druga czerwona, trzecia zielona z czerwoném, czwarta żołta z czerwoném. Gdzie te cztery chorągwie rozwinięte, tam się cesarz znajduje. (Pamiętniki Janczara).

Nuż w nie miły Staszku! Objawienie to miał Władysław Jagiełło pod Grünwaldem, i wyrzekł te słowa, które tu w usta syna włożyłem.

Z klechdaniami. Klechda znaczy tradycyę czyli podanie; to słowo znane jest po całéj północy. W tragedyi pierwszéj znanéj u nas pod tytułem Pamela, mówi Pamela: „Klechdy starych bab nauczyły, jak lubowników przez powietrze sprowadzać."

Wonnym jabłkom uproście do raju. W jednéj z powieści gminnych, pomnę, że dusze pobitych zamienione były w wonne jabłka.

Kukry. Podług Collectaneów Sękowskiego ów janczar nazywał się Kodża Chyzyr.

Rozumiał co niema twarz gada. Na Wschodzie podanie jest, że znajdują się ludzie, którzy rozumieją język zwierząt, nawet kwiatów.

Trzebieńce. Eunuchy; tak ich nazywa autor Pamiętników Janczara.

Chwała, Allo, za zwycięztwo szczęsne! Murad II, uradowany zawołał te słowa: El-ham du lillahi allaz-zefer! Chwała bądź Bogu za zwycięztwo.

Śród majdanu. U Turków ulica obozowa, u nas miejsce w lasach wycięte, gdzie jest mała osada, majdanem zowiemy.

Wierę, rzeczywiście, prawdziwie; patrz Reja.

Bojowiskiem dwaj jeźdźcowie, i t. d. Po bitwie sułtan w towarzystwie Azeb-Beja przejeżdżał po polu bitwy, i obracając się do niego: „Co znaczy—rzekł—Azebie, że pomiędzy tylu niedowiarkami żadnego nie widać z siwą brodą?" — „Padyszachu, odpowiedział, gdyby się pomiędzy nimi choć jeden sędziwy znajdował starzec, nigdyby się z nimi to nie stało." (Z Collectaneów).

DO SAMUELA ZBOROWSKIEGO.

Pierwsza część tego rapsodu: Czarnomorska Burza, jest poniekąd naśladowaniem dumy małoruskiéj ze zbioru Maksymowicza, lubo poczynione są w niéj znaczne odmiany, stosownie do głównego pomysłu, zawartego w tym poemacie. Wiadomo jest z dziejów, iż Zborowski robił z Kozakami wyprawy morskie i że był nawet ścigany przez galery tureckie. Ciekawy opis dzieł jego na Niżu znajdzie czytelnik w Paprockiego Herbach Rycerstwa, a mianowicie w Zbiorze pamiętników o Samuelu Zborowskim, wydanym przeze mnie w Poznaniu 1844. Do tegoż dzieła odsyłam wszystkich, którzyby chcieli rozpatrzyć się bliżéj w tym dramacie XVI stulecia. O żadnym historycznym wypadku nie mamy tyle historycznych dokumentów, tak bardzo szczegółowych, ile o śmierci Samuela Zborowskiego; każdy nieledwie krok jego i słowo jest tam zapisane. Z tego pokazuje się, że sprawa ta ogromnie obchodziła naród, że coś więcéj wchodziło w nią niż proste ucięcie głowy burzliwego szlachcica. Najtrafniejsze tu będzie zdanie Mickiewicza z katedry słowiańskiéj: Że to podobno była walka uczuć narodowych przeciw doktrynom Batorego i Zamojskiego.

TŁÓMACZENIA.

KRÓLODWORSKI RĘKOPISM.

PRZEDSŁOWIE.

Wacław Hanka, bibliotekarz królewskiego narodowego czeskiego muzeum, niespracowany w badaniu języka czeskiego, w odgrzebywaniu pamiątek i zabytków wielkich swoich naddziadów, szczęśliwym trafem, jakby od losu w nagrodę, odkrył najwyborniejsze przodków utwory, które cudem śród niszczącéj wieków powodzi do naszych czasów przybiły.

W dniu 16 września 1817 roku, nawiedzając przyjaciela w mieście Królowym Dworze, które niegdy mściwéj ręki Żyżki doznało, zasłyszał, że w nizkiém środkowém wieży kościelnéj sklepieniu, pod chórem, znajduje się pęk strzał, jeszcze od nieszczęsnéj epoki zniszczenia dochowany. Życzył on sobie ten dawny oglądać zabytek, a gdy w strzałach przewraca i przetrząsa, napada na kilka kart pargaminu. Z razu miał je za modlitwy łacińskim charakterem spisane, lecz wyszedłszy na widnię, jakaż go radość przejęła, gdy ujrzał czeski rękopis, — a jak rosło uniesienie, gdy im go daléj wertował, tém skarb bogatszy się stawał! Władzom miejskim i światlejszym odczytał zaraz pierwszy ułamek; słuchacze dzielili jego zachwycenie i jednogłośnie przyznano mu własność znalezionego rękopisu, który on złożył następnie w muzeum, przeznaczoném na skład pamiątek twórczéj dzielności czeskiéj z ubiegłych i obecnych wieków.

Przeszłość w wielkie sprawy okwita, nie mogła unieść razem z sobą tylu potężnych duchów, twórców swoich, nie zrodziwszy natchnień w następcach do bohaterskich czynów, lub do wzniosłych pochwał w pieśni i słowie. Lecz pieśń i słowa przebrzmiały — te wieszcze wyrocznie — jak w kumejskiéj Sybilli; słuszna więc była obawa narodu, lękającego się przeszłość swoją utracić w gwałtownych czasów zamęcie.

Gdy w ostatnich leciech szlachetne ocknęły się usiłowania o pielęgnowanie pamiątek narodowych, gdy światłe głowy w ojczystym języku do narodu czeskiego przemawiać zaczęły, natenczas głośne dały się słyszeć utyskiwania nad niedostatkiem starych, gminnych poezyj.

Mdłe dźwięki z wieku odrętwienia, po którym letarg nastąpił, ślęcząca umiejętność choćby i uwieńczonych poetów, nie mogły już obudzić owéj świeżéj, żywiącéj myśli, która niezbędnym jest warunkiem, aby się coś lepszego w duszewném życiu narodu wywikłało.

Szczątki silnych dźwięków dostrzegane w podaniach najdawniejszego z kronikarzy czeskich, katedralnego dziekana Kozmy, „które z ust starych ludzi" przed rokiem 1125 zebrał, oraz i w innych kronikach, które o losach i sprawach ludu czeskiego podają, i szczęśliwy znalazek Hanki zaspokoiły tęsknotę, i w tém dowód, jak wiele mogła usilność czeska. Ztąd owo uniesienie, z jakiém powitano to rzadkie zjawisko, tę świetną gwiazdę przeszłości, uniesienie tém słuszniejsze, że bez względu na miejsce i czas, z którego te pieśni pochodzą, wartość poetycka silnie przemawia za niemi.

Kiedy Niemiec z uczuciem radości spogląda na Heldenbuch, na Nibelungenlied, na swoje miłosne piosneczki (Minnelieder). kiedy Ers chełpi się z Ossyana, Hiszpan ze starodawnych romansów o wielkim Ruyz Diazie et Cid Campeadorze, Francuz z pieśni cyklu Karlomańskiego, Fińczyk z mitycznéj Kalewalli—to my Słowianie możemy być równie dumni z naszéj Wyprawy Igora, lub z pieśni o rycerzach Włodzimierzowego stołu, lub z Marka Królewicza i tylu innych zabytków, opiewających bohaterskie dzieła przodków. To już wystarcza, aby się przekonać, że nie-

więdnący kwiat poezyi snadniéj na wolnéj pielęgnuje się przestrzeni niż na szczupłéj ogrodniczéj grzędzie, jeśli głos z mrocznych wieków płynący i dziś serce rozgrzewa, i dumę narodową upaja. Nie dziw, że i pobratymczy nam Czech uczuł w sobie drgnięcie nowego życia, gdy Rękopis Królodworski przypomniał mu jego zatartą przeszłość.

Zaiste, mała to tylko cząstka skarbu w dziedzictwie od wielkich ojców przekazana; przecięż jeśli całéj nie objął puścizny, jeśli mu się wszystkiego ku pożytkowi obrócić nie godziło, niech mu zostanie bodaj chluba z bogactw, które kiedyś posiadał, chociaż je, już to z własnéj winy, a bardziéj z nienawistnych okoliczności, stracił może na zawsze.

Rękopis sam, podług świadectwa biegłych w téj rzeczy znawców, należy do epoki między 1230 a 1310 rokiem, a nigdy do późniejszego czasu. Zapewne jaki czciciel czeskiéj poezyi, spostrzegłszy pod groźnym zdobywcą Ottokarem II, a więcéj jeszcze po jego upadku, że cudzoziemszczyzna górę bierze, zapobiegając, aby za przykładem możniejszych obojętność dla rzeczy ojczystych i do klassy ludu nie przeszła, z podobną myślą, z jaką Rüdiger Manasse wiekiem późniéj miłosne pieśni Zurichanów, zbierać musiał rozmaite płody wieszczów swojego narodu.

Że utwory z tego co i rękopis pochodzą wieku, rzecz bardzo jasna. Nadto pan Zimmermann znalazł kartę, na któréj *Jeleń* wypisany; wnosząc z charakterów, pismo to między lata 1230 a 1250 przypada, a tém samém dobrze dawniejsze, niż zbiór królodworski.

Być może, że niektóre pieśni, jeśli nie do téj, to do najbliższéj należą epoki, co niezaprzeczone rozbiory na inném miejscu wyświeciły. Najdawniejsze, pogańskich wieków sięgające pieśni, najwięcéj zdają się być uszkodzone, jak to widać snadnie z niejednostajności miar wierszowych, szczególniéj w Zaboju, Czestmirze i Jeleniu; późniejsze, sądząc po równości rytmu, nienaruszone zostały. Czy to brak biegłości w wymierzaniu tonów u dawniejszych twórców, czyli też psowanie się pierwotworu z biegiem czasu, zrządziły mnóztwo odmian w wierszowaniu — któż to rozstrzygnie? Lecz że w przechodzeniu z miary do miary,

w prawdziwości uczuć swoich nie mieli dawni śpiewacy prawidła, to rzecz niezawodna. Opowiadali zwykle pięciomiarowym trochejem, z żeńskim spadkiem, lecz gdzie rosło wzruszenie, wiersz brzmiał krócéj, a spadek męzki z ogniem bohaterskiego zapału wytryskał, jak to szczególniéj w Zaboju widać.

Pierwotwór rękopisu pisany jest prozą, rzadkie ma odstępy;—w przekładzie trzymałem się mniéj więcéj miar ułożonych przez wydawców czeskich, lub przynajmniéj chwytałem tok pieśni. Szczytna prostota starożytnych utworów zawsze niemałe stawia zawady; dzisiejszy nasz język, tak zwany uczony i wykształcony, a w istocie niemalujący, niezmysłowy, daleki od jędrności i mocy dźwięków dawnych Słowian żyjących z przyrodą, nie mógł podołać ze swoim rymem. Dzisiejsi tłómacze stoją w tym samym przypadku, w jakimby znajdowali się przed tysiącem laty Lumir i Bojan, lub którykolwiek ze starożytnych wieszczów, coby się brał przekładać sonety Mickiewicza lub Beranżera piosneczki. Wieki mają swoje prawa; nam tylko wyobrażeniem wolno pojmować to, co przodkowie nasi czuli wszystkiemi duszy siłami.

Co do następstwa i rozgatunkowania pieśni, odstąpiłem nieco od porządku przyjętego w czeskich wydaniach; podzieliłem na dwa oddziały: a) Śpiewów bohaterskich, na historycznéj opartych treści, tonem zbliżonych do epopei, i b) Pieśni już-to miłosnych, już-to w kształcie ballad.

W rękopisie inaczéj idzie. Z początku stoi ułamek o wypędzeniu Polaków, u nas *Oldrzych i Jarmir*. Następnie pod napisem: „Zaczyna się 26 rozdział III-éj księgi o porażce Sasów," u nas *Benesz*. Daléj: „Zaczyna się o wielkich bitwach Chrześcian z Tatarami" — u nas *Jarosław*. Potém zaczyna się 27 rozdział III-éj księgi „O zwycięztwie nad Własławem" — u nas pod nazwą: *Czestmir i Własław*. *Ludissa* umieszczona pod napisem: „Zaczyna się o wspaniałym turnieju." Rozdział kończy się Zabojem, pod napisem: „Zaczyna się o wielkiéj klęsce." W dalszym ciągu tak idzie: „Zaczyna się 28 rozdział III-éj księgi z pieśniami;" ten zawiera *Zbyhonia, Wianek, Jagody*,

Jelenia, i cztery inne bez nadpisu, a z jakiéjś pieśni dwa tylko zostały wyrazy.

Oby się udało w części daleko znaczniejszéj odszukać te śpiewy ludu, te kwiaty prawdziwéj poezyi! Coby był za zysk nietylko dla Czechow, ale i dla całéj Słowiańszczyzny! Ileż skarbów zbutwiało w pyle, spłonęło w pożarach miast, zamków i klasztorów! Ileż ich żelazny ząb fanatyzmu roztoczył, ile żądza łupu cudzoziemskich żołdaków wywlekła! To, co gdzieś gnije w obczyźnie, na własnéj roli nieopłaconym jest pożytkiem. Ileż to i u nas samych, obojętnością niedbałych potomków, przepadło! Na deskach książek należy dziś szukać zabytków przeszłości, dowodów ogłady i oświaty przodków.

Jakkolwiek znalazek Rękopisu Królodworskiego obudza uczucie słowiańskiéj dumy, tém strata reszty dotkliwszą się wydaje. Gdyby rzeczywiście nic nie istniało więcéj nad to, co ów zbiór zamykał—a czemu wierzyć trudno,—jakże ogromne bogactwo przepadło! Jeśli całość z trzech ksiąg się składała, a każdy rozdział dwie większe poezye zawierał, to podług téj rachuby, przeszło 168 wybornych, w duchu ludu napisanych pieśni zginęło może na zawsze. Posiadając je, jakie wspomożenie dla języka, jakie wskazówki dla badacza dziejów, jakie zyski dla sztuk i umiejętności!

Wartość ocalonym szczątkom powszechnie ż uniesieniem jest przyznana. Göthe wspominał o nich z zamiłowaniem. U nas różni przekładali częściami, jako to: Brodziński, Kucharski, Bohdan Zaleski, Witwicki, Rakowiecki (w Prawdzie Ruskiéj), i inni w pismach czasowych. Nabielaka przekład w miarach oryginału umieszczony był w I-m i II-m tomie Haliczanina. A. Bielowski przełożył wybornie „Sąd Libuszy." Rossyanom dał je poznać znany z prac swoich admirał Szyszkow. Lecz bardziéj jeszcze utalentowany pisarz, professor Mikołaj Berg, ceniony tłómacz „Pana Tadeusza," po mistrzowsku przelał piękności oryginału (Moskwa, 1846 roku). Na serbskie tłómaczył Sławko Petrovicz Zlatojevicz; na illirskie J. Borlicz, na łużycko-serbskie J. E. Smolerj, na bulgarskie Dmitriew

na włoskie F. Francesconi i John Bowring. John Bowring, wydawca antologii polskiéj, rossyjskiéj i tym podobnych, zbiór królodworski i dla Anglików przełożył. Wyborny muzyk czeski Tomaszek, który pieśni Schiller'a, Göthe'go i innych z taką wiernością i pięknością pod muzykę podłożył, śpiewał także sześć ostatnich pieśni tego zbioru, w duchu ludu i dawnego czasu. Ta kompozycya należy do najwyborniejszych i najoryginalniejszych płodów tego mistrza.

Wszystko to jest rękojmią wartości Rękopisu Królodworskiego, którego ja przekład w języku ojczystym przyjaciołom Słowiańszczyzny i prawdziwéj poezyi poświęcam.

Tłómacz.

PIEŚNI BOHATERSKIE.

ZABÓJ, SŁAWÓJ, LUDIEK.

Pieśni téj pierwsze przed innemi miejsce naznacza professor W. A. Svoboda; idzie on za porządkiem wypadków, i nie godzi się z Meinert'em, który ją po Czestmirze kładzie. Meinert bowiem chce widzieć w téj pieśni wyprawę Ludwika Niemca, przedsięwziętą na poparcie praw czternastu wygnanych czeskich panów, którzy w Regensburgu wiarę Chrystusa przyjęli; roku 849 poniósł on, jak się zdaje, na granicach Bawaryi haniebną klęskę, z któréj, jak Brummer, tylko szczątki wojska ocalił.

Frankońscy kronikarze kładą tu i owdzie wzmianki, z których wszakże trudno się prawdy dobadać. Oprócz wspomnianéj przez Meinert'a wyprawy Ludwika Niemca, zasłyszeliśmy jeszcze o przedsięwzięciach księcia Bajowarów Thassilio'na, a pod Dagobertem Wielkim (628 — 638) mówią kronikarze o znacznéj klęsce, zadanéj wojskom jego przez Słowian pod wodzem ich imieniem Samo. Frankowie byli ścigani usque ad castrum Vogastense.

Że jakieś najście Franków, odważnego a roztropnego Zaboja, zapalonego, a jednak ludzkiego Sławoja zmusiło do związania się z ziomkami, dla zrzucenia jarzma i wyłamania się od nowéj wiary, to żadnéj wątpliwości nie podpada. Wódz nieprzyjacielski z Ludwika na Ludieka mógł być zmieniony, a to w ustach ludu nienawykłego do nazwisk cudzoziemskich,—lecz on jest sługą (parobem) króla Franków, podług słów Zaboja,—zdaje się, że długo gospodarzył w ich kraju, długo, jak to Frankowie gdzieindziéj

czynili, nawracając do chrześciaństwa żelaznym językiem miecza.

Professor W. A. Svoboda, z którego przedwstępnéj dziejowéj rozprawy powyższych zasiągnąłem wiadomości, dowodząc Meinert'owi, że pieśń o Zaboju daleko wcześniejsza od następnéj o Czestmirze, różnych po drodze chwytał się domysłów. Chciałby on, składając winę na niedokładność w pisaniu nazwy, Sławoja czeskiego zrobić karynckim Samonem. Trudne przypuszczenie, gdzie żadne historyczne, ledwo tylko kilku liter podobieństwo zachodzi.

To jednakże spostrzeżenie autora rozprawy pomogło mi do dalszego badania.

Samo, ten Herman słowiański, zniósłszy jarzmo Hunnów-Awarów (r. 614), obudził ducha narodowości w pobratymczych płemionach; gałęzie wielkiego szczepu zaczęły się łączyć w jedno, i jak twierdzą kronikarze, Czesi z Karantanami przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi związali się.

Sąsiedni Frankowie nie mogli obojętnie spoglądać na potęgę Samona, i tylko dogodnéj do zaczepki czekali pory, a ta nadarzyła się wkrótce. Ich król Dagobert wysłał oddział Franków do Narykumu, aby na karb swego władcy łupili (*). Nieproszeni przybysze zaczęli uciskać sąsiednich Słowian, a co pewniejsza, mieczem do wiary nawracać. Oburzyli się krajowcy na te nadużycia, podali sobie ręce i wszystkich owych frajbajterów w pień wysiekli r. 629. Rozgniewany Dagobert za ten czyn zuchwały, wysłał do Samona Sicharyusza, nierozsądnego posła, a wkrótce trzema wojskami wtargnął w granice posiadłości słowiańskich w r. 630. Jak smutny był koniec wyprawy, dowód z ówczesnych kronikarzy niemieckich, którzy o niéj zaczynają od słów: „Incipit scandalum..."

---

*) Kto oni byli? różne domysły. Linhard idzie za Polcel'em i nazywa ich frajbajterami, którzy dla króla po łupy wyciągnęli, a w słowach anonima: „regia expoliavit pecunia," znajduje potwierdzenie swego domysłu. Nie byli to kupcy, negotiatores, jak chcą niektórzy wyraz ten tłómaczyć, ale raczéj ludzie wojenném rzemiosłem trudniący się, bo negotiari w łacinie średnich wieków nic nie znaczyło innego w tém miejscu, tylko wojnę prowadzić.

Przedziwnie z pieśnią naszą zgadza się powyższy ustęp historyczny. Ci ludzie wojennego rzemiosła, ci nieproszeni goście, co nie bez myśli rozszerzenia chrześciaństwa naszli siedziby Słowian (gdy ten interes łączono zawsze z polityką ówczesną), nie mogliż to być owi cudzoziemcy pod wodzem Ludwikiem? owi burzyciele bogów, owi w zbrojach stalowych, jasnych jak słońce? A tenże Zabój ze swymi związkowymi, knujący spisek w głębokiéj tajemnicy, w lesie? Słowo w słowo tak musiano wypędzić uprzykrzonych frajbajterów Dagoberta. W całéj pieśni prawie żadnéj wspominki o miejscach warownych: góry tylko i doliny, kraj dziki, lasy, pustynie. Ci więc Frankowie, przypuszczam, w niewielkiéj liczbie nie mogliby do ucywilizowańszych zabłądzić Karantanów, i u nich gospodarzyć. Samo od sześciu lat, po zniesieniu Hunnów, wzbił się w potęgę i pewnieby nie dopuścił obcych tyranów, jak tego i rokiem późniéj na wojskach Dagoberta dowiódł. Kraj czeski, jak Zabój śpiewa: bez ojca, bez głowy, sierota— dogodniejszy był widokom cudzoziemców; tam wygodniéj mogli łupieżyć i wiarę narzucać, gdzie zwierzchnictwo Samona w czasie wojny tylko się rozciągać musiało. Otoż cały mój domysł. Z kilku słów ówczesnych annalistów trudno było więcéj wyciągnąć, a sama pieśń tak starożytna, tak prosta, bez nazwy miejsc i ludzi, treścią tylko do wypadków w roku 629 zaszłych podobna.

Z drugiéj strony, biorąc tę pieśń jako żywy zabytek dawnéj gminnéj poezyi, co za skarb bezcenny! Język w pierwiastkowéj jędrności, krótki, malowny, jak mowa dzikich. W tle obrazu wielki pomysł oswobodzenia z jarzma narodu, ucisk, zemsta uczciwa i bogom ofiary. Bohaterowie żyją pod gołém niebem w lasach, pół dzicy; miłość bogów i rodzinnéj ziemi—dwa silne dla nich bodźce moralne.

A owe homerowskie rysy dwóch młodzieńców? Ten Zabój przesilny, co cięciem topora drzewo ścina, którém trzydzieści mężów ubija, odrzuca tarczę, z mieczem i młotem ściga wroga; jego wzrok dowódcy, jego zręczny rozkaz wydany Sławojowi, aby z boku na nieprzyjaciela uderzył, jego obrazy, któremi umysły powierników do czynu

zapala! Znowuż obok niecierpliwy ognisty Sławój, ścigałby do ostatka nieprzyjaciół, a kiedy już małą niedobitków garstkę spostrzega, jak miłosiernie za nimi błaga swego towarzysza!

Słowem, cały ten rapsod w wielkiéj narodowéj epopei pełny mistrzowskich rysów, godny się stawić obok najwyborniejszych pieśni barda Morwenu, jest razem i najpoetyczniejszy, i ledwie że nie największéj wartości w całym tym zbiorze.

Nad czarnym lasem [1]) sterczy tam skała.
Zabój wystąpił na skały czoło,
Po wszech krainach spojrzał w około,
Cała kraina smutkiem powiała,
A on gołębim zawodzi płaczem.
Siedzi tak długo, w długiéj tęsknicy,
Aż się jak jeleń zerwał na nogi,
Na dół przez borów pustynne drogi
Pędził po mężach, był u każdego,
Z włości do włości, w całéj ziemicy,
Każdemu w ucho rzekł coś skrytego,
Bogom się skłonił
I daléj gonił.

Minął dzień jeden, minął dzień wtóry,
Za trzecim, księżyc gdy wyjrzał z chmury,
W czarny las wszyscy przyszli mężowie.
Zabój ich wiedzie pospołu
W głębie leśnego wądołu,
I sam w wądole ukryty
Uderza w struny waryty [2]):

—„Męże bratnich serc,
Ognistych wyroków!
Wam pieję pieśń
Z padołu mroków.
Pieśń ta z głębi serca płynie,
A w mém sercu smutek ninie.

„Poszedł ojciec za ojcami,
Zostawił dziedzice,
Drobne dziatki sierotami,
I swoje lubice [3]).
Nie zostawił żadnéj głowy,
Nie rzekł komu: „Bracie! przemów
„Ojcowskiemi do nich słowy."

„I cudzy do naszéj ziemi
Przemocą wdarł się,
I słowami obcemi
Szeroko rozparł się.
Jaki zwyczaj w cudzéj stronie
Od mroku do świtu,
Taki zwyczaj dziecku, żonie,
Narzucił i tu;
Kazał z jedną zostać żoną,
Z nią iść drogą przeznaczoną
Od Wiosny do Morany [4]).

„Nasze krogulce wypłoszył z gajów [5]),
Przyniósł nam bogi gdzieś z cudzych krajów,
Przed tymi bogi czołem bić każe,
Obiaty znosić na ich ołtarze.
Któż starym bogom wyrządzi cześć?
Kto im o zmroku poniesie jeść?
Bo gdzie chadzali z karmią ojczyce
I gdzie na modłach spędzali dzień,
Tam, w gruzach leżą nasze świątnice,
A święte drzewa wycięte w pień!"—
—„Oj ty Zaboju! pieśniami
Serca nam wiążesz z sercami,
Zapalasz ogniem męzkości.
Ty, jak drugi Lumir ów [6]),
Co potęgą wieszczych słów
Wstrząsnął Wyszehrad [7]) i włości—
Ty wstrząsasz braćmi, wstrząsasz moją duszą!
Takiego piewcę bogi kochać muszą.
Śpiewajże, śpiewaj! masz dane od bogów
Pieśnią zagrzewać serca na wrogów."—

Oko Sławoja ogniem się pali;
Widzi to Zabój i śpiewa daléj:

—„Dwaj synowie, junaczkowie,
Dobiegając męzkiéj góry,
Jęli schodzić skrycie w bory
I do kopii, miecza, młota
Przyuczali ręce młode.
W oczach grała im ochota,
Gdy wracali w swą zagrodę.
Lecz gdy w siłę wzrosły barki,
A na wrogów wzrosły duchy—
Na mężne dojrzawszy zuchy,
Nuż na wroga, nuż na karki
Wpadli wściekli,
Jako burza gromem siekli;
I wrócili w swe zagrody,
Z nimi wrócił wiek swobody."—

I do Zaboja skoczą ku dołu,
Cisną go w krzepkie ramiona;
Dłoń jego z łona idzie do łona,
Z słowa do słowa, radzą pospołu,
Noc się przewala, już zorze blizkie—
Każdy poróżnie wybiegł z doliny
Pomiędzy drzewa, między chróściny,
Chyłkiem, ukradkiem, na strony wszystkie.

Minął dzień jeden, minął dzień wtóry [8]),
Po trzecim wieczór nastał ponury.
Szedł Zabój w las,
Za Zabojem zbory;
Szedł Sławój w las,
Za Sławojem zbory.
Idą w cichym pochodzie,
Wierni swojemu wojewodzie,
Wszyscy gniewem wrą na króla,
Wszystkie miecze godzą w króla.
—„Nuże, Sławoju! gdzie ten szczyt siny [9])
Wyżéj nad wszystkie patrzy krainy,

Tam pociągniemy z drużyną naszą!
Od góry na wschód rannego słońca,
Gdzie się czarnobór ciągnie bez końca,
Ręce się bratnim węzłem opaszą.
Dalejże! bierz się kroki lisiemi—
I ja wnet pójdę ślady twojemi.'—

—„Zaboju, bracie! na cóż od wzgórza
Uderzać na nich orężem grozy?
Nie lepiejż prosto runąć jak burza
Na te królewskie obozy?"—
—„Bracie Sławoju, złe rady!
Jeżeli zetrzeć chcesz gady,
Na łeb im nastąp i złam,
A ich łeb — tam!"—

W las się rozbiegli w lewo i w prawo,
Tym dzielny Zabój stanął na przodzie, .
Tamtych Sławoja skinienie wiedzie,
Przez gąszcz ku szczytom darli się żwawo.
Pięć słońc na niebie błysło szerokiém,
Splotły się z sobą silne ich ręce,
Oczy ich lisim patrzały wzrokiem
Na wojowniki książęce.

—„Zetrzemy na proch wojsko niewiary,
Od jednéj rany zalegnie pola.
Ej ty Ludieku, parobie stary
Nad parobami twojego króla!
Powiedz twojemu panu wbrew twarzy,
Że wola jego z dymem nie waży!"

Rozje się Ludiek, błyskiem pioruna
Gromadzi wojsko. Na niebie łuna
I słońce w polnym blasku odstrzela
Od zbroic nieprzyjaciela.
Wszyscy gotowi nogą do kroku,
Za broń chwycili ręką u boku.

—„Śpiesz lisim tropem, śpiesz ty, Sławoju!
Ja się wysunę czołem do boju."—

Zabój od czoła chlusnął jak grad,
A Sławój z boku jak gradem spadł.

—„Patrz, patrz bracie, za ich sprawą
Padły bogi, drzewa ścięte,
I krogulce rozpierzchnięte—
Bogi dają zemstę krwawą!"—

Owoż Ludieka porwał gniewu szał,
Z zastępu wrogów k'Zabojowi gnał,
I Zabój skoczył, z oczu iskry kłębem
Ział na Ludieka. Jakby dąb z dębem
Wyrwał się z lasu, tak Zabój przodem
Wyrwał się jeden przed swym narodem.

Ludiek uderzył ostrém żelazem
W tarcz: trzy skóry przeciął razem.
Zabój z toporem ramię wytęża—
Puścił—Ludiek się ciosu uchował...
Topór ciął drzewo—padło na pował—
Ku ojcom poszło trzydzieści męża.

Rozjadł się Ludiek [10]):—„Ty zwierzę!
Ej ty potworo, gadzie!
Stań, mieczem się z tobą zmierzę."—

Zabój ciął mieczem,
I kęs z Ludieka tarczy odkroi.
Ludiek ciął mieczem,
Miecz po skórzanéj zwinął się zbroi.
Palą się obaj: cios mnie, cios tobie,
Od stop do głowy sieką po sobie,
I krew zostawia szerokie ślady,
Krwią opłynęły mężów gromady,
Rzezią zawrzały już strony obie.

Słońce z południa na dół się chyli
Ku zachodowéj krawędzi,
A ci i owi jeszcze walczyli,
Nie ustępując ziemi ni piędzi.

Tutaj bito od Zaboja,
A tam bito od Sławoja:
—„Ej ty wrogu, giń do biésa!
Giń, kto naszą krew wysysa!"—

Zabój się znowu toporu ima,
Ludiek w bok zmyka.
Zabój wywinął—i w górze trzyma
I puszcza na przeciwnika.
Spuścił topór—na połowę
Tarcz pod ciosem się rozskoczy,
A pod ciosem Ludiekowe
Łono we krwi broczy.
Zlękła się dusza ciosu obucha,
I obuch z sobą porwał ducha,
I na pięć sążni wojsko powalił.

Przestrachem wrogów gardziele ryczą,
Wojska Zaboja szumią zdobyczą,
Iskrą radości ich wzrok się palił:
—„Bracie, patrz! za sprawą bogów
Zwyciężamy naszych wrogów!
W prawo huf jeden niech się poniesie,
A jeden hufiec na lewo, w szlaki;
Ze wszystkich łęgów spędzić rumaki,
Niech rżą rumaki po całym lesie."—

—„Ty Zaboju, wdały lwie,
Nie pożałuj wrażéj krwie."—

Zabój tarczę rzucił precz,
W ręce obuch, w drugiéj miecz,
Poprzek drogę sobie ściele,
Poprzek przez nieprzyjaciele.
Byłoż wycie najezdnikom
I ucieczka napastnikom!
Trzas [11]) ich goni z bojowiska,
Strach z gardzieli krzyk wyciska.
Rżą rumaki lasu brzegiem.
—„Daléj na koń! pędem, cwałem

Za najeźdcą, teraz zbiegiem,
Polecimy krajem całym!
Sadzą konie w trop, na pięty—
Wróg poczuje gniew zawzięty!"—

I skoczą hufce na rącze konie,
Trop w trop za wrogiem puszczą pogonie,
Cios w cios, już zemstę wywarli krwawą—
Znikają im równiny,
I lasy, i wyżyny—
Wszystko precz znika w lewo i w prawo.
Huczy strumień wezbrany,
Sadzą w górę bałwany.
Huczy wojsko, skok za skokiem
Najezdnicy brną potokiem—
Dużo ich w nurtach wezbranych tonie;
Swoich nurt niesie ku drugiéj stronie.

Długo, szeroko, jak starczy pole,
Drapieżny jastrząb rozwija
W górze szerokie skrzydeł półkole,
Ptaków gromady rozbija.
Wojsko Zaboja puszcza zagony,
Długo, szeroko, na wszystkie strony;
Kupa najeźdców spędzona, zbita...
Resztę zdeptały kopyta.
W pogoni nocą pod luny okiem,
W pogoni we dnie, gdy jasne słońce,
I znowu nocą ścigają gońce,
Znowu ich rannym ścigają mrokiem.

Huczy strumień wezbrany,
Sadzą w górę bałwany.
Huczą wojacy, i skok za skokiem,
Najezdnicy brną potokiem:
Dużo ich w nurtach wezbranych tonie,
Swoich nurt niesie ku drugiéj stronie.
—„Tam, po sinawe wzgórza
Niech pomsta nasza doburza!"—

—„Zaboju bracie! już niedaleka
Droga—ot góra przed nami,
A garstka mała wrogów ucieka
I ta się kaja ze łzami.
Wracać nazad! moja rada:
Ty tam, a ja tędy!
Co królewskie niech przepada!"—

—Wichry po kraju szumią;
Zwycięzcy po kraju szumią,
Długiemi rzędy w lewo i w prawo
Ciągną się męże z radosną wrzawą:
—„Bracie! czy widzisz owdzie szczyt szary?
Tam, z woli bogów my zwyciężali!
Tam, dusz tysiące lata [12]) w téj chwili,
Z drzewa na drzewo, między konary.
Zwierz się ich boi, boi ród ptaszy,
Jedna się sowa tylko nie straszy.

„Teraz na górę pójdziem, w mogiły [13])
Umarłych grzebać i bogom miły
Pokarm zaniesiem; bogom zbawienia
Damy obiaty i dziękczynienia,
Dla nich pochwalny niech zagrzmi głos,
Dla nich orężów zdobytych stos!"

CZESTMIR I WŁASŁAW.

Treścią téj pieśni jest zdarzenie, które Kozmas, Dalimil i Hajek w jednozgodny prawie podają sposób; różnica między nim a pieśnią zachodzi tylko w nazwach i w niektórych okolicznościach inaczéj w pieśni oddanych. Zobaczmy skróconą powieść dziejopisarza Kozmy.

Za czasów księcia Neklana odbyła się walna bitwa na polach Turska, między Czechami a Łuczanami, których księciem był Właścisław, człowiek ile mężny, tyle zły i przewrotny.

Nadęty szczęściem z wielu nad sąsiadami odniesionych zwycięztw, umyślił podbić całą czeską krainę. W tym celu obsyła swój miecz po ziemiach z rozkazem, że ktokolwiek go wzrostem przewyższa, ma się zaciągać pod chorągwie wyprawy, lub ginąć od miecza. Zbierają się liczne tłumy, Właścisław ma do nich przemowę, w któréj miasto oręży, każe im brać sokoły, jastrzębie, białozory, aby nimi rozszarpać wrogów, i odgraża się, że żonom nieprzyjaciół szczenięta do piersi poprzykłada. (Pomorzańska kronika podaje coś podobnego o kawalerach teutońskich, karmiących psy swoje piersiami kobiet. Bolesław Śmiały po wyprawie kijowskiéj toż samo niewiernym żonom uczynić kazał). Wtenczas to jakaś macocha, widząc swego pasierba śpieszącego na wojnę, uczy go, jakim sposobem ma sobie życie ocalić, a to jest, aby odciąwszy oboje uszu nieprzyjacielowi, którego zabije, schował je do worka, a potém mieczem krzyż pod nogami konia zakreślił i czémprędzéj z placu umykał.

Czechowie ze swojéj strony nadzwyczajnie lękali się spotkania; tym końcem przywołują czarownicę, która im radzi osiełka posiekać na sztuki, i nim wojsko obdzielić. Co gdy uczynili, nadzwyczajném rozpłynęli męztwem.

Wtenczas książę Neklan, bojaźliwszy od zająca (lepore pavidior), zmyślił chorobę; przywołał do siebie dzielnego wodza, młodzieńca Tyro'na, i dał mu do przywdziania swą własną zbroję, aby zakapturzył się i wraz na nieprzyjaciela uderzył. Oba wojska stają przeciw sobie. Właścisław każe wypuścić na nich chmury drapieżnego ptactwa, co widząc Tyro, stojący na wzgórku, zawołał: „Jeżeli mi przyjdzie poledz w téj bitwie, wystawcie mi na tym pagórku pomnik sławny po wszystkie czasy!"(*). Rozpoczyna

---

*) Kozmas powiada: „Unde et hodie nominatur militis acerimi bustum Tyri." Rzecz szczególniejsza! ztąd może udałoby się wyprowadzić nazwę: bohater, od owego spółbożonego Tyra, zwłaszcza że imię jego przeszło w przysłowie, jako widać z dwuwiersza Dalimila: „Gestiet Hirka wspominogi, ne czyn sie Hirkem rzikogi," co znaczy: Jeżeli cię nazwano ścierką, nie czyń się Hyrkonem. Dobner powiada, że widział na polach Turska kawał skały, z któréj miano zrobić posąg Tyra.

się walka Łuczanie wszyscy niewidzialną zamordowani siłą, oprócz jednego, który ocalał radą macochy, lecz powróciwszy do domu, znalazł tam żonę własną zabitą i bez uszu, czego sam był sprawcą (*).

Z tego widać, że dziejopisarz czerpać musiał podanie swoje z powieści poetycznie obrobionéj, i że w jednym i tym samym przedmiocie wiele podobnych wychodziło utworów; wszystkie jednakże i z głównego pomysłu, i ze sposobu prowadzenia rzeczy, jakże daleko są niższe od następnéj w zbiorze Królodworskim! Właścisław i Tyro prawią u Kozmy długie mowy, w których przebija się czytanie rzymskich klassyków, a szczególniéj Saulstyusza; są to bez wątpienia dodatki kronikarza, albo też przeinaczenie źródła dla popisania się z uczonością swoją. Zdaniem professora Svobody powieść ta należeć musiała do rzędu tych, co obiegały w uściech stronnictwa nieprzyjaznego domowi książęcemu, jednakże nic nie wspomina o uwięzieniu Wojmira i upadku Kruwoja.

Epokę zdarzenia odnosi Hajek do r. 869, czego niepodobna ani zupełnie przyjąć, ani wprost odrzucić. Syn Neklana był Hostywił, ów ojciec Borzywoja, który podług Kozmy był ochrzczony r. 894 przez Metodyusza i pierwszy użyczył książęcéj opieki świeżo krzewiącéj się wierze chrześciańskiéj. Rzecz godna zastanowienia, że Kozmas tylko Prażan nazywa Czechami, co jak się zdaje, służyło tylko panującemu plemieniu.

Właścisław panował Łuczanom, późniéj od miasta Zatecz zwanym Zateczanami. Do niego miały należeć: kraina nad strumieniem Gutna, nad rzeką Uzka (Aussik), nad zawrotami potoku Brocznika, nad Misą, czyli kraina leśna, a pośrodku wszystkich Łuka, piękna okolica, dająca miano całemu jego księztwu (**).

(*) Kozma tak powieść swoją zamyka: „Et quoniam haec antiquis referuntur evenisse temporibus, utrum sint facta an ficta, lectoris judicio relinquimus." W tém miejscu ficta zdaje się do źródeł poetyckich odnosić, z których niezawodnie czerpać musiał.

(**) Nie masz zgody co do nazwy tych rzek. Zdaje się, że panowanie Właścisława rozciągało się wzdłuż górzystych granic Frankonii, od Elby do źródeł Beranny. Chron. et Mémoires, T. IV., par Jean Potocki.

Między Przypekiem a Medwieżem na Paszkapolu, w blizkości zamku Skałka, miał Właścisław od swego imienia założyć miasto (może dzisiejsza wieś Watisław na tém miejscu stoi). Tam o dzień jazdy od Pragi, mówi professor Meinert, należałoby szukać zamku Kruwoja, a na Donersbergu (Hromolenie) mógł Wojmir swoją ofiarę palić, bitwa zaś sama odbyła się w okolicy Teplic. Trudno oznaczyć miejsce, na którém stał zamek Kruwoja. Plac bitwy (mówi professor Svoboda) myślałbym posunąć aż do granic Rakownickiego obwodu, w pobliżu tak nazwanych Jatek, albo też w kierunku Postelbergu, gdzie szczególniejszego kształtu kula, podobna bilińskiéj skale, mogła Wojmirowi za ołtarz ofiarny służyć.

Niemało także uderza w następnéj pieśni skrócenie nazwy obu bohaterów, a tém samém i niezgodność z historyczném podaniem. U Kozmy i innych kronikarzy wyraźnie stoi Włastisław, u nas zaś Właslaw. Tyro, Sztyr, Hyrkon przemieniony tu na Czmir, i tylko w jednym wierszu pierwotworu położono całkiem Czestmir. Skrócenie takie dowolne mogło dać powód do podobnéj niezgodności w pisaniu imion.

Neklan na wojnę wydał rozkazy
Wydał kniażemi wyrazy
Na wojnę z Właslawem.
Powstał na wojnę hufiec gotowy
Powstał książęcemi słowy
Na wojnę z Właslawem.
Chełpił się książę Właslaw bez miary
Z wygranéj bitwy z Neklanem,
Przesławnym panem,
Że puścił miecz i pożary,
W kraj Neklanowi hołdowny.

Tak Właslaw prawił
I tak Neklana niesławił
Mieczami dwóch wojen warowny:

—„Czestmirze, prowadź zbory do boju!
Nadęty Własław nie da spokoju,
On nam urąga i łaje —"

Cieszy się Czestmir, cieszy się, wstaje
I bierze tarczę ogromną, czarną,
Z dwoma zębami [14]) młot wziął do tarczy
I hełm, co twardym ciosom wystarczy,
I dań ofiarną
Bogom pod drzewa podłoży [15]).
Czestmir zbrojnym mężom wydał już hasło,
Lecą do szyku mężowie skorzy,
Ciągną przed słońcem w porannym mroku,
Ciągną dzień cały, aż słońce zgasło,
Ciągną gdzie wzgórek mieli na oku.
Buchają dymy
Kłębem nad włości,
W włościach słyszymy
Jęki żałości.

—„Kto wasze spalił siedliska?
Kto wam płacze wyciska?
Kto? Własław! Ostatni to raz
Napada i pali was!
Z mieczem zemsty i zagładą
Wojownicy moi jadą."—

I do Czestmira, do wojewody,
Lud wołał:—„Kruwoj! Kruwoj! szkarada
Porozpędzał nasze stada,
W sioła nam zaniósł pożary i szkody.
Wszystką, co życiu służy, chudobę
Zniszczył przez swoją krutość i złobę,
A wojewodę wziął nam w niewolę."—

Więc na Kruwoja Czestmir się zżyma,
Aż ogień złoty pierś mu rozdyma,
Przez wszystkie członki złoba przekole.
— „Woje! rzekł, jutro w porannéj dobie
Wybuchniem grozą, nic nas nie wstrzyma;

Teraz po trudzie spocznijmy sobie."—
Stoją góry z prawicy,
Stoją góry z lewicy.
Słońce ich szczyty kończate
Ubiera w promienną szatę,
I przez góry tamtędy,
I przez góry owędy
Wojnę nieśli wojownicy.

Dalejże naprzód, gdzie skalny gród!
Na grodzie Kruwoj okuł w okowy
Wodza Wojmira wraz z córą ładą,
W gęstwi lasu wziętych zdradą,
Wziętych tam pod skałą śniadą.
Kędy Neklana bezcześcił głowy.

Kruwoj przysięgę dał przeciw zdradzie,
Dłoń Neklanowi na wierność kładzie,
Czemuż te usta, te same ręce
Niosły pożogę w kraje książęce?
Daléj na górę wprzód!
Zdobywać gród!

I hufce wojnów chrobrość pożera,
Cisną się pod grodu mury
Na jedno słowo Czestmira,
Jak mgliste chmury.
Już tarczę z tarczą zbili od przodu [16]),
Wsparci na kopiach owi co w tyle,
Wleźli na poprzek składane dyle,
I wyżéj jeszcze niźli drzew końce,
Siekli mieczami o pierś warowni;
Ścina się główna przeciwko głowni,
Odpór im dają zamku obrońce.

Zagrzmiał na zamku Kruwoja ryk;
Kruwoj zaryczał jak byk;
Rykiem dodawał swoim odwagi,
Miecz jego padał na męże z Pragi:
Podobnie drzewo, waląc się z góry,
Dużo na pował dębów położy.

Ależ się wojsko Neklana mnoży
I tłumnie bije o zamku mury.

Czmir każe z tyłu dobywać grodu,
Czmir każe wały przeskoczyć z przodu.
Owoż gdzie drzewa rosną pod skałą,
Z tych drzew potężny grodziec ugrodzą;
Teraz niech kłody walą się śmiało,
Nic wojowników głowom nie szkodzą.
Już przedni szereg krzepko się trzyma,
Chłop z chłopem zrósł się, plecy z plecyma,
Na barki poprzek dyle pokładną,
Podłuż silnemi stwierdzą węzłami,
Podstawią włócznie, podeprą sami,
Męże na drzewa wyskoczą snadno,
Każdy na ramię wziął oszczep długi,
A każdy oszczep węzłami zwarty,
I szereg trzeci wskoczył na drugi.
Znowu na trzeci wyskoczył czwarty,
A piąty szczytów zamku dosięże,
Zkąd miecz ognisty,
Zkąd grotów świsty,
Zkąd kłody lecą na męże.

Wpadli Prażanie potoku siłą,
Schłonęli wszystko, co w grodzie było.
—„Wyjdź, wyjdź Wojmirze z prześliczną córą,
Rzuć w błogim ranku wieżę ponurą;
Wprost tam na skale ujrzą twe oczy,
Jak krwią Kruwoja topór się zbroczy!"—

I wyszedł Wojmir w prześliczne rano,
Z smukło-kibitną córą kochaną,
I krew Kruwoja widzi rozlaną.
Czestmir ludowi łupy odsyła,
Z łupami wraca dziewica miła.

Wojmir chce bogom nieść dań w pokorze,
W tém samém miejscu, w téj słońca porze.
—W górę! rzekł Czestmir: w górę Wojmirze!

Zwycięztwo kroki niech schwycą chyże;
Nuż za Własławem! Później dasz modły!
Od Bogów padnie ten Własław podły.
Bo kiedy słońce w południe wbiegnie,
Już tam z naszymi wojami staniem,
Gdzie się zwycięzki okrzyk rozlegnie.
Bierz miecz po wrogu, i dalej za nim!"—

Cieszy się Wojmir duszą radośną,
Huknął po lesie z wierzchołka skały,
Ku bogom huknął piersią donośną,
Aż w gęstym lesie drzewa zadrżały:
—„Bogi! przebaczcie, że dziś nie palę
Obiatnéj dani ku waszéj chwale!"—
Czmir na to:—„Bogom dań się należy;
Nam do pogoni, nam spiać na wrogi!
Dosiądź rumaka, niech wiatronogi
Skokiem jelenia knieje przebieży.
Jest tam w dąbrowie skała u drogi,
Bogów siedziba [17]); ty na jéj szczycie
Hojną obiatą uraczysz bogi [18])
Za wybawienie, za życie,
Za zwycięztwo, co za nami,
Za zwycięztwo, co przed nami.
Nim kto spostrzegnie,
Jak słońce wbiegnie
Na gród niebieski, wysoki —
Staniesz u drogi końca;
A nim dwa kroki
Zrobi krąg słońca,
Nim trzecim krokiem stanie nad borem—
Już tam dobiegnę z mym hufcem skorym,
Kędy w ofierze
Rozniecisz do nieba dymy—
Tam ciągnąc, czoło schylimy,
I ja, i moi żołnierze."

Wojmir na rączym sadzi rumaku,
Przez lasy sunie skokiem jelenia,

Aż gdzie w dąbrowie skała przy szlaku,
Na szczycie skały bogom zbawienia
Za zwycięztwo, co przed sobą,
Za zwycięztwo, co za sobą,
Wzniecił obiatne ogniska.
Hożą jałówkę pobił w ofierze;
Sierścią czerwoną cała połyska.
Jałówkę kupnem dali pasterze
Z doliny, bujném usłanéj błoniem;
Dał za nią konia i uzdę z koniem.

Stosy się palą,
Wojowie walą,
Walą niziną i w górę potém,
Dążą k'dąbrowie z wrzawą, łoskotem,
Mąż za mężem
W ręku z orężem.
Mąż w męża każdy co tam przechodził
Bogom pochwalne pienia rozwodził,
A kiedy mijał obiatne stosy,
Brzmiał w niebogłosy,
Lecz oto tylne nadbiegły straże,
Wojmir rączego konia dopada,
Najtłustsze udźce i połcie wkłada
Na sześciu jeźdźców i wieźć im każe.

W kierunku słońca idą Prażanie,
Idą, aż słońce w południe stanie.
Tam, gdzie się równe pole rozwleka,
Już na niém Własław z mężami czeka.
Od lasu po las,
Wojsko jego sięga.
Większe pięćkroć raz,
Niż Prażan potęga;
Jak chmura szumem gada,
I psów tam szczeka gromada.

—„Ciężko podołać wrogom w téj sprawie;
Kij nie podoła srogiéj buławie"—

Tak Wojmir mówił, a Czmir powiada:
—„Mądrze tę mowę czynić w skrytości,
Mądrzéj na wszystko być w gotowości.
Czemuż na skale łbem nikt nie wskóra,
A lis oszuka jarego tura?
Nas tu na górze wnet Własław zoczy;
Daléj w dół! wojsko górę okroczy,
I będzie z tyłu, kto był na przodzie.
Obłożym górę w wstecznym pochodzie.” —

Tak zrobił Wojmir, tak się Czmir bierze.
Przeciąga wojsko w krąg góry dołem,
Dziewięćkroć razy obeszli kołem,
Więc się rozmnożą przed okiem wroga,
Więc się rozmnoży u wrogów trwoga,
Aż w końcu zaszli w krzaki i laski,
A wrogom lśniły ich broni blaski.

Już góra cała
Blaskiem pałała.
Nagle swój hufiec Czestmir wyruszy;
Hufiec na cztery dzielił się rzędy;
Z nimi Trzas leci z borowéj głuszy,
I trzas po wrogach rozszedł się wszędy.
W tył skroś od lasu strach bił do duszy,
I wrogi pierzchły tędy, owędy.

Wojmir ich gromi chrobrą prawicą,
Wyjście z doliny zaskoczył w tyle,
I z boku stanął Własława sile.
Ryk poszedł lasem i okolicą,
Jakby z górami starły się góry,
A drzewa poszły na wióry.

Wyskoczył Własław wprost na Czestmira,
Już na Własława Czestmir naciéra,
Sieką a sieką, wre bójka krwawa
Czestmir na ziemię zwalił Własława.

Strasznie się Własław po ziemi tarza,
Powstać nie może plecmi, ni bokiem,

Morena w czarną noc go umarza,
I krew Własława tryska potokiem,
Aż przez murawę do ziemi ściekła,
Dusza się z jękiem gębą wywlekła,
Z drzewa na drzewo lotem pomyka,
Pokąd nie spłonie trup nieboszczyka [19]).

Trwoga Własława mężów ozionie,
Uchodzą w górę k'przeciwnéj stronie,
Przed wzrokiem Czmira uchodzą skrycie —
On ich wodzowi odjął już życie.

Słyszą zwycięztwo głośne
Neklana uszy radośne,
I stos bogatéj zdobyczy
Neklanowe oko liczy.

JAROSŁAW.

Pieśń ta już co do dziejowéj treści, już co do poetycznego kształtu, późniejszych czasów nosi na sobie cechę, a nawet śmiem twierdzić, że jednoczesna lub mało co wcześniejsza będzie od rękopisu znalezionego w Królowym Dworze. W układzie widać też więcéj sztuki; ton epopei lepiéj zachowany, wieszcz rozszerza zakres swojego widzenia, posuwa się z potokiem hord barbarzyńskich, stan opłakany sąsiednich ludów maluje. Całość silną związał jednością, scenę na wstępie i na końcu wywiódł na ojczystéj ziemi, wywiódł bohatera ze swego narodu, zwycięzcę niezmiernéj potęgi, grożącéj upadkiem całemu chrześciańskiemu światu.

Na Szlązku obiegała powieść gminna, że zhańbienie jakiéjś mongolskiéj księżniczki obudziło zemstę ojca jéj chana, który przedsięwziął wyprawę na chrześcian zachodniéj ziemi. Podobne podanie, mówi Horky (Hormayr's

Archiv 1818 Nr. 31 i w jego Taschenbuchu z r. 1821) utrzymuje się w Morawii na Majdenburgu przy Nikolsburgu. Roztropnemu tych wieków badaczowi, powieść ta niepodobną do wiary się zdaje, skoro przyczyna napływu hord mongolskich dostatecznie z biegu dziejowych zdarzeń wyjaśnia się; zawsze przecięż takie podanie nie jest bez ceny, bo dowodzi, jaki duch poetycki krąży między ludem, gdy wypadki wstrząsające losami narodów z serca tych, co je zrządzili, wysnuwa.

Poeta wzywa do uwagi słuchaczów, cieszy się błogosławieństwem kwitnącém w kraju pod opieką pokoju. Aż oto burza się wznosi na wschodzie, chan tatarski szuka zemsty za córkę swoją, którą gdzieś Niemcy dla skarbów zabili. Panowie zachodni drogę zastępują chanowi Kijów Nowogród poddaje się jarzmu najeźdźców. Węgrowie także ulegli. Ucisk a nędza rośnie, jeszcze dwie bitwy stracone, hordy pod Ołomuńcem stają. Po dwudziennéj utarczce mała garstka chrześcian przebija się pod wodzem Wniesławem do pagórka Hostajnów, gdzie obraz Bogarodzicy cudami słynie. Tam w nocy okopawszy górę, w dniu następnym odpierają oblegających, przy czém Wniesław ginie. Nazajutrz nieprzyjaciel przestaje nacierać, a chrześcianie padają z wielkiego upału i pragnienia. Westoń w rozpaczy namawia swoich do poddania się, Wracisław karci go, wstrzymuje, obudza ufność, w boju i modlitwie każe szukać ocalenia. Niebo wysłuchało ich próśb gorących, niespodziana ulewa napełnia źródło wody żywéj na górze, a pioruny padają w namioty pogan. Tymczasem posiłki nadciągają pod Ołomuniec, rozpoczyna się walka na nowo, z początku mniéj dla chrześcian pomyślna, lecz Jarosław jako orzeł spada, zwodzi walkę z nieprzyjacielskim wodzem, zabija go, uciekają hordy, — i Hana oswobodzona.

Poeta nazywa tatarskiego chana Kublajem. Syn jego przewodniczy wyprawie, mszcząc się śmierci swéj siostry. Ztąd wykazuje się, że ta powieść między 1259 a 1294 rokiem złożona była, około którego to czasu, wnuk Dżengischana, tegoż imienia, a syn Tuli, po swoim bracie

Mandszu nastąpił i dokonał podbicia chińskiego państwa, jako założyciel dynastyi Juen.

Dla zrozumienia dziejowego toku niniejszéj powieści, nie od rzeczy będzie tu zrobić mały wzgląd na dzieje ówczesne. Pominąwszy spadanie jednych, a wznoszenie się drugich dynastyj w Chinach, zacznę od tego, jak jakiś chodża (mędrzec) chanom na Kurultaj (wiece, sejm) zgromadzonym, obwieścił, „że Bóg wybrał Temudżina na chana chanów, na Dżengischana." Odtąd rozlał się on jak potok niszczący po całéj Azyi; północne Chiny, Persya i wszystkie kraje między Czarném a Kaspijskiém morzem hołdowały mu. Umarł w obozie, wyprawując się na Nudszów, na równinie Tonkatu r. 1227.

Otkaj, najmężniejszy z jego synów, jako chan najstarszy i udzielny władca Mongolii, posunął daléj jeszcze zdobycze swoje. Pod jego panowanie przypada zdarzenie zaszłe w naszéj pieśni.

Dżagatej, inny syn Dżengischana, otrzymał prowincye na wschód Kaspijskiego morza, a Tuli południowe zdobycze, jako to: Korassan, Persyę i Indyę. Najstarszy zaś z jego synów, Czudszi, umarł rokiem przed śmiercią ojcowską; zostawił syna Batu, który posiadł ziemie na zachód Kaspijskiego morza.

Pięćkroć sto tysięcy zbrojnych Mongołów i Tatarów przewaliło się przez Wołgę pod dowództwem Batego, Manku i Peta, albo Badaira, siostrzanów Otkaja, i uderzyło na Połowców. Rusini przybiegli Połowcom w pomoc, ale zbił ich Batu nad rzekę Kułką, wpływającą w morze Azowskie. Nasza pieśń wspomina o téj pierwszéj porażce od 61—84 wiersza.

Nie przestał na tém zwycięzca: posunął się pod Nowogród, późniéj r. 1239 nawiedził Kijów. Moskiewscy carowie nie mogli im podołać, zajęci będąc wojną z Kawalerami Mieczowymi; nakoniec Aleksander Jarosławicz Newski wszedł z nimi w układy, i uznał się ich hołdownikiem.

Hordy zwróciły się ku Polsce (zobacz 111 wiersz następnéj treści). Stoczona krwawa bitwa pod Siedlem. Uszedł Bolesław Wstydliwy. Zwycięzcy podzielili się na dwa tłu-

my: jeden pod Batym poniósł się na Węgry, drugi pod Badairem na Szlązk.

W Węgrzech panowały domowe rozterki, grożące krajowi upadkiem. Bela, chcący się opierać najazdowi, mało znalazł wsparcia od własnych; palatyn, z niewystarczającemi siłami pobity, leciał dniem i nocą, aby doniósł królowi o klęsce. Opis téj bitwy zaczyna się od 97 — 103 wiersza. Już się rozlały ćmy Mongołów w okolicach Pesztu. Bela ze znacznemi siłami znowu na nich uderza. Na błoniu Mohi, nad rzeką Sają, przyszło do spotkania. Wszystko stracone. Król w miastach portowych Adryatyckiego morza szuka ochrony w chwili, gdy barbarzyńce wszystko mieczem i ogniem niszczą.

Już Kraków był obrócony w perzynę, kiedy chrześciańskie wojska zbierały się koło mężnego Henryka, księcia na Lignicy, syna Brodatego Henryka i Św. Jadwigi. I Wrocław został pastwą płomieni. Przyszło do bitwy. Krzyżowcy, Polacy, Szlązanie, podzieleni na pięć hufców pod pięciu wodzami, walczyli z męztwem; nieporozumienie jednak Polaków, którzy wołali: „Zabijajcie!" gdy wzięto za okrzyk: „Zbiegajcie!" zrządziło zupełną przegraną, gdzie i sam Henryk głowę położył. Wiersz 112 zdaje się wzmiankować o téj bitwie, zwłaszcza gdy Szlązk z Polską za jedno brano.

Niezmierna trwoga padła na chrześciańskie państwa. Zwycięztwami ukrzepiony nieprzyjaciel pędził przed sobą tłumy wojsk popłoszonych. Papież Grzegorz IX i cesarz Fryderyk II zostawiali w otwartym sporze. Nigdzie zgody i jedności, a wszędzie postrach i rozpacz.

Jeden tylko dzielny Wacław I król czeski, uzbrajał się przeciw ostatecznéj zgubie; przeprawy w górach Olbrzymich zawalono zasiekami, umocniono zamki i klasztory, ze wszech ziem zaciągnięto obrońców wiary pod chorągwie Wacława, który pod Glacem oczekiwał spotkania. Na widok wojsk, mających się ku odporowi, zwrócili się barbarzyńcy na Ołomuniec, wioząc na kopiach zatkniętą głowę Henryka i innych pomordowanych panów. Wtedy Jarosław pośpiesza do zagrożonéj Morawy, z 12,000 zamyka

się w Ołomuńcu, podźwignąwszy na poważ upadłe warownie; dzielnie stoi na broni po kilkakroć ponawianym szturmie nieprzyjaciół. W okolicach na Hostajnowie, jak to z pieśni widać, zacięty odpór stawiono, lecz przyległy klasztor Hradziszcze był zdobyty, załoga zagrzebała się w płomieniach, a Premonstrantanie w pień wycięci. Pozorna nieczynność Czechów, ukrywająca zamiar ich wodza, który czyhał na sposobną porę, aby zadać stanowczy cios, zdała się srogiemu Badairowi być naturalnym skutkiem bojaźni; pogardził więc przeciwnikami, a tém samém stał się mniéj ostrożnym i czujnym.

Taka ufność nieprzyjaciela stanowiła całą Jarosława pomyślność. Wojsko jego posiłkami wzmocnione, i zapał w mężach, widokiem pomordowanych braci, pól spustoszonych, do najwyższego posunięty stopnia. W nocy przed 24 czerwca 1245 roku wezwał Jarosław swoich na modlitwę; przed świtem, ukrzepiwszy duchy mocą wiary, wpadł na uśpione nieprzyjaciół obozy. Podług Dubrawskiego biskupa Ołomunieckiego, Jarosław zabił wodza Mongołów, nie wiedząc nawet kogo położył, lecz gdy wschodzące słońce oświeciło ich straże, pierzchnęli całym taborem, a jako Karol Martel pod Tours wybawił Europę od islamizmu, podobnie Jarosław pod Ołomuńcem złamał potęgę Tatarów.

Między morawskim gminem krążą różne jeszcze podania o bohaterskich czynach z owego wieku grozy, którego pamięć w niektórych dotąd przechowanych zwyczajach utrzymuje się. I tak: w Szternbergu, koło Zielonych Świątek pieką ciasto w kształcie rąk, uszu i innych członków, a to ku przypomnieniu, że dzikie hordy obcinały chrześcianom ręce i uszy na znak zwycięztwa.

Na wzgórku Hostajnów długo widziano szczątki okopów, dowód, że poeta nie zmyślone obrazy, nie utwór fantazyi, tylko zdarzenie z rzeczywistości wzięte opiewał.

Zwiastuję powieść z przesławnych czasów,
Pełną bitw wielkich, krwawych zapasów.
Zważcie i um wasz zestrzelcie cały [20]),
I słuchy skłońcie na dziw niemały!

Gdzie Ołomuniec rej wodzi grodom,
Jest mały wzgórek w owéj ziemicy,
Hostajnów [21]) zwany, szeroko słynie
Cudotworami Bogarodzicy.

Długo mir gościł w naszéj dziedzinie,
Długo dobytek kwitnął narodom,
Aż od ziem wschodnich wzbiły się burze
W zemście, za córę Tatarów chana [22]),
Którą gdzieś zabił miecz chrześciana,
Za klejnot, złoto, za perły duże.

Córka Kublaja z *luny* urokiem [23])
Słyszy, że dziwne zachodnie kraje,
I że w tych krajach luda natłokiem.
Ona chce poznać cudze zwyczaje;
Dziesiątek jeńców skoczy na nogi,
I dwie dziewice [24]) orszak do drogi.
Czego potrzeba siła nabiorą,
I wszyscy na koń dosiędą skoro,
I wszyscy lecą, gdzie słońce leci.

A jako zorze w pojutrze świeci,
Gdy nad szum mrocznych wynijdzie borów,
Tak Kublajewna pełnią kolorów,
Urodą świeci i wdziękiem stroju,
W złotogłów postać do stop obwija,
Odkryte tylko piersi i szyja,
W klejnotów, pereł drogim zawoju.

Dziwią się Niemce jéj licom cudnym,
Zajrzą jéj skarbu, a skarb bogaty,
Obsiędą ścieżki, obstawią czaty,
Aż ją oskoczą w lesie bezludnym,
Zabiją, złupią skarby i szaty.

Słyszy to Kublaj, chan nad Tatary,
Słyszy o córce i ledwo wierzy;
Z państw swoich zbiera wojsko bez miary,
I z wojskiem biegnie, gdzie słońce bieży.

Słyszą to króle, pany zachodnie,
Że chan ich ziemie najdzie dziedziczne.
Wnet jeden z drugim łączy się zgodnie,
I zbiorą wojsko wielkie, prześliczne,
W pole wywiodą, staną równiną,
Czekają chana z jego drużyną.

Kublaj przywołał swoich guślarzy [25]),
Czarnoksiężników, wróżków, gwiazdarzy,
Każe im wróżyć, niechaj odgadną,
Jakie z téj wojny skutki wypadną.
Zewsząd się zbiegną owi guślarze,
Czarnoksiężnicy, wróżki, gwiazdarze,
Na dwie się stronie z koła rozgarną,
I podłuż laskę położą czarną,
I laskę kolą na dwie połowy:
Jedna się poła Kublajem zowie,
Druga połowa znaczy: królowie;
I zaśpiewali staremi słowy...
Wstaje do bójki każda połowa,
I zwyciężyła część Kublajowa.
Cieszy się naród w mnóztwie ochoczy,
Ku swoim rączym koniom poskoczy.
I wojsko w długich szeregach stanie.

Nie poszli nawet w radę chrześcianie,
Bez umu wpadli na pogan tłumy,
Jak ufni w siłę, tak pełni dumy.
Stłoczą się pierwszym bojem gromady,
Jak z chmur ulewa biją strzał grady,
Jak gruchot gromu włócznie gruchocą,
Jak ogień burzy szable migocą.
Z obu stron jara i bujna siła,
I tym, i tamtym przodku broniła.

Chrześcian przewagą Tatar ścigany;
Już nad nim górę brały chrześciany,
Lecz przyszli znowu czarnoksiężniki,
Przynieśli w rękach rozkłóte tyki.
Tatarzyn wielce ogniem rozpłonął,
Na chrześciany luto wyzionął.
Pędzi przed sobą—gnębi, uderza,
Aż się rozpierzchły jak dzikie zwierza.
Tutaj szczyt leży, hełm ugrzązł w ziemię,
Koń wojewodę wlecze za strzemię,
Tu ów samopas rwie się na wroga,
Ów miłosierdzia woła przez Boga.

Tak się w potęgę wzmogły Tatary,
Na chrześcian ciężkie haracze kładną,
Dwa wielkie chrześcian państwa owładną:
Wielki Nowogród i Kijów stary.

Wnet się po ziemiach trwoga rozniosła,
W włościach się zbiera lud do wyprawy.
Siła ich w cztery wojska urosła;
Pojdą z Tatary na taniec krwawy.

Tatarzyn w prawo zwrócił zagony,
Jak gradem grozi chmura wśród tuczy,
Sunąć na pola, na bujne plony,
Tak rój Tatarów w oddali huczy.

W mgnieniu Węgrowie hufczą się w sotnie,
W mgnieniu na miecze wre bój wzajemny.
Daremnie chrobrzy idą ochotnie,
Chrobrość daremna, opór daremny.
Tatarzy w środek hufców uderzą,
I rozproszona Węgrów gromada.
Ziemię na okół zniszczą, złupieżą.

Chrześcianin nie ma nadziei cienia;
Biadaż po kraju, najcięższa biada!
Modli się Bogu, przed Bogiem pada,
Od rąk tatarskich żebrze zbawienia:
—„Wstań gospodynie [26]), wstań gniewem zbrojny,

Zbaw nas od wrogów, zbaw nas od wojny!
Oni nam duszę na zgubę wiodą,
Gonią jak wilcy za owiec trzodą".

Stracona jedna i druga bitwy,
Tatarzyn w Polsce pan, gospodarzy.
Bliżéj i bliżéj puszcza gonitwy,
Pod Ołomuńcem już są Tatarzy.
Nędzą porosła cała kraina.

Walczą dzień jeden, i w drugiéj dobie
Zwycięztwo w równi na strony obie.
Patrz, rój hordyńców rośnie w przestrzenia
Tak ćma wieczorna rośnie w jesieni.
Tam, wśród rozjadłéj rzezią nawały,
Hyba się na wskroś huf naszych mały.
Czyż im ku chełmku przedrzeć się uda,
Gdzie Matka Boża słynie przez cuda?

Grzmi Wniesław: „W górę, nuż w górę, wiara!"
O szczyt srebrzysty mieczem zaszczęka,
W górę z chorągwią wybiegła ręka.
Palą się męże, gdzie wrogów chmara,
Wpadną w szyk jeden gęsty, ściśnieni,
Buchną, jak ziemi łuna płomieni,
Ku chełmku tną się wciąż od Tatara,
Na wierzch wstecznemi kroki podnidą,
Szereg rozwiną w dół od wierzchołku,
W klin ostrogranny staną od dołu,
Szczyt się ze szczytem jak murem skleci.
Przez ramię bystrą zastawiał dzidą
Pierwszego drugi, drugiego trzeci.
Z góry strzał mroka na pogan leci:
Wtém dzień zagasnął, a potok mroku
Poszedł po ziemi i po obłoku,
I żądzą mordu wzrok rozogniony
Zgasił i dla téj, i dla téj strony.
W gęstéj ciemnicy kopią chrześcianie,
Aż wał i okop w krąg góry stanie.

Świta na wschodzie jutrzenne zorze,
Dźwigną się wrogi w całym taborze.
Tabór był straszny, kołem zawinął,
I w niedojrzanéj przestrzeni ginął.

Na rączych koniach jeźdźce w okrzykach
Głowy chrześciańskie wiozą na pikach,
Wiozą wysoko, gdzie chan w namiocie.

Tam w jedną siłę zhufczą się krocie.
Ku stronie jednéj zmierzyła tłuszcza,
Aż pod sam chełmek napaści puszcza,
Przestrasznie wyją, a rykiem grozy
Rozlegały się góry, wąwozy.

Chrześcianie zewsząd naspy obsiedli
Chrobrzy pod Matki Bożéj opieką.
Obłęczne łuki rączo nawiedli,
Gęsto mieczami raz po raz sieką;
I rój Tatarów został odparty.

W on czas się hordy gniewem rozjuszą,
Miota przeklony ich chan rozżarty,
Trzema prądami tabór się dzieli,
Trzema prądami ku chełmu ruszą.
Wtém drzew dwadzieścia chrześcianie ścięli
Wszystkie dwadzieścia, które tam stały,
I wielkie kłody wtoczą na wały.
Znowu na okop leciał w zawody,
I już się imał rozrywać szaniec.
Z wałów ogromne zepchnięto kłody,
Gniotą Tatarów, niby padalce,
Jeszcze daleko na równi gniotą.
Długo się w krutéj łamali walce,
Pokąd nie zeszli z nocną ciemnotą.
Przebóg! on Wniesław, sławny jak mało,
Upadł z okopu zabity strzałą!

Tęskna żałoba za serca chwyta,
Skwierne pragnienie suszy jelita,
I rosę z trawy pił język suchy.

Ciszę wieczoru wiatr nocny chłodzi,
Po nocy szara jutrznia nadchodzi;
Tatarski tabór spoczywał głuchy.

Dzień w południowe rozpłonął skwary,
Nasi bez wody lecą na mary,
Sprażone usta resztę tchu zieją;
Ku Mate Bożéj chrapliwie pieją,
K'niéj podnosili omdlałe wzroki,
Żałobne z jękiem łamali ręce,
Od ziemie tęskno patrząc w obłoki.

—„Nie możem wytrwać w pragnienia męce,
Nie możem walczyć, pragnienie pali;
Kto chce żywota, kto zdrowie waży,
Zdrowie mu, żywot wrócą Tatarzy!"
I ci, i owi tak rozprawiali:
—„Wolę śmierć z miecza, niż śmierć nikczemną!
Westoń [24]) zawołał:—„Choć bez swobody
Wodę mieć będziem—kto myśli, zemną!
Za mną, hej za mną, kto pragnie wody!"

Wratysław skoczył jako tur jary [25]);
Westonia chwycił w przesilne bary:
—„Zdrajco! ty wieczna chrześcian ohydo,
Zwiodłeś, a męże na zgubę idą!
Od Boga litość idzie w złéj doli,
A nie w tatarskiéj litość niewoli.
Stójcie! o bracia, do zguby skorzy;
Przeszła najlutsza upałów chwila;
Ogniem południa Bóg nas posila,
Bóg ufającym pomoc otworzy.
Wstyd, męże, rzeczy bezcześne prawić!
Z bohaterami wamże się stawić?
Jeśli spragnieni zbędziem żywoty,
Śmierć z woli Boga będzie śmierć cnoty;
A jeśli wrogom poddamy szyje,
Śmierć samobójcza wszystkich wybije.
Jarzmo niewoli Bogu w ohydzie,
Grzeszy, kto w jarzmo niewoli idzie.

Za mną mężowie! Kto ze mną wierzy, —
Przed Matką Bożą czołem uderzy!"—

Lud mnóztwem idzie w kaplicy progi:
—„Wstań w gniewie Twoim, wstań mocny Panie!
Podwyż nas w kraju, podwyż nad wrogi,
I usłysz nasze k'Tobie wołanie!
Kołem nas zamknął Tatarzyn dziki;
Wyrwiéj nas z sideł co wróg obstawił,
I odwilż uschłe nasze języki,
A lud głosami będzie Cię sławił!
Z ziem naszych wypędź gdzieś w świat daleki!
Zetrzéj go, Panie, na wieków wieki!"—

Spojrz! tam obłoczek płynie w lazurze!
Zadęły wichry i ryczą grzmoty,
I całe niebo jak w jednéj chmurze,
Błyski raz po raz w pogan namioty,
I zlew podsycił źródło studnicy.
Minęła burza. Już wojownicy
Z wszystkich ziem, włości, ciągną bez miary.
Pod Ołomuńcem wieją sztandary,
Ciężkie im miecze u bioder wiszą,
Chrzęszczą na grzbietach pełne sajdaki,
Jasne się hełmy na łbach kołyszą,
Pod nimi bystre toczą rumaki.

Do bitwy w leśne rogi zadzwonią [29]),
Zagrzmiały bębny w huczne odgłosy,
Dwa wojska straszną zetrą się bronią,
Tuman kurzawy idzie w niebiosy,
Bój to ostatni, ale bój kruty [30])!
Nuż, jak się łoskot od szabel pocznie,
Jak gwizdną strzały w swój grot zatruty [31])
Z łomem oszczepów, z gruchotem włócznie!
Byłoż tam kłócia i rzezi było,
Tutaj jęczało, tam się cieszyło!
Krew się waliła jak deszczu strugi,
Trupy drzewami leżą w most długi.

Tu rozpłatane na dwoje głowy,
Tu bez rąk obu same tułowy,
Ten spadł z rumaka sadząc przez trupy,
Ten wściekły młóci we wrogów kupy
(Tak drzewa skrzydłem wymłaca burza),
Temu po jelce miecz w pierś zanurza,
Temu Tatarzyn ucho obrzyna.

Och, biada! wielki ryk, któż obroni?
Chrześciaństwo z pola zbiegać zaczyna,
Tatarzyn z wrzaskiem goni a goni.

Ha! tam Jarosław [32]) spadł orła lotem,
Stal piersi męża kryje przed grotem,
Chrobrość, udałość bije pod stalą,
Jarym się ogniem dwie oczy palą,
I bystrość wodza z pod hełmu błyska.
Jak lew rozżarty leciał na mordy,
Kiedy krew ciepłą poczuje z blizka,
Gdy ściga strzelca co go postrzeli,
Tak on bił wściekły w tatarskie hordy.

Czechowie za nim gradem zlecieli.
Patrz, jak na syna Kublaja bije!
Obaj przelute zapasy zwodzą,
Obaj kopiami na siebie godzą,
I obie w trzaski poszły kopije.
Jarosław we krwi, i rumak broczy.
Mieczem on zaciął Kublaja syna,
Od ramion skroś go do bioder ścina,
Aż się on bezduch do trupów stoczy,
A nad nim tulec i łuk zabrzękły.

Lute Tatary strasznie się zlękły,
Precz odmiotali sążniste piki,
Zmyka kto może, zmyka tłum dziki
Tam, dokąd słońce powstaje z rana.
I od najeźdźców swobodna Hana [33]).

BENESZ HERMANÓW.

Zdarzenie będące przedmiotem téj pieśni przypada w czasie zamieszek i niepokojów po upadku Przemysła Ottokara II (26 sierpnia 1278 r.), właśnie kiedy Czechy na łup oddane nieprzyjaciołom, uciskanym niegdyś potęgą i wolą zeszłego króla; kiedy następca po nim i dziedzic, siedmioletnie dziecię, pod srogą opieką Ottona II margrabi brandeburskiego, ożenionego z siostrą Ottokara (Katarzyną Bożeną), nietylko pozbawiony wszelkiéj pomocy, ale nadto razem z matką swoją w Bezdzieży (Pesig) był więziony. Naród czeski w świeżéj pielęgnując pamięci wielkość świetną i sławę niedawno przygasłą, ze wstrętem i ze zgorszeniem spoglądał na uciskającego ojczyznę obcego władcę, a o prawym swoim następcy i panu tak dobrze jak nic nie wiedział; bo kiedy wdowa po Ottokarze ucieka z więzienia do Opawy, wtedy Otton młodego księcia do Cittau zaprowadził, a tak naród w zupełnéj o nim zostawił niewiadomości, co się też i z szóstego téj pieśni wiersza wyjaśnia. Na miejscu swojém postanowił Otto biskupa Eberhard'a namiestnikiem państwa, bezwstydnego i niehamowanego łakomcę. Marchianie przybywali kupami panoszyć się w bogatym kraju. Łupili w świątyniach, wyzuwali z prawych posiadłości, grabili wieśniakowi dobytek, niszczyli żniwa, gospodarząc zgubném okrucieństwem Ucisk kazał im szukać we własnych siłach przeciw tylu bezbożnościom ratunku!

Pieśń następna maluje podobny najazd i gwałty cudzoziemców na ziemi czeskiéj, i zapłatę zasłużoną, którą głów własnych nakładem odnieśli. Piewca nazywa ich Sasami: czy to on przypomniał sobie dawne ich przymierza

z północnymi sąsiadami, czyli że w rzeczy samej Marchianie i Sasów do wyprawy wciągnęli? Przybywają oni od gór leśnych z okolic Görlitz (Zhorzelic) w dolinie Izery, przy Turnowie (od Tur pochodzi); a ztamtąd ciągną wprost ku widnym z daleka zamkom na skałach, Troski zwanym. Dolina Izery w najpyszniejszém położeniu; po lewéj widać zwaliska zamku Friedstein, zamek Małe Skały oblany Izerą; po prawéj spustoszały Waldstein z kościołem Św. Jana, daléj Grube Skały, a ku końcowi wyżéj wzmiankowane Troski, jeszcze pod królem Jerzym zdobyte i zniszczone. W pobliżu znajduje się miejsce Łom (kamieni) zwane, gdzie bitwa, o któréj wzmianka w pieśni stoczoną być musiała. Czyli Benesz syn Hermana był panem na Grubéj Skale, tego nie dowiadujemy się z pieśni; przypuszczenie jednak tego rodzaju nie jest niepodobném do prawdy. Czy należał on do rodziny Waldstein'ów, trzymających po dziś dzień tę warownię? W Dalimilu i innych kronikach są wzmianki o wielu panach czeskich, którzy zbrojną spierali się ręką z sąsiadami, a nawet z samymi margrabiami; między innymi wspominają Henryka z Lipego.

Pieśń ta zakrawa więcéj na balladę; przebija się w niéj ton epopei z uniesieniem lirycznem. Czesi mają pieśń duchowną téjże saméj miary wiersza (Starobyla skladanie dil III, s. 122).

O słonko! czemu ty świecisz
Żałośnie, słonko powszedne!
Czemu ty, czemu tak świecisz
Na ludzie biedne?

Gdzie książę? lud brońca kędy?
Daleko zabrał go Otto!
Któż wstrzyma wrogów zapędy,
Kraju sieroto!?

Już wojska niemieckich Sasów [34])
Ciągami ciągną długiemi,
Z-gorzelskich górzystych lasów [35])
Ku naszéj ziemi.

Dawaj, kładź ludu niebożę
Twe złoto, twój sprzęt bogaty,
Nim wróg wypali, rozorze
Dwory i chaty!

Złota i srebra nie szczędzą,
Palą zagrody i wioski,
I trzody ze sobą pędzą,
Ciągnąc na Troski.

Nie żal się, nie żal już kmieciu!
Koniem najezdcy czas długi
Deptana trawka w przedleciu
Zieleni smugi.

Wybawcy naszego kraju
Wij wieniec z polnego kwiatu,
Weselsze zasiewy w maju,
Weseléj światu.

Weselsza nadeszła zmiana:
Oto lud zbiera w gromady
Dzielny Benesz syn Hermana,
Na Sasy sąsiady.

Garną się wieśniacze męże
Pod grubą skałą, wśród lasów;
W cepy zbrojni jak w oręże,
Na wrogów Sasów.

Benesz im Benesz na przodzie,
Za nim lud walił się cały:
„Mścij się, mścij!—woła—narodzie!
Oto Sas zuchwały!"

Owoż szał gniewu opęta
Obie strony, rzuca na się,
Ogniem pierś dyszała wzdęta
W wściekłym zapasie.

Iskry z ocz pryskają w oczy,
Wspólna zajadłość ich droczy,
Wstaje cep w górę nad cepem,
Oszczep nad oszczepem.

Dwa wojska w krwawéj potrzebie
Jak lasy razem się zwalą;
Jak blask piorunów po niebie,
Miecze się palą.

Wrzask grozy zatrząsł krainą,
Zwierz leśny wyskoczy z nory,
Latawce swe skrzydła zwiną,
Wrzask po trzy góry.

I długi łoskot wśród jarów;
Tak miecze, tak włócznie grzmiały,
Jak łom zbutwiałych konarów
Z skały na skały.

W bój stanęli nieprzegięty,
Ci tych, ci tych zmódz nie mogą,
Zasadzili się na pięty,
Zaparli z nogą.

Benesz ku górze się puszcza,
I skinął mieczem na prawo,—
Tam zbrojna garnie się tłuszcza.
Skinął na lewo,—

I w lewo uderzą siły,
Wystąpią na skał urwiska,
Lud z łomu [36]) kamienne bryły
Na Niemce ciska.

Z gór męże na pola zbiegli.
Ach jak Niemcowie jęczeli,
Ach jak Niemcowie pierzchnęli —
Aż wszyscy legli!

OLDRZYCH I JAROMIR.

Początek téj pieśni w pierwotworze znajduje się na dwóch wązkich odcinkach, których ostatnie litery wiążą się bezpośrednio ze stronnicą następną. Jakoż tam stoi: się w cz... tu zaś: rn les, co brzmi razem: się w czrn les. Nadpis jest... lanów iwil... (może wpad Polanów i wihoń). Początek: zwola B... (olesław?) Bolesław woła (?). W ogólności dzieje ówczesne są tak zawikłane i niewyjaśnione, jak szczątki téj poezyi. Żałować ciężko przychodzi, że ze stratą brakujących części szkodujemy razem na wyjaśnieniu prawdy dziejowéj.

Kozmas epokę tego wypadku kładzie pod r. 1002, Pelcel o całe lat 10 różni się od pierwszego. Pominąwszy podania Kozmy, Dytmara, Adelbold'a, Pelcel'a i t. p., załączam wypis z Historyi Narodu Polskiego Naruszewicza, T. I, z pod r. 1004, gdzie cały ten wypadek wykrzesany z baśni, z czystością bliższą prawdy i krytyki, dogodniejszy ku wyświeceniu pieśni będzie.

„Nie mógł na to patrzeć Henryk (II cesarz niem.), że Księztwo Czeskie, z dawna berłu niemieckiemu hołdownicze, opanował Polak nieprzyjazny, a nagłém zawojowaniem Miśni i Luzacyi w potęgę pomnożony."

Zatrudnienia we Włoszech nie pozwalały mu śpiesznie działać przeciw Bolesławowi Chrobremu; lecz ukończywszy z Harduin'em sprawy, wtargnął w granice czeskie... „Niespodziane było dla Bolesława tak rychłe Niemców wtargnienie, o którém gdy mu przy wieczerzy kapelan biskupa Reinbern'a oznajmił, król mu wzgardą miał odpowiedzieć: iż te żaby tak rychło przyczołgać się nie mogą. Lecz Niemcy byli już na granicach czeskich; do nich przyłączył

się Jaromir (wygnany książę czeski, syn Bolesława III), a zostający pod strażą Werszowców, z któréj teraz miał sposobność wymknienia się.

„Jaromir, z przydanym sobie niemieckiego ludu wyborem, przodem do Pragi wysłany na dobywanie miasta, czego mocą dostąpić nie mógł, fortelem dokazał. Znajdowało się w samém mieście wielu królowi Polaków niechętnych, do których Jaromir wysłał wiernego żołnierza, z oznajmieniem o swojém zbliżeniu się i z rozkazem, ażeby w nocy dawszy odgłos trąbą, nieprzyjaciół postrachu nabawił, a swoim dał hasło do oręża. Wykonał on wiernie dane sobie zlecenia, i gdy zatrąbiwszy począł wrzeszczeć: „Uciekają Polacy, do broni Czesi!"—będący w tymże spisku i zmowie z żołnierzami Prażanie, biciem we dzwony wszystkie, całe miasto do oręża poruszyli. Powstało niezmierne między Polakami zamieszanie, a jako w nagłych przypadkach bywać zwykło, trwoga, nieporządek, rozpacz i ucieczka. Bito wszędy naszych, albo uciekających z mostu spychano. Bolesław, znajdujący się naówczas w zamku Wyszehradzie, z jednym półkiem żołnierzy uszedł, którego gdy Sobiesław brat Św. Wojciecha ściga, sam na moście był zabity. Jaromir nazajutrz wszedł do miasta, a wkrótce po nim cesarz przybywszy tamże, nowego księcia na ojcowskiéj stolicy posadził."

Kozmas inaczéj ten napad na polską załogę opisuje. Powiada on, że Odalrych brat Jaromira, wychowany u księcia bawarskiego Henryka, i na żądanie Polaków w więzieniu trzymany, uszedł r. 1002 do zamku Drewic (przy Niszburgu). Ztamtąd wyprawił posły do Pragi, dla porozumienia się ze związkowymi, którzy mieli mu w uderzeniu na miasto dopomagać. Na wzgórzu Zizi, gdzie po dziś dzień leży Strachów, znak był dany, miasto spustoszone i mnóztwo Polaków pozabijano. Podanie Kozmy zdaje się najlepiéj pieśń tę objaśniać, którą on znać zapewne musiał, bo w niéj widzimy wciąż kierującego spiskiem Odalryka. Jaromir zaś na końcu, jakby w tryumfie do Pragi uweselonéj przybywa.

Wyhoń Dub, jeden z władyków wspomnionych w pieśni, mógł to być ów wymieniony przez Kozmę Dowora, przo-

dek panów z Dubego, który dawniéj Jaromirowi, zostającemu pod strażą, do ucieczki dopomógł, a kto wie, może i on sam w chwili wesela z powrotu na tron prawego pana, tę pieśń wyśpiewał.

. . . . . szedł w czarny las,
Kędy się wszyscy zebrali władycy [37]).
Siedmiu ich, każdy szedł zborom na czele.
Z nim idzie Wyhoń Dąb w nocnéj ciemnicy,
Gorliwy, mężów prowadził coś wiele.

Hufiec ten liczy sto chłopów dobranych,
Sto mieczów w pochwach chowali skórzanych,
Sto rąk do mieczów, a ręce ich silne,
Sto serc, a wszystkie ku wodzu przychylne.
Pośrodku lasu zebrały się zbory,
Podadzą ręce i splotą się wiankiem,
I rozpoczęli ciche rozgowory.

Już noc z północnéj chyliła się pory,
Rzedniały cienie nad szarawym rankiem.
—„Cyt! mówił Wyhoń do księcia Oldrzycha:—
O sławy książę! posłuchaj co-ć powiem!
Bóg cię obdarzył jarotą i zdrowiem,
Bóg ci mądrości skarbnicę odmyka;
Wiedź nas, wiedź książę na Polan niedobrych,
Słowem twém pójdziem i w lewo, i w prawo,
Bądź wprzód, bądź naprzód, w bójkę choć jak w krwawą,
Nuże, tchniéj książę, zapał w serca chrobrych!"—

I kniaź z proporcem prawicę wytęża:
—„Za mną kto chrobry—za mną do oręża,
Na wrogów Polan, kraju najezdników!"

Wnet za nim osiem wyskoczy władyków,
Pół sta i trzysta za nimi wyskoczy
Zuchów, co lecą tam, kędy sen mroczy
Półki Polanów kosztujące wczasu.

Wyszli na górę stanęli kraj lasu [38]).
Tam—milczy Praga w zaranném marzeniu,
Wełtawa mglistą kurzyła się parą;
Za Pragą góry w błękitnawym cieniu,
Świt za górami wdziewał barwę szarą.

Z góry w dół! cicho zbiegli—w taką ciszę!
Skryją się w Pradze [39]) chytrzy towarzysze—
I pod płaszczami broń śmierci pokryta.

Szedł pastuch—ranek na niebiosach świta—
Zawołał:—„Bramę otwórzcie u wieży"—
Na głos pastucha pośpieszyła warta,
I przez Wełtawę brama już otwarta.
Na most wyskoczył pastuch, w róg uderzy—
Na most kniaź skoczył i siedmiu władyków,
Za każdym skacze poczet wojowników.

Huknęły bębny pod grzmotnemi ciosy,
Trąby zadzwonią wojenne odgłosy.
Wiater na moście powiewa sztandarem,
A most się trzęsie pod zbrojnym ciężarem.

Strach padł okropny na polską załogę,
Wszystko oręże chwyciło na trwogę,
A władykowie siekli, strasznie siekli!
Polanie skaczą, pierzchają na strony,
Tłumem się cisną przez okop do brony [40]),
Od rzezi głowę unoszą,—uciekli.

Zwycięztwo sprawił Bóg wielki obrońca.
Na całe niebo jedna gwiazda słońca [41]).
I powstał Jarmir, jeden pan na czele,
Po całéj Pradze zabrzmiało wesele,
Weselem brzmiały Pragi okolice,
Poszło wesele po świata granice,
Po całéj ziemi od Pragi wesele.

PIEŚNI MIŁOSNE I BALLADY.

Ta liryczna część Rękopisu Królodworskiego niemniejszą wartością poszczycić się może. Brodziński, Bohdan Zaleski, przekładali niektóre pieśni z właściwym sobie talentem. W ogólności przebija się w nich starożytna słowiańska prostota i głębokość uczuć. Przywołajmy zdanie wybornego znawcy Mainert'a (Archiv für Geschichte, Jännerheft von 1819), a któż z nim się nie zgodzi, że przy właściwych pomysłach żywość, tkliwa czułość, moc, prostota i koloryt gminny silnie w nich odbity, niby dusza i serce anioła w rysach lica urodziwego dziecięcia? Raz one z polotną anakreoncką igrają swobodą (jak Zazulka), to czułą tchną tęsknotą (Wianek, Róża), rozpływają się w żalu (Opuszczona, Skowronek), to znowu pełne swawolnéj młodzieńczéj bujności (Jagody). Inne, lubo w nich mocno charakter poezyi gminnéj odbity, zarywając jednakże tonem epopei, opiewają hardego wybawcę porwanéj kochanki (Zbyhoń), rycerskiego szermierza o rękę książęcéj oblubienicy (Ludissa i Lubor), opłakują stratę młodziana, zabitego zdradą, oczami wszystkich dziewic (Jeleń).

Napomknąłem już w przedsłowiu o rozkładzie i podziale śpiewów Rękopisu Królodworskiego, że pieśni te, jak wszystkie prawie światowe, krążące między ludem, nieoparte na dziejowém podaniu, w osobnym mieszczę porządku. Co do ich dawności, zapatrując się na krój zewnętrzny, jedyną wskazówkę, na nierówność miar mierzonych, na szczególną bujność myśli, możnaby Jelenia do najdawniejszéj odesłać epoki. Roża, Zbyhoń, toż samo bardzo dawne być muszą. Ludissa kształtem wykwintna,

podobna niemieckiéj balladzie, może najświeższą jest z całego zbioru. Niektóre z tych śpiewów, jak gołąbki jednego gniazda, poprzelatywały z jednéj do drugiéj rodziny. Pan Czelakowski w wydaniu swojém pieśni ruskich, jedną podobną słowo w słowo do Róży przytacza. Początek zupełnie ten sam, tylko że dziewica, miasto do róży, przemawia do ogródka, zasadzonego dla kochanka, w te słowa: „Ach, ty mój sad, ty mój sadeczek, a winograd zielony! czemu ty sadzie wcześnie rozkwitasz? rozkwitnąwszy sadzie usychasz? ziemię liściami sadzie uścielasz?" Daléj: „Śpieważ u ciebie słowiczek? ach i on ulatuje!" Czyni zwrot do kochanka, pyta go się: „Czemu ku mnie nie przychodzisz? czy ci może kto na przeszkodzie? Jeślim ci nie po myśli, to mnie porzuć."

Lecz druga połowa naszéj pieśni niczém się nie różni od innéj ruskiéj w wydaniu Czelakowskiego: „Pod wieczór to mnie młodziusieńkiéj mało się spało, a mnogo marzyło; niepiękny sen mi się przymarzył. Widziało mi się, że u mnie młodéj, na prawéj ręce na kawałki rozpadł się mój złoty pierścionek, wyskoczył z niego drogi kamyczek" i t. d.

Tak porównywając pieśni serbskie, czeskie, ruskie i nasze polskie, dostrzeglibyśmy z niemałą pociechą krążenie pieśni z narodu do narodu, od brzegów morza Lodowatego, brzegami Baltyckiemi, do Czarnego po Adryatyckie. Dostrzegłszy raz sposobu, jakim duch słowiańskich ludów ten łańcuch powiązał z sobą, po odstrzelonych promieniach doszedłszy ogniska, ujrzelibyśmy kolebkę naszego rodu, świat nasz pierwiastkowy, źródło żywota. W przypisach moich starałem się wszędzie przytaczać miejsca z ruskiego Igora, dla porównania z czeską poezyą starożytną. Dziwić mi się nieraz przychodzi nad uderzającém podobieństwem w wyrażeniach i pomysłach; nie inaczéj to tłómaczyć sobie mogę, tylko że były pewne, wspólne całéj Słowiańszczyźnie wyobrażenia, cechy jednego szczepu i narodowości, które nie duchem naśladownictwa, lecz samodzielnie odbiły się w utworach poczyjnego ludu.

LUDISSA I LUBOR.

Posłuchajcie młódź i starce [42])
Turniejowe straszne harce.

Żył za Labą kniaź przed laty,
Dobry, sławny i bogaty.
Jedną córkę w domu chował,
Świat ją wielbił, on miłował.
Dziw urody w ślicznéj córze,
Kibić gładka w niéj zachwyca [43]),
Białe przez się, białe lica,
A na licach kwitną róże.
Oczy jasne jak niebiosa,
Na dziewicy śnieżną szyję
Spływa kosa złotowłosa,
W pierścienie się złote wije.

Kniaź rozesłał posły wszędzie:
— Co pan tylko, niech przybędzie
Na zamkowe wielkie gody. —
Gdy godowy dzień zaświeci,
Z stron dalekich na wyprzody,
Z ziem dalekich wszystko leci
Na zamkowe wielkie gody.

Huczą kotły, trąby dzwonią,
Idą pany ku książęciu,
Księciu, księżnie się pokłonią,
I księżniczce, ich dziecięciu.

Za przedługie stoły siedli,
Każdy usiadł podług rodu;
Tam zwierzynę dziką jedli,
Zapijali napój z miodu.

Bo to były gody huczne,
Bo to sute gody były;
Członki nową siłą tuczne,
Duchy męztwem się paliły.

W on czas rzekł do panów książę:
—„Tajemnicę wam rozwiążę
O przyczynie téj biesiady:
Chcę doświadczyć, który z was
Najdzielniejszym się pokaże.
Jest w pokoju marzyć czas,
Ja w pokoju wojnę marzę,
Bo Niemcowie nam sąsiady.“ — [44])

Skończył książę. Z poza stoła
Pany ruszą się dokoła,
Pokłonią się księżnie, księciu,
I księżniczce ich dziecięciu.

Zagrzmią kotły i puzany,
Na turnieje ciągną pany.
W obec zamku, kędy błonie,
Sam najwyżéj na balkonie
Siedzi książę z starostami,
Siedzi księżna z ziemiankami,
I Ludissa w dziewic gronie.

Książę wyrzekł:—„Teraz pora,
Ten na ostre gonić pocznie,
Kogo wskażę mojém prawem.“—
I ukazał kniaź Strebora.
Strebor stanął z Ludisławem.
Skoczą na koń, biorą włócznie,
Dwie ogromne z ostrym grotem,
I na ostrze razem godzą,
I w zapasy długo chodzą,
Aż złamali broń z łoskotem
I zziajani w krwawym znoju
Opuścili szranki boju.

Huczą kotły i puzany.
Kniaź zawołał na ziemiany:
—„Niech kto drugi w szrankach toczy,
Księżna uczci go wyborem.“—
Księżnie Serposz wpadł na oczy.
Serposz stanął z Spyciborem.

Skoczą oba na rumaki,
Biorą drzewa z ostrym grotem;
Wyciął z niego Serposz, lotem
Precz wysadził go z kulbaki.
I sam Serposz stanął pieszo,
I dobędą obaj miecze,
I ten siecze, i ten siecze,
Z czarnéj tarczy iskry krzeszą.
Ciął Spycibór, Serposz cięty
Padł na ziemię rozciągnięty,
I zziajani pełni znoju
Opuścili szranki boju.

Huczą kotły i puzany.
Kniaź zawołał na ziemiany:
—„Kto chce trzeci na popisy,
Niech księżniczka go wybiéra.”—
Lubor w oczy padł Ludissy,
Lubor wyzwał Bolemira.
Na rumaki obaj skoczą,
Biorą ostre dwie kopije,
Bystro oba w szrankach toczą,
Ten na tego leci, bije,
Ten oszczepem, ten uderzy,
I Bolemir z konia leży.
Tarcz upadła mu daleko,
Ciury z placu go odwleką.

Huczą kotły, trąba dzwoni,
Na Rubosza Lubor skinął,
Rubosz na koń się wywinął,
Na Lubora pędem goni.
Lubor mieczem kopię zmiata,
Silnym ciosem hełm rozpłata,
Rubosz z konia padł na ziemię,
Ciury z placu niosą brzemię.

Huczą kotły i puzany.
Lubor wołał na ziemiany:

—„Kto się ze mną, kto się zmierzy?
Na plac boju niech wybieży!"—
Między sobą pany radzą,
Luborowi stać nie dadzą.
Zdzisław długą kopią wstrząsa,
A na kopii turza głowa [45]);
Pod nim jary rumak pląsa.
On zawołał w harde słowa:
—„Dziad mój tura zgniótł pod nogi,
Ojciec wygnał Niemce wrogi,
Dzisiaj poznasz mię. Luborze!"—
Wnet ku sobie wyskoczyli,
Łbami w siebie uderzyli,
I ten, i ten ziemię orze.
Błysły miecze w ich prawicy,
Rozpoczęli bójkę pieszo.
Obaj tęgo w miecze krzeszą,
Szczęk się rozległ w okolicy.
Lubor przypadł mu z uboczy,
W szyszak mieczem ciął okrutnie,
Na dwa kęsy hełm rozskoczy,
Jeszcze mieczem o miecz utnie,
Miecz za szranki padł w oddali,
Mężny Zdzisław z nóg się wali.

Huczą kotły i puzany.
Do Lubora idą pany,
I przed księztwo go powiodą,
Przed księżniczką stawią młodą.
Z rąk Ludissy wziął młodzieniec
Z dębowego liścia wieniec.
Huczą kotły i puzany...

ZBYHOŃ.

Lata gołąb siwy
I po drzewach siada,
Los swój nieszczęśliwy
Lasom rozpowiada:
—Latał ja w te lasy
W lepsze nieraz czasy,
Z gołąbką jedyną,
Z kochaną ptaszyną.
Lecz Zbyhoń złooki
Sam na nią czatował,
Pochwycił i schował
Na zamek wysoki.—

Jakiż młodzian chodzi
Pod zamkową ścianą,
Żałośnie rozwodzi
Za swoją kochaną?
I usiadł na skale
Z nieszczęściem na duszy;
Ciche jego żale,
Cicho w leśnéj głuszy.

Gołąb przylatywa,
Grucha, ubolewa.
Młodzian podniósł głowę,
Z gołąbkiem w rozmowę:
—Gołąbku, tyś smutny,
Masz ciężką tęsknicę:
Czy jastrząb okrutny
Porwał twą samicę?—

— Zbyhoniu, ty moją
Kochankę, skarb cały,
Porwałeś jak swoją
Na zamek, na skały.

Porwana, zamkniona
Na zamku Zbyhona.—

—Oj zbiłbyś, mój ptaku,
Jastrzębia mordercę,
Gdybyś, biedny ptaku,
Miał odważne serce.
Nie dałbyś twéj żony
Pazurom jastrzębia,
Gdyby u gołębia
Były ostre szpony.
Ty, gołąbku wierny,
Zabiłbyś jastrzębia,
Gdyby u gołębia
Był dziób mięsożerny.—

—Wstań junoszo daléj,
Uderz na mordercę;
Wszak męztwem się pali
Na wrogów twe serce.
Wszak nosisz gotowe
Bronie z ostrym grotem,
Na Zbyhonia głowę
Rzuć żelaznym młotem.—

Zbiegł młodzian w dolinę
Przez leśną gęstwinę,
Broń na się zawiesza,
Na plecy młot bierze,
Przez lasy pośpiesza,
Gdzie zamkowe wieże.

Już pod zamkiem stoi;
Noc — ciemno do koła.
Stuka do podwoi:
—Kto tam?—straż zawoła.
—To ja, łowiec, błądzę.—
Otwarto wrzeciądze.
Znów stukał w zapory.
Otwarto raz wtory.

—Gdzie Zbyhoń władyka?—
—Za wielką świetlicą,
Tam on się zamyka
Z płaczącą dziewicą.—

—Otwórz myśliwemu
W drodze zbłąkanemu.—
Zbyhoń nie odmyka.
Młodzian w drzwi ciął młotem,
W łeb Zbyhonia potém,
I upadł władyka.
Na zamek wybieżał,
Zabijał co żyło,
I ze swoją miłą
Do świtu przeleżał.

Wstało słońce z rana,
Nad lasy się wzniosło,
A w duszy młodziana
Wesele tak rosło,
Że ona u łona
W objęciu zamknionа.
— Gołąbkaż to czyja?—
—Od zdrajcy Zbyhonia
Więziona jak i ja,
Na zamku więziona.—
—Puszczam ją na wolę,
Na lasy, na pole. —

I lata tędy,
Lata owędy,
Po drzwiach latała,
Przy swoim samczyku,
I z samczykiem spała
Na jednym pręciku.

Dziewczyna szczęśliwa
Z kochankiem przebywa,

Co chwila, co doba,
Gdzie jéj się podoba,
W pieszczotach, kochaniu,
Na jedném posłaniu.

JELEŃ.

Biegał jeleń przez krainy
Po górach wesoło,
Nosił w góry i doliny
Porożyste czoło.
Przez las gęsty drze się
Pięknemi rogami,
I skacze po lesie
Rączemi nogami.

Oto junosza na górach żyje,
W doliny zbiega, w bitwach się bije,
Hardy swój oręż nosi pod ramię,
Orężem wrogów zastępy łamie.

Nie ma junoszy na górach, nie ma!
Tu go zaskoczył
Chytrze luty wróg,
Chmurnemi oczyma
Gniew zemsty toczył
I ciężkim młotem piersi mu stłukł.

Smutno się rozlega
Lasowa głusza,
Z młodzieńca wybiega
Duszyczka—dusza!
Wybiega szyją piękną, toczoną [46]),
Potém ją śliczne usta wyzioną.

Tam on spoczywa; krew ciepła zdrojem
Płynie za duszą, za życiem swojém;

Ziemia krew ciepłą pije napojem.
Było żałośnie każdéj dziewicy,
I były wszystkie serca w tęsknicy.

Poszedł młodzieniec do ziemi w głąb,
A nad młodzieńcem rósł z dąbka dąb,
Coraz szerszemi puszczał ramiony.

Chodził tam jeleń, pyszne miał rogi,
Skakał tamtędy rączemi nogi,
Wyciągał szyję, rwał liść zielony.

Krogulce zgrają
Zlecą, siadają
Z całego lasu na dębowe szczyty.
Pomiędzy sobą tak mówią i kraczą:
„Upadł junosza od wroga zabity,
Wszystkie dziewice po junoszy płaczą."

WIANEK.

Wieje wietrzyk, wieje
Od książęcéj knieje;
Bieży dziewczę młode
Do zdroju po wodę.

Nabrała w głębinie
W okute konewki,
A wianuszek płynie
Po wodzie do dziewki.

Z fijołków i róży
Wiązanka uwita;
Dziewczyna po wodzie
Za wiązankę chwyta,
Zachwyci ją w dłonie
I pluśnie na tonie.

—Gdybym ja wiedziała,
Kto ciebie, mój kwiecie,
W ogródku zasadził
Wypieścił na świecie?
Dałabym z ochotą,
Tę obrączkę złotą!

Gdybym ja odgadła
Czyja ręka, czyja
Do wianka cię kładła,
I łyczkiem obwija?
Dałabym ochocza
Iglicę z warkocza!

Gdybym ja wiedziała,
Mój wianku różowy,
Czyje ciebie dłonie
Puściły na tonie?
Dałabym mu, dała
Mój wianuszek z głowy!—

JAGODY.

Na jagody w las majowy
Dziewczyna bieżała;
Ukłół w nóżkę krzak cierniowy,
We krwi nóżka biała.
Iść nie może ukochana,
Taka ciężka rana.

Ach ty cierniu, ostry cierniu,
Coś zrobił dziewczynie?
Za to z boru ostry cierniu,
Cały ród twój zginie.

Czekaj luba w onéj stronie,
W cienistym gaiku,
A z łączki wnet ja przygonię
Na białym koniku.

Konik pasie się na łące,
Gęstą trawę ścina;
W gaju oczka ma tęskniące
Po miłym dziewczyna.

I zawodzi, i wyrzeka
Po cichu w dąbrowie:
—Ach od matki cóż mię czeka?
Będzie mojéj głowie!

„Nie wierz chłopcom i żadnemu"
Słowa matki były.
Chłopców chronić się—i czemu,
Kiedy chłopiec miły?

—Na koniku zbiegłem czwałem,
Na białym koniku,
Za uzdeczkę uwiązałem,
Za srebrną w gaiku.

I przycisnę ją do łona,
I usta zcałuję,
I zapomni ulubiona,
Że cierń nóżkę kłóje.

Już słoneczko na zachodzie,
A my się pieścili.
—Wracaj miły ku zagrodzie,
Słoneczko się chyli.—

Biały konik nóżką grzebie,
Na konika skoczę,
W ręce biorę ją przed siebie,
Ku domowi toczę.

RÓŻA.

Ach! ty różo! krasna różo!
Czemu kwitniesz wczas?
Już rozkwitłą zmroził szron,
A zmrożona zwiędła wraz!
Zwiędła, zmrożona,
Spadła korona.

Siedzę wieczór, siedzę cały,
Pokąd kury nie zapiały;
Próżno czekam—nie przybywa,
Wypaliły się łuczywa.

Tak się śniło—tak marzyło,
Mnie biednéj dziewczynie,
Że mi z palca z prawéj ręki
Pierścioneczek spadł maleńki,
I kamyczek drogi ginie.

Nie znalazłam zguby,
Nie przyszedł mój luby!

ZAZULKA.

Dąb w szerokiém stoi polu.
Kukułka żałosna
Zakukała na gałęzi,
Że niezawsze wiosna.

Jakby źrzało na zasiewach,
Gdyby wiosna zawsze!
Jakby owoc źrzał na drzewach,
Gdyby lato zawsze!

Jakby marznął kłos w stodole,
Gdyby jesień była!
Jakbym ciężką miała dolę,
Gdybym samą była!...

OPUSZCZONA.

Ach, wy lasy, ćmawe lasy,
Miletyńskie [48]) lasy!
Czemuż się liściem śmiejecie
W zimie i w lecie?
Chcę sercu wzdychać zabronić,
Oczom łez ronić.
Jak tu nie płakać sierocie
W takiéj tęsknocie?
Gdzieś ojcze? gdzieś ojcze miły?
W głębi mogiły!
Gdzieś matko?—wołam z żałobą—
Trawka nad tobą.
Bracia i siostry wymarli,
A kochanka wydarli!

SKOWRONEK.

W pańskim sadzie dziewczę plewie,
W konopiane grządki skryta.
—Zkądże żałość w takiéj dziewie?—
Skowroneczek jéj się spyta.

—Ach nie dla mnie śmiech wesela!
Mój skowronku! mój kochanku!
Mnie wydarli przyjaciela,
I zamknęli go na zamku.

Piórka, piórka mnie potrzeba,
A napiszę mały listek;
Ty polecisz z nim przez nieba,
Gdzie kochanek, gdzie mój wszystek!

Ni mnie piórka, ni mnie błonki [49]),
Nie mam pisma na przesłanie;
Ty go pozdrów jak skowronki:
Śpiewaj rozpacz i kochanie.—

SĄD LIBUSZY

I PIEŚŃ POD WYSZEHRADEM.

Dołączone te dwie pieśni śmiało policzyć się mogą do najdawniejszych zabytków czeszczyzny. Sąd Libuszy, składający się z dwóch ułamków, na dwóch ćwiartkach w 8-ce jest własnością Czeskiego Muzeum, i podług wszelkiego prawdopodobieństwa więcéj należy do jedenastego niż trzynastego stulecia. „Że do czasów pogaństwa czeskiego odnieść tego utworu niemożna (powiada Maciejowski na str. 21 T. I Hist. prawd. słow.), dowodzą tam wspomniane sądy boże. Te, aczkolwiek innego jest zdania J. S. Bandtkie (w Rozm. krak. III p. 48 sq.), Słowianom przez chrześcian narzucone były."

Ta uwaga, język pierwotworu stwierdzony nowemi odkryciami, jak Wacerada Mater Verborum i ułamek Ewangelii św. Jana, i duch, jaki w całym Sądzie Libuszy powiewa, ręczą za najodleglejszą starożytność i najczystszy słowianizm.

Dziwna rzecz, że Dobrovski, który pierwszy wskrzesił język swego narodu, który był najbieglejszym znawcą starożytnego języka Czechów, nazwał ten zabytek bezczelną, podrobioną gramotą! Prawdziwi miłośnicy i znawcy poezyi, jak Szafarzik, Palacky, obstali przy prawdzie i wykazali ją najdowodniéj.

Treść sądu Libuszy podają Kozmas i Hajek w swoich latopisach, lecz odmiennie.

Hajek kłócących się nazywa: jeden Bohon syn Kala, drugi Milowec syn Przesława ze wsi Chuchle pod Pragą; zresztą zgodny z Kozmą, odnosi ten wypadek do r. 721.

W poemacie tym znajdujemy wymienione ziemie, które uznawały władzę sądowniczą córy Kroka. Siedziby na sejm zwołanych lechów i władyków leżą w Budżowskim, Królegradzkim, Leczuńskim, Czasławskim i Kaurzymskim, w Pilzneńskim i Prachińskim obwodzie.

W moim przekładzie połączyłem owe dwa ułamki, to jest: Sniem i Sąd Libuszy, w jedną całość; albowiem, lubo we wszystkich dotąd znanych wydaniach osobno stoją, należą wszakże do siebie, nietylko dalszym ciągiem tego pomysłu, że niewiasta niepowinna mężem władać (co może spowodowało zaślubienie Libuszy z Przemysławem), ale nadto ostatnie wiersze w ułamku Sniem:

Wstali kmiecie, lesi władykowie,
Pochwalając prawo po zakonie,—

zupełnie odpowiadają i tłómaczą słowa złomku w sądzie Libuszy, gdy Racibor powstaje i mówi:

U nas prawo w świętym jest zakonie.

Przekładem Sądu Libuszy wielu z naszych zajmowało się rodaków, między tymi Skor. Majewski, Rakowiecki; Aug. Bielowski cudnemi rymami przelał na polskie ten zabytek. Nie chcąc z tym nieporównanym tłómaczem rzeczy słowiańskich się mierzyć, a przytém woląc ducha pierwotworu najściśléj schwycić, poprzestałem na przekładzie miarowym, dobierając w naszéj staréj polszczyźnie wyrazów najpodobniejszych do staroczeskich.

Pieśń miłosna pod Wyszehradem dla swojéj wielkiéj prostoty zasługiwała na miejsce w tym zbiorze. Usiłowałem też oddać ją w sposób naszych gminnych piosnek, o rym mało się troszcząc.

Pieśń króla Wacława opuściłem, bom w niéj nie uznawał owych przymiotów, jakiemi inne tego zbioru pieśni się szczycą. Jeżeli nie jest tłómaczeniem niemieckiéj pieśni, to przynajmniéj z pod późniejszego wyszła pióra.

—Ej Wletawo, czemu męcisz zdroje?
Srebrne piany czemu mętem cieką?
Czy cię lute rozwełniły wichry,
Z szerokiego nieba sypiąc tucze,
Opłakując głowy gór zielonych,
Wypłókując glinę złoto-piaską?

— Jakże mącić nie mam moich brodów,
Kiedy rodni zwadzili się bracia,
Rodni bracia o miano ojczyste,
Kiedy kruto powadzili z sobą:
Luty Chrudosz z nad krzywéj Otawy [50]),
Z nad Otawy krzywéj złoto-nośnéj;
Chrobry Stoglów z nad chłodnéj Radburzy [51]),
Obaj bracia, Klenowicze obaj [52]),
Rodem starzy z Tetwy Popielowéj,
Jenże przyszedł z półki czechowymi
Przez trzy rzeki [53]) w te żyzne ziemice.

Przyleciała łastówka [54]) drużebna,
Od Otawy krzywéj przyleciała,
Na okienku siadła rozłożystém
W Libuszynėm, złotém ojców gnieździe,
W ojców gnieździe, świętym Wyszehradzie,
I narzeka, i żaleje smętnie.
To gdy rodna posłyszy siostrzyca,
Jéj siostrzyca w Libuszynym dworcu,
Sprasza księżnę w wnętrza Wyszehradu,
Na przedprożu [55]) aby sąd zagaić,
I zapozwać przed sąd braci obu,
I wyroki wydać w moc zakonu.

Księżna każe zwoływać przez posły
Lutosława na białéj Lubicy [56]),
Kędy jane rastają dąbrowy;
Lutobora z chełmu Dobrosławska,
Gdzie się Laba Orlicą napawa;
Racibora od gór Krkonoszych,
Gdzie Lutego sana Trut zatracił;

Radowana z mostu Kamiennego;
Jarożyra od gór strumienistych;
Od Sazawy ładnéj Strezybora;
Samoroda od Mży srebro nośnéj;—
Wszystkich kmieciów, lechów i władyków,
Więc Chrudosza i Stagłowa braci,
Rozwadzonych o miano ojczyca.

Gdy się zniszli lesi, władykowie,
W Wyszehradzie, gnieździe Libuszyném,
Wedle swego postawali rodu:
Wystąpiła cała w bieli księżna
Na ojczysty stolec, w sejmu koło.

Dwie przeumne wystąpiły dziewy,
Wyuczone w wieszczbach witeziowych.
Jedna deski dzierży prawodatne,
A u drugiéj miecz krzywdę karzący.
Przed obiema płomień, zwiastun prawdy [57]),
Pod obiema święto-cudna woda.
Pocznie księżna rzecz z złotego stolca:
„Moi kmiecie, lesi, władykowie!
Owoż braci rozsądzajcie prawem,
Powadzonych o ojców dziedzictwo,
O dziedzictwo ojców między sobą,
Po zakonie wiekuistych bogów.
Mają w kupie obaj rządzić mianem?
Czyli równą iść do działu miarą?
Moi kmiecie, lesi, władykowie,
Wam rozstrzygnąć wypowieść wyroku.
Będzie li on po waszym rozumie,
Nie będzie li po rozumie waszym,
Nową znajdźcie dla nich ustanowę
K'uśmierzeniu rozwadzonych braci."

Pokłócą się lesi, władykowie,
W ciche słowa rozgowór rozpoczną,
Rozgoworem cichym między sobą,
Wychwalając swéj księżny wyroki.

Wstał Lutobor z chełmu Dobrosławska,
Takowemi słowy ima gwarzyć:
„Sławna księżno, z ojczystego stolca!
Twe wyroki wzięliśmy rozmysłem,
Zbierz więc głosy po swoim narodzie."

Więc zbierały dziewice sędziebne
Głosowania do świętego sądu [55]),
A zebrane lesi obwołują.

Wstał Radowan z kamiennego mostu,
Jął rozliczać poczetem wsze głosy,
Aby wiecę obwołać w narodzie,
W narodzie zebranym na sejm walny.

„Obaj rodni bracia Klenowicze,
Z rodu Tetwy Popiela starego,
Jenże z półki przyszedł Czechowymi,
Przez trzy rzeki w te żyzne ziemice!
Tak o waszą zgódźcie się spuściznę,
Byście obaj w kupnie nią władali."

Powstał Chrudosz od krzywéj Otawy,
Żółcią jemu zakipią wnętrzności,
A lutością wszystkie strząsłyś członу,
Machnął ręką, turem zawrzasł jarym:

„Gorze ptaszkom, gdy gad w gniazdo wśliźnie!
Gorze mężom, gdy im żona władnie!
Mężom władać nad mężmi podobna,
Z praw dziedzictwa spada na pierwiastka."

Z ojców stolca powstanie Libusza,
Rzecze: „Kmiecie, lesi, władykowie,
Wżdy mię ciężka spotkała przygana.
Sądźcież sami prawem po zakonie.
Mnie nie sądzić więcéj waszych waśni.
Zwólcie [59]) męża, jenby wam był równy,
Jenby władał wam żelaznem berłem.
Ręka dziewki władać wam nie zduża."

Wstał Racibor od gór Krekonoszych
I takiemi słowy się ozowie:
„Niechwalno patrzeć w Teutonów prawa,
U nas prawo w świętym jest zakonie,
A ten zakon wnieśli nam ojczyce
Przez trzy rzeki, do tych ziemic żyznych.
. . . . . .
Wszelki ojciec czeladce rej wodzi.
Męże orzą, żony szaty szyją;
Lecz gdy głowa czeladce umiera,
Dzieci zbożném mianem wszystkie władną,
I władyki wybierają z rodu;
Ten w potrzebie na sejm za nich chadza,
Chadza z kmiećmi [60]), lechy, władykami."

Wstali kmiecie, lesi, władykowie,
Pochwalając prawo po zakonie.

PIEŚŃ MIŁOSNA

POD WYSZEHRADEM.

Hej, ty słońce nasze,
Wyszehradzki zamku!
Harde dźwigasz czoło
Na skale stojący,
Na urwistéj skale
Ku cudzych postrasze.
U stop twoich rzeka
Bystre wełny toczy,
To jara Wletawa
Z swojemi wełnami.

Na brzegach u wody,
U czystéj Wletawy;
Wciąż rostą chróściny
Z nich chłodek miławy:

Tam mały słowiczek
Śpiewuje radośnie,
Śpiewuje żałośnie,
Jak mu na serduszku
Żal na czém urośnie.

Gdybym był słowikiem
Na zielonéj błoni,
Poleciałbym chyżo
Do kochanki, do niéj,
Na schadzkę wieczorną.

Miłość wszystkich budzi—
I co tylko żywie,
Czuje jéj kłopoty,
Jéj tęsknice czuje.

A ja, nieboraczę,
Wciąż po tobie płaczę:
Lituj się chudziny!

PRZYPISY.

1) Nad czarnym lasem. Że zdarzenie opisane w téj pieśni zaszło w Czechach, dowodzi jeszcze góra znajdująca się niedaleko Przestic między Pilznią i Klatowem (Klattau), nosząca dotąd nazwę Czerny les.

Jeśli poeta przez to oznaczyć chciał las szpilkowy, to od czasu zebrania się bohaterów mogło to miejsce nazwę Czarnego lasu na zawsze zatrzymać.

2) Struny Warity. Przypomina nam greckie barbiton i oznacza cytrę lub lutnię Ze słowiańskich gędźb (instrumentów) znane nam dotąd były: gęśla, dudy lub koza, wołynka i t. d.

3) Lubice. Zabytek poligamii wspólnéj wszystkim przedchrześciańskim Słowianom. Czesi od niéj pod swoim drugim biskupem słowiańskim Wojciechem odwyknąć jeszcze nie mogli.

4) Wiosna i Morana Bóztwo młodości i bóztwo śmierci: ostatnia przypomina polską Marzannę Bielski pisze: „W przewodnią niedzielę po poście robiono bałwan ze słomy, który topiono w stawie śpiewając: Śmerć się wije po płotu, szukająca kłopotu i t. d.; bałwan ten nazywał się Marzanną."

W Czechach dziewczęta, ciągnąc takowego bałwana, śpiewały:

Giz nesem smrt ze wsy,
Nowe leto do wsy.
Witcy leto bjbdzné
Obiljczko zelene.

W przytoczonéj piosneczce widać także te dwa pojęcia o młodości i śmierci złączone.

5) Z gajów. Starożytni Słowianie mieli gaje poświęcane, jako też źródła, góry, na których cześć oddawali bogom. W Dalmacyi jest las zwany: „Puun Dubrave."

6) Lumir. Jakiś wieszcz stary, co jak Orfeusz wstrząsał Wyszehradem. Śpiewak Igora podobnie odwołuje się do Bojana, słowika starego czasu, co wieszczemi palcami żywych strun dotykał, a umem wzlatywał pod obłoki.

7) Wyszehrad. Ten zdawałby się zbijać starożytności wypadku opisanego w téj pieśni; wiadomo z podania, że Libusza zbudowała Libin, który dopiero później Wyszehradem nazywać się począł. Przypuścić też można, że Wyszehrad jest przymiotnikiem i oznacza gród wysoki—akropolis, jak to w Węgrzech mianowicie znachodzimy, albo też, co najpewniejsza, że przed Libuszą ta nazwa owemu miejscu służyła.

8) Minął dzień jeden. W Pieśni o Igorze podobne natrafiamy formy: Biją się dzień, biją się drugi, trzeciego dnia ku południowi padły znamiona Igorowe i t. d.

9) Szczyt siny. Trudno z pewnością miejsce to oznaczyć; na północ po prawym brzegu Elby mogłaby być góra Pösig, na lewym zaś Hromolan przy Miliszowie.

10) Rozje się Ludiek. Przed bitwą łają się bohaterowie, podobnie jak w Iliadzie. Przedziwnie to maluje charakter Słowian lubiących spokojność. Przychodzi mi na myśl, co autor podróży słowiańskiéj, Aleksander książę Sapieha, znajdując się na wyspie dalmackiéj Veli albo Velja, przez Słowian osiedloněj, powiada: „Nigdy nie zapomnę, jak jeden z tych wyspiarzów zapytał mię z prostotą prawdziwie patryarchalną: „Czy przed stoczeniem bitwy długo się łają obie strony?" Bo ani pojąć nie mogą, żeby się człowiek na człowieka bez obrazy i znieważenia swego mógł porwać..." Wyspa ta, trzeba wiedzieć, przebyła kilka wieków bez najmniejszéj napaści.

11) Trzas. Bożek przestrachu, tremor, Tromos.

12) Dusz tysiące lata. Ptactwo i duchy są to dwa pojęcia całéj starożytności wspólne; w naszych gminnych poezyach mnogo takich przykładów; np. kozak umierając prosi, aby mu na mogile kalinę zasadzono:

budut ptaszki prylitaty, kałynońku jisty,
budut meni prynosyty wid myłoji wisty.

W Ossyanie psy przeczuwają zbliżenie się ducha.

13) Grzebać w mogiły. W pierwotworze stoi: „pohrzebat" nie wiem dla czego professor Svoboda powiada w objaśnieniu, że to znaczy palenie ciał umarłych — tego ja tu nie widzę; przy następnéj pieśni o Czestmirze powiada, że palą umarłych, lecz w téj nie masz żadnéj o tém wzmianki.

14) Z dwoma zębami. Trudno tu wyobrazić sobie herbowy znak, bo w tak odległéj starożytności słowiańskiéj nie znano ich wcale. Prędzéj domyślać się należy dwóch kolców przy tarczy, którą tym sposobem wbijano w ziemię, i walczono za nią jak za murem.

15) Pod drzewa podłoży. Z tego miejsca, jak i z innych w téj pieśni, mamy ciekawe szczegóły dawnych obrzędów ofiarniczych.

16) Już tarczę z tarczą. Opisanie falangi do szturmu, jako też całego oblężenia, przekonywa, że Czesi biegłymi w sztuce wo-

jowania byli. Naruszewicz, opisując oblężenie Niemczy (Zabota) z czasów Bolesława Chrobrego, powiada, że robiono z drzewa buksztele, i te podmykano pod mury: u dołu onych wieszano tarany, na górze stawali zbrojni oblegający, i przez zwodzone mosty, na mury rzucane, wpadali do twierdzy.

17) Skała bogów siedziba. Zapewne to Hromolan przy Miliszowie.

18) Hojną obiatą. Niech kto nie sądzi, że ten wyraz żywcem z czeskiego przyswoiłem; był on u nas od niepamiętnych czasów w znaczeniu ofiary używany, jak to na dowod ze słów następnych widać: „aby dawał chwałę i obiatował Panu zastępów." (Z I Księgi Królów I cap.)

19) Pokąd nie spłonie trup. Podobnie się i poprzedzająca pieśń kończy. Pogrzeb zawsze był wielkiej wagi obrzędem w całej starożytności. Mniemano, że dusze niepogrzebionych nie mają spoczynku. Co Nestor mówi o Radymiczanach i Wiatyczanach, nie od rzeczy będzie tu przytoczyć: „I aszcze kto umieraszczy, tworiachu Tryznę nad nem, i posem tworiachy kładu weliki, i wozłożat na kładu mertweca, i sożyhuchu, i po tym sobrase kosti wkładachu w sosud mał, i postał na stołpie, na putech" i t. d.

W Czechach dla uspokojenia dusz stawiano na rozstajnych drogach pewny gatunek amfiteatru, i w maskach przedstawiano cienie umarłych; poświęcając takowe gry ich pamiątce, co dowodzi uczucia i przywiązania do krewnych i przyjaciół z tego świata zeszłych, oraz dowodzi wierzenia w nieśmiertelność duszy, lubo Dytmar i Kozma prazki twierdzą, iż Słowianie życie ludzkie doczesném być uważali. (Patrz Koz. księga III pod r. 1093 i Dytm. Chron. księga I.—Slavi, powiada Dytmar, qui cum morte temporali omnia putant finiri).

20). Zważcie i um zestrzelcie. Śpiewak Igora, w podobnéj myśli, z większą jednak dobitnością, wyraża się: „i krzepkością swoją um ściągnął."

21) Hostajnów. Wzgórek ten Hostein zwany, widać na nim ślady szańców.

22) Chan. W pierwotworze stoi wszędzie cham.

23) Z luny urokiem. Zostawiłem nietknięty wyraz czeski luna—księżyc; w rossyjskim także: łuna, porów. polski łona.

24) Dwie dziewice. Takąż liczbę podaje powieść o Dziewinie, dziewiczym grodzie (Maidenburgu) w Morawii, podług której pan zamku jakąś mongolską księżniczkę z dwiema drugiemi pannami zamordował i skarby ich złupił, a ciała oddał przepaści. Następnego ranku trzy skały pogroziły zamkowi za popełnienie zbrodni. Szczególna rzeczu że lud podobne wspomnienia wiąże zawsze z dziwnemi wypadkami, zdarzającemi się w przyrodzeniu. Wartoby zbierać podobne powieści (pohadki), póki ich nowoczesna nie zadepcze oświata, a z niemi tyle, dziejowych szczątków, tyle pomników patryotycznych ducha ludu.

25) Guślarze... Mowa tu o Szamanach, kapłanach pogańskich. Podówczas Mongołowie trzymali się buddaizmu, który z Chin przez Fo przyjąć mogli byli. Mongołowie w XV wieku chwycili się islamizmu. Godna tu uwagi wróżba o pomyślnym wypadku bitwy.

26) Wstań gospodyni! Wyraz dawny staropolski, dziś zapomniany w tém znaczeniu. Dla wracającego Kazimierza śpiewał naród: „a witajże, miły gospodynie!"

27) Weston. Z nazwy widać cudzoziemca nie Czecha. Svoboda rozumie go być Anglikiem.

28) Turjary. Przyrównanie zgodne z duchem narodowym Słowian. Śpiewak Igora wszędzie tego porównania używa z epitetam buj albo jar. Mnóztwo miejsc w słowiańskich ziemiach bierze jego nazwę: w Czechach Tursko, w Polsce Turów w lasach Polesia. U gminu obrócił się w przysłowie, np. skakać tura, chodzić turem (ubierać się w kożuch obrócony włosem do góry); w zbiorze pieśni galicyjskich napadłem na wiersz: „wyhołosyły siroho tura z łuhu" U Słowian nakoniec pogańskich Radegast miał na piersiach wyobrażenie głowy tura.

29) Do bitwy w leśne rogi zadzwonią. Opis bitwy; taki obraz jakże wysoko w Igorza oddany! Dla porównania przywodzę wyborny Augustyna Bielowskiego przekład:

Takie to niegdy ścierały się mocy!
Lecz takiéj wojny nie słyszano jeszcze:
Od rannych świtów do nocy, od nocy
Do świtu, gęste strzał leją się deszcze.
Słychać grzmot szabel śród trzasku oszczepów
W dalekiéj ziemi Połowieckich stepów,
A czarny obszar końskiemi kopyty
Zorany, kośćmi zasiany, krwią zmyty,
Wydał dla Rusi plon bujny—niedolę...

30) Kruty. Wyraz pierwotworu; nasze słowo: okrutny, zrobiono z niego.

31) Grot zatruty. Kaleny; podobny przymiot śpiewak Igora nadaje szablom i strzałom. Szyszkow w objaśnieniach do Igora, źle to wyrazem: ognisty albo rozpalony, wykładał

32) Jarosław. W chwili ostatecznego rozstrzygnienia, gdzie już wszystko zdaje się być straconém, wprowadza piewca bohatera ze swego narodu w całym blasku. Wielki geniusz sztukmistrza musiał go zagrzewać, bo i następne przyrównanie jest wyborne.

33) Hana. Najżyźniejsza w Morawii okolica, nad rzeką tegoż imienia. W zakończeniu widać, jak śpiewak umiał utkać wszystko w jedną misterną całość.

34) Niemieckich Sasów. Nazwa ta zdaje się brać źródło od niemoty, niemowy, bo dla Słowian nieobeznanych z językiem Germanów, ten ludek tak dobrze jak niemym zostawał; w téjże saméj myśli może i Jazygowie przezwani byli, których mowa dla Słowian zrozumiałą była. Przeciwnie zaś, w gockim „Slav" znaczy niemego bez głosu

35) Z g o r z e l s k i c h. Gorzel nazywało się dawniéj Drebanowem; podobno że było stolicą hordy Słowian Syrbów, zwanych Drewobanami czyli Drewlanami, od lasów. Zgorzenie jego przypadkowe odmieniło mu nazwisko, i zamiast Drebanowa przyjęto potém nazwę Zgorzelic, którą w niemieckiéj mowie na Görlitz przechrzczono. (Narusz. Hist. Narod. Polsk. T. I na karcie 60). Mylnie nasi niektórzy pisarze Brandeburg zowią Zgorzelnią. Niemcy wywrócili go z nazwy słowiańskiéj Branibora (Custodia Silvae). Witykind, pisarz X wieku, nazywa go Branaburgiem.

36) Z ł o m u. W pobliżu zamku Trosków, jest po dziś dzień tegoż nazwiska, o czém się już w dziejowém objaśnieniu do téj pieśni wprzód nadmieniło.

37) W ł a d y c y. Rządcy kraju w czasie pokoju, w wojnie wojewodowie.

38) S t a n ę l i k r a j l a s u. Gdzie dzisiejszy Strachów, podówczas rozciągał się bór.

39) S k r y j ą s i ę w P r a d z e. Miasto samo więc nie jest otoczone murem? tego trudno przypuścić. Czy go nie obsadzili Polacy załogą? czy też, że Odalrych ze związkowymi w porozumieniu zostawał?

40) D o b r o n y. Tak pisali Zygmuntowscy pisarze; nazwa ta pochodzi od kraty żelaznéj, najeżonéj kolcami, używanéj do zamykania bram.

41) N a c a ł e n i e b o i t. d. Słowo w słowo tak opisana radość z powrotu Igora do Rusi:

„Głowie krom barków, barkom kromia głowy,
Kromia Igora biada Rusi żyznéj!..
Słońce na niebo, Igor do ojczyzny
Wraca; tłum dziewic nad Dunajem śpiewa,
I płyną pieśni morzem do Kijewa."

42) P o s ł u c h a j c i e m ł ó d ź i t. d. Pieśń ta, podobnie jak i Jarosław, śpiewaną być musiała przed słuchającym gminem. W szacownym zbiorze Wacława z Oleska znajdują się ruskie piosneczki podobnie zaczynające się, np.: „Czy czuły wy, dobri lude, taku nowynoczku?" i t. d. Turniej w czeskim pierwotworze: siedanie; my nic podobnego nie mamy; tournoi, wyraz francuzki.

43) K i b i ć g ł a d k a i t. d. Opis piękności dziewiczéj zmysłowie oddany; w jednéj piosneczce ruskiéj dwa wiersze:

A wsze lico take biłe,
Kuda hlanesz, wsiuda myłe,—

pewnie niemniejszéj są wartości.

44) B o N i e m c o w i e n a m s ą s i a d y. I tu, i po innych miejscach tego zbioru widzimy, jak wielką musiała być nienawiść Czechów do Niemiec, jak wielki ucisk ze strony ostatnich.

45) T u r z a g ł o w a. Spostrzegamy tu początki herbów; wszystkie one zapewne podobnym tworzyły się sposobem.

46) Wybiega szyją piękną i t. d. Cudownie określony skon młodzieńca! I w Igorze na podobne natrafiamy wiersze:

Sam jeden duszą perłową ulata
Z chrobrego ciała przez złote gardziele.

Czytając *Jelenia*, niepodobna nie przypomnieć sobie pogrzebowéj fantazyi Szyllera:

Mild, wie umweht von Elysiumslüften,
Wie aus Auroras Umarmung geschlüpft,
Himmlisch umgürtet mit rosigen Duften,
Florens Sohn uber das Blumenfeld hüpft etc.

46) Zazulka czyli kukułka. Ptak poetycki naszego ludu, we wszystkich pieśniach gminnych słowiańskich pełno go wszędzie równie jak sokołów, kawek i t. d.

48) Miletyńskie lasy. Miletyn, miejsce znane w Bydżowskim obwodzie.

40) Błonka. W pierwotworze blunka; na Podlasiu na Białorusi błonkami nazywają cienko łupane łuczywo; mają one kształt długich i dość szerokich deszczułek. Rakowiecki (w Prawdzie Ruskiéj na str. 238, T. I) domyśla się, że dawni Słowianie, nie mając innych materyałów do pisania, mogli pisać na drzewie. Ależ trudno, zdaniem mojém, przypuścić, aby dziewica chciała, w tém miejscu przynajmniéj, taką błonkę rozumieć: musi ona tu być lekka i cienka—kiedy ją chce skowronkowi powierzyć.

50) Otawa. Pospolicie nazywana Watawa, strumień, z którego dobywano złoty piasek. Przy Zwiekowie (Klingenberg) łączy się z Wełtawą.

51) Radburza. Rzeka, wpada pod Pilznem do Mrzy, a ta ostatnia pod Pragą do Wełtawy. Niedaleko od Piltza jest miejsce, noszące nazwę: Stiahlau; lecz gdzie szukać nad Otawą siedliska Chrudosza, to trudno oznaczyć. W owéj okolicy do dziś dnia krąży powieść w ustach gminu o dwóch powaśnionych braciach, z których jeden miał siedzieć na Radynie niedaleko Stiahlau, a drugi na Wildsteinie.

52) Klenowicze. Balbin między towarzyszami Czecha wymienia Klena.

53) Trzy rzeki. Podług Pelcela, który wyprowadza Czechów od Biało-Chrobatów w górach Karpackich. Mogły to być rzeki: Wisła, Odra i Elba—a pewniéj jeszcze Gran, Waga i Morawa.

54) Łastówka (wlasztowica): zdaje się, że to nazwa drugiéj siostry powadzonych braci, która na dworzec księżny przylatuje. Albo też, co równie utrzymywać można, jaskółka jest figurą poetyczną Słowian, bo i w zbiorze Andrzeja Kaczica, w pieśni o Radosławie, na podobne natrafiamy miejsce:

Joś zorica nezabijelila,
Ni danica pomilila lica.

Lastawica ptica zapirala
Radoslavu Kralju pripivala.

55) Na przedprożu. W pierwotworze stoi poprożiu; pokazuje się z tego, że dawniéj sądy zagajano w przysionkach, lub na dziedzińcu zamkowym.

56) Lubica około Podjebradzia. Chełm Dobrosławska może jest dzisiejszy Kralewy Hradec, który miał być (podług Hajka) założony przez władykę Dobroslawa. Krkonosze, góry olbrzymie. Pamięć Truta żyje w nazwie miasta Trutnów, noszącego w herbie smoka. San czyli smok, zdaje się rzeka San, od krętego swego łożyska tę nazwę dostała. Sazawa, rzeka, powyżéj Pragi w Wełtawę wpadająca.

57) Płomień, zwiastun prawdy. Te dwa wiersze przypominają sądy boże, które ile się zdaje, Słowianom przez chrześcian narzucone były.

58) Do świętego sędu. Naczynie, waza; wyraz ten używany był często przez Zygmuntowskich pisarzy. W Psałterzu Malgorzaty, wydanym przez A. Borkowskiego, natrafiam często na to wyrażenie: „Władać będziesz nad nimi w mietle żelaznéj, a jako sąd zdunowy rozbijesz je."

59) Zwólcie męża. Wybierzcie wolą. Matka zwolena— wyrażenie w pieśni Bogarodzicy.

60) Chadza z kmiećmi, lachy, władykami. To miejsce nie jest bez trudności. Kmieć w niektórych miejscach rękopisu, jak w Benisz Hermanów, bywa brany za starca wieśniaka, a w innych miejscach oznacza (jak mówi Maciejowski) znakomitego ziemianina i radcę. I w rzeczy saméj, w tém miejscu nie inne ma znaczenie, kiedy wspólnie z lechami (stanem rycerskim) i władykami (naczelnikami pokoleń) na wiece radzić przychodzi.

PIEŚNI MISTYCZNÉJ MIŁOŚCI.

I.

S. FRANCISZEK Z ASSYŻU.

HYMN STWORZENIA

CZYLI

O BRACIE SŁOŃCU.

Altessimo omnipotente bon signore!

O wszechmogący, dobry gospodynie!
Błogosławieństwo, chwała, cześć we wszystkiém
Tobie jednemu, bo od Ciebie płynie—
I człek niegodzien nazwać cię nazwiskiem.

Chwała bądź Panu z tworów Jego likiem,
Szczególnie z bratem Słońcem, co obdarza
Dzionkiem nas, świeci swym własnym promykiem,
Jasno promienne, Boga wyobraża.

Chwała Ci! siostrze Księżycowi gwoli
I chwała gwoli tym gwiazdom na niebie,
Któreś rozsypał jak ziarnka na roli
Czyste, świetlane, by patrzały w Ciebie!

Chwała bądź Panu gwoli Wiatru bratu,
Gwoli powietrzu, chmurom i pogodzie,
By świat wilżyły i wiały po światu,
Ku twoich stworzeń dobru i wygodzie.

Chwała bądź Panu przez Wodę siostrzycę,
Czy źródła, rzeki napełnia czy morze—
Wszak pożyteczna i czyste ma lice,
I zawsze nizko ściele się w pokorze.

Chwała ci Panie w bracie Ogniu, którym
Przyświecasz mrokom i nocom ponurym;
O jak wesoło skrzą się jego głownie!
W pożarze tylko straszny niewymownie.

Chwała bądź Panu gwoli matce Ziemi,
Ona nas żywi i dźwiga na grzbiecie,
Wiosną się stroi kwiatami barwnemi,
Owoc w jesieni nam daje i w lecie.

Chwała bądź Panu, chwała w tych, co mogą
Przebaczać krzywdy dla miłości bożéj—
Cierpliwie w życiu iść krzyżową drogą:
Błogosławieni, którzy cierpieć mogą,
Pan im zbawienia wieniec na skroń włoży.

Chwała bądź Panu, i w téj siostrze naszéj
Śmierci cielesnéj, co nieunikniona;
A biada temu, który w grzechu skona,
A błogo temu, kto wolę Twą kona,
Bowiem śmierć druga już go nie przestraszy.

Niechże cześć, chwała, będzie Panu dana!
Pełńcie w pokorze służbę wedle Pana!

WALKA MIŁOŚCI.

In foco amor mi mise.

Miłością gorę bez miary,
W miłości wtrącony żary.

Mój oblubieniec młodzieńczy,
Mój rozkochany Baranek,
Gdy mię pierścionkiem zaręczy,
I w ślubny ustroi wianek,
Ciężkie okowy mi wkłada,
Piersi przebija żelazem —
Choć w kęsy serce się pada,
Kocham i gorę zarazem.

Serce spękało w kawałki,
Ciało upadło bez siły...
Miłością ciśnione strzałki
Całego mię zapaliły.
To mój kochanek tak strzela,
I straszy wojny obrazem:
Konam w rozkoszach wesela,
Kocham i gorę zarazem.

Umieram w saméj słodkości,
Mojéj nie dziwcie się śmierci,
Cisnął oszczepem miłości,
Nawskroś mi serce przewierci.
A na oszczepie wsadzone
Żelazo sto stop mające,
Przebodło na drugą stronę
Serce miłością płonące.

Oszczep się skruszył w méj dłoni,
Śmierć widzę na mnie zawziętą;
Chwytam tarcz—czy mię zasłoni?
Lecz i tę w sztuki pocięto!
Czém się od ciosów zastawię,
Gdy tak naciera zuchwale?
W proch starty, upadam prawie—
Miłością cały się palę.

Potém miótł takie pociski,
Że się już bronić przestałem,
A czując, żem śmierci blizki,
Na całe gardło krzyczałem:

„Zgwałciłeś prawa szrankowe!"
On na to kuszę wojenną
Wymierzył prosto mi w głowę...
Miłością gorę płomienną.

Pociski z kuszy miotane,
Tysiąco-funtowe bryły,
Ołowiem pooblewane
Gradem się na mnie waliły,
Tak gęstym, że nadaremnie
Chciałem liczyć strzał za strzałem
Z których każdy trafił we mnie...
Cały miłością gorzałem.

Nie chybił mnie ani razu,
Tak pociski celne były—
Padłem podobien do głazu
I powstać nie miałem siły.
Z pobitém, podartém ciałem
Niby leżący na marach,
Bez tchu na ziemi leżałem,
W miłości gorejąc żarach.

Umarły! lecz nie trup jeszcze,
Tylko zabity rozkoszą—
Wtém przejdą ogniste dreszcze,
Własne mię siły podnoszą.
Jużem tak silny, że mogę
Na przewodników skinienie,
Do nieba puścić się w drogę,
Miłością wtrącon w płomienie.

Do zmysłów wróciwszy potém,
Bój Chrystusowi wydaję,
W zbroi, z nastawionym grotem,
Najeżdżałem jego kraje...
Spotkanego jakem schwycił,
Pótym tłoczył mym ciężarem,
Pókim zemsty nie nasycił,
Miłości palony żarem.

Syty tą zemstą i złością
Zgodę zawarłem z nim wieczną—
Chrystus mię bowiem miłością
Zaraz ukochał serdeczną.
Jego miłością szczęśliwy,
Widzę w serca zachwyceniach
Wizerunek jego żywy...
W miłości gorę płomieniach

Miłością gorę bez miary,
W miłości wtrącony żary.

II.

ŚW. BONAWENTURA.

FILOMENA.

1.

Filomeno! dni wiośnianych
Zwiastunie i wieszczu,
Z tobą wraca pora miła
Bez chłodu i deszczu,
I pierś każdą wskroś przejmują
Twoje rzewne tony...
Leć tu do mnie mądry ptaszku
Leć, leć upragniony!

2.

Do mnie, do mnie! poszlę ja cię
Gdzie sam iść nie mogę,
Do miłego przyjaciela
Poszlę w górną drogę.
Twojéj słodkiéj lutni granie
Rozerwie smutnego,
Bo mój słaby głos nie w stanie
Wzbić się aż do niego.

3.

Litościwa ty ptaszyno
Wyręcz mię niezdarę,
Kochankowi zanieś memu
Choć słówek tych parę.
Mów, że gorę dlań miłością
Dziwną, niezmierzoną,
I że pragnę ujrzeć jego
Postać ubóztwioną.

4.

Jeśli spyta kto: dla czego
Wybrałem ja ciebie,
Abyś wieści niósł odemnie
Do Pana na niebie?
To odpowiedz, że twéj pieśni,
Jak mówią, dźwięk czysty
Bardzo sobie upodobał
Pan nasz wiekuisty.

5.

Miłe ptaszę! słuchaj rady,
Ona cię zachęci,
Bo jeżeliś pieśń ptaszęcą
Zachował w pamięci,
To gdy natchnie cię Duch Święty,
Ty piejąc w pokorze,
Mógłbyś zostać muzykantem
Na niebieskim dworze.

6.

Gadka chodzi o słowiku,
Że gdy zgon swój czuje,
Na najwyższy, na wierzchołek
Drzewa wylatuje.
I rozpuści swój gardziołek,
Od rannéj jutrzenki
Coraz inne, coraz nowe
Zawodzi piosenki.

7.

I nim jeszcze wstaną zorze,
Już dzwoni w krzewinie,
A gdy słońce wstanie złote
O pierwszéj godzinie,
Coraz głośniéj piosnka jego
W gaju się odzywa,
Oj! to grajek nieznużony,
Nigdy nie spoczywa.

8.

Koło trzeciéj już godziny
Aż tak się rozkrzyczy,
Że i miarę traci, wszystek
Rozpłynion w słodyczy.
Gardziołek mu pęka prawie
Od tonów nawału;
Do piękniejszych coraz pieśni
Przybywa zapału.

9.

Lecz w południe, kiedy słońce
Najmocniéj dopiéka,
Ot, w ostatniém wysileniu
Pęka pierś słowika.
Oci! oci! — świergot zwykły,
Wydaje ptaszęcy,
I zmysły go opuszczają,
I nie śpiewa więcéj!

10.

Słodka lutnia Filomeny
W kawałki rozbita,
A otwarty dziobek jeszcze
Tony jakieś chwyta...
I już kona—gdy dziewiąta
Godzina uderzy—
Ot już nóżki wyciągnęła
I nieżywa leży.

11.

Owoż drogi przyjacielu,
W krótkości podaną
Historyjkę o tym ptaku
Masz opowiedzianą.
Lecz przypomnij, co mówiłem,
Że ten śpiew prześliczny,
Z Chrystusowym cnym zakonem
Ma sojusz mistyczny.

12.

I cóż znaczy ta ptaszyna
I czémże cię wzrusza?
Filomena — to cnot pełna
I miłości dusza.
Co pamiętna swéj ojczyzny
I tęskniąca do niéj
Takie hymny czarujące
Wciąż dzwoni, a dzwoni.

13.

By się wyżéj, wyżéj jeszcze
Wzbiły jéj nadzieje,
Więc mistyczny jakiś dzionek
Dla niéj zajaśnieje.
Łaski, które Bóg nam daje
Mimo nasze winy,
W onym wielkim dniu mistycznym
Są jakby godziny.

14.

Świt poranny przypomina
Byt nasz na téj ziemi;
Rano stworzył Bóg człowieka
Rękoma swojemi.
Prima znaczy chwilę, w któréj
Bóg w człeka się wcielił,
Tertia mówi, jak doczesny
Żywot z nami dzielił.

15.

Sexta znowu, jak się oddał
Pan nasz w zdrajców ręce,
Jak był związan, wleczon, bity,
Jak w krzyżowéj męce
Gwoździami mu ogromnemi
Ciało kaleczono,
Opasano świętą głowę
Cierniową koroną.

16.

Nona—to śmierć Chrystusowa.
W godzinie téj wielkiéj
Spełniła się do ostatniéj
Ofiara kropelki.
Moc szatana rozerwana,
Sam zwątpił o sobie.
W wieczór ciało Zbawiciela
Pochowano w grobie.

17.

Smutna dusza, rozmyślając
O dniu ogrojcowym,
Śmierć dla siebie wyczytuje
W tém drzewie krzyżowém,
Kędy mocny lew przybity
Zwyciężył swe wrogi,
Bramy piekieł przełamawszy,
Śmierć cisnął pod nogi.

18.

Więc na nowo serca struny
W górny ton nastroi
I ze świtem nowy polot
Nada pieśni swojéj.
Wyśpiewując chwałę Pańską
Pod niebios sklepieniem
Za doznany cud na sobie
Być jego stworzeniem.

19.

—O mój Stwórco!—tak doń mówi—
Ty, dając mi życie
Ze skarbnicy swéj miłości
Czerpałeś sowicie.
Boś ukochał bez zasługi
Mnie z nizkiego światu,
Jeszcześ zrobił uczestnikiem
Swego majestatu.

20.

Jakież wielkie na mnie spadło
Na raz dostojeństwo,
Gdyś mnie stworzył, wielki Boże,
Na Swe podobieństwo!
I do większychbyś zaszczytów
Jeszcze wzniósł mię Panie,
Gdyby było niezgwałcone
Twoje przykazanie.

21.

Twoja wola była taka,
Bym się oddał Tobie
I do górnéj téj ojczyzny
Tęsknił w każdéj dobie.
Tyś mię żywił i nauczał,
Jakby dziecko własne,
Abym kiedyś mógł zamieszkać
Twoje niebo jasne.

22.

Odtąd chciałeś, bym z anioły
Sam stał się aniołem
A co większa, chciałeś we mnie
Zamieszkać pospołem.
Czémże takie dobrodziejstwo
Odwdzięczyć Ci Panie?
Nie wiem—chyba całe moje
Oddam ci kochanie.

23.

O miłości ma jedyna!
Słodyczy poniku!
Ty serc szczerze kochających
Zbawczy pastewniku!
Co mam tylko i mieć mogę,
Na duszy i ciele,
Wszystko Tobie ofiaruję,
I u nóg Twych ścielę.—

24.

Takie *oci*, serce rade
Choć miłość je gnębi,
Śpiewa, wielbiąc swego Stwórcę
Z całéj ducha głębi.
Jak nie kochać, jak nie nosić
W sobie Stworzyciela,
Co swojemu rąk zlepkowi
Tyle łask udziela?

25.

Tak o świcie śpiewa dusza:
Lecz ledwo rozdnieje,
O godzinie pierwszéj hymnem
Pobożnym zapieje.
Sławiąc czas ten, gdy na ziemię
Smutną i zbolałą,
Pan nasz zstąpił i człowiecze
Wziął na siebie ciało.

26.

Wtedy dusza roztopiona
W płomieniach miłości,
Drżąc rozmyśla o Wszechmocnym,
Co na wysokości.
Kwili teraz ludzkim płaczem
Malutkie pachołę,
Przychodzące stare grzechy
Gładzić na padole.

27.

Rozszlochana woła wtedy:
—O miłości źródło!
Cóż w ubogich Cię pieluszkach
Na ziemię przywiodło?
Któż Ci radził wziąć na barki
Całe brzemię trudu?
Niezmierzona miłość Twoja
Sprawcą tego cudu.

28.

Jakaż miłość potężniejsza
Kiedy od Twéj była,
Gdy samego niebieskiego
Pana zwyciężyła,
I zmusiła okutego
W jéj święte łańcuchy,
Że wziął na się pachołęce
Ubogie pieluchy?

29.

O prześliczny mój malutki,
Niezrównane dziecię!
Szczęsny, kto mógł wtedy Tobie
Oddać czołobicie,
Nóżki, rączki ucałować,
Z łez otrzeć oczęta,
Pieścić Ciebie, pielęgnować,
O dziecino święta!

30.

O! i czemuż mi nie dano
Bawić Go, rozśmieszać,
Gdy zakwili, z jego łzami
Moje łzy pomieszać?
Lub rozgrzewać zziębłe rączki
Czułemi uściski,
Czuwać we dnie, czuwać nocą
U jego kołyski?

31.

Przeciężby się nie przelękło
Dziecię mym widokiem,
I owszemby popatrzało
Uśmiechliwém okiem,
I na płacz mój łzyby miało
Dla mojéj pociechy,
Litościwie odpuszczając
Wszystkie moje grzechy.

32.

Szczęsny taki, coby wtedy
Wraz z Najświętszą Panną,
Pełnił koło dzieciąteczka
Służbę nieustanną.
I od matki pozwolenie
Dostał, choć niegodzien,
Rączki Syna Najświętszego
Ucałować codzień.

33.

Ochoczobym wodę nosił
Na barkach studzianą,
Malutkiemu na kąpiołkę
Co wieczór i rano.
I Najświętszą wyręczając
Pannę w jéj kłopocie,
Prałbym święte pieluszeczki
I wieszał na płocie.—

34.

Gdy pobożną duszę przejmie
Na wskroś to uczucie,
Pragnie tylko żyć w ubóztwie,
W pokorze, pokucie.
Dla niéj odtąd trud rozkoszą,
Cierpienie słodyczą,
Za to cały przepych świata
Pokusą zwodniczą.

35.

Rozważając Jezusowe
Latka niemowlęce,
Tę godziną pierwszą sławi
W serdecznéj piosence,
A gdy trzecia się przybliża,
Pamięcią się trudzi,
Zebrać wszystko, co On cierpiał,
Gdy nauczał ludzi.

36.

W łzach tonącą, jakaż wtedy
Boleść ją ogarnie,
Kiedy widzi jakie Pan nasz
Przechodził męczarnie!
Głód, pragnienie, chłód i upał,
Płynący pot krwawy,
Wszystko znosił dla grzeszników
Dobra i poprawy.

37.

Głos miłości rozgrzan żarem
W wyższe wpada tony,
Oci! oci! wciąż wygrywa
Ptak błogosławiony.
Rozkosz świata przyrównywa
Do brudnéj kałuży,
Śmierci pragnie, bo w tym brudzie
Nie wytrzyma dłużéj.

38.

Woła przeto:—O mój Panie!
O Mistrzu mój drogi!
W Tobie tułacz ma ucieczkę,
Opiekę ubogi;
W Tobie grzesznik żałujący
Zdroje pociech bierze;
W Twych ramionach się pomieszczą
Dobrzy i szalbierze.

39.

Tyś jest miarą sprawiedliwych,
Dla życia Tyś wzorem,
Dla grzeszników Tyś zwierciadłem
I ścisłym klasztorem.
Tyś balsamem, który goi
Niezgojone blizny;
Tyś balsamem, który leczy
Z suchot i zgnilizny.

40.

Ztfundowałeś pierwszą szkołę
Miłości w tym świecie,
Nauczając: „Panu chwałę
Oddawać będziecie;
A marnościom téj tu ziemi
Kto służbę wypowie,
Zyszcze białą szatę, w jakiéj
Chodzą aniołowie."

41.

Próżny światek z téj się szkoły
Naśmiewał zuchwale,
I jéj wielkim obietnicom
Ucha nie dał wcale.
Lecz Twa dobroć sobie radzi
Ze złymi inaczéj,
I kto serce ma skruszone,
Temu wraz przebaczy.

42.

Miłosierdzie pierwszą cnotą
Jest u Ciebie, Panie!
Ty o miłość więcéj stoisz
Niż o ukaranie.
Karasz słowy, a nie biczem
Nieposłuszną dziatwę,
I obudzasz w dobroć Twoją
Zaufanie łatwe.

43.

Miłosierdzie nad niewiastą,
Tą cudzołożnicą,
Kto okazał, kto zasłonił
Swą świętą prawicą?
Magdalena ma od ciebie
Win swych przebaczenie,
I grzesznicę oblewają
Łask Twoich strumienie.

44.

Któż policzy wszystkich, którzy
Z Twego korzystali
Miłosierdzia, gdyś ich dźwigał,
Kiedy upadali?
Lub oczyszczał pokalanych,
Tchnął w nich dobre myśli!
Aby w sidła zastawione
Szatańskie nie przyszli?

45.

Szczęśliw, kto się mógł zapisać
Pod Mistrza téj szkoły,
I z ust jego miód wysysać,
Jak z kwiatów ssą pszczoły!
Miód niebiański, słodziuteńki,
Co zdrowiem napawa,
I przy którym każda inna
Nie smakuje strawa! —

46.

A tak dusza rozmyślając
O tém i o inném,
Gotuje się uczcić Pana
Śpiewaniem dziękczynném.
I gdy w sercu żar miłości
Najpilniéj roznieci,
Na raz śpiewać zaprzestaje
O godzinie trzeciéj.

47.

Oci! oci! jęczy dusza
Z przejęciem głębokiém
I Chrystusów żywot ziemski
Zlewa łez potokiem,
Nie przestając gorącemi
Usty Pana sławić,
Z wycierpianych mąk aż tyle,
Żeby grzeszne zbawić.

48.

O południu, kiedy słońce
Najmocniéj dogrzewa,
Dusza żądzą wysilona
Na poły omdlewa,
Bo miłości żądło coraz
Głębiéj serce krwawi.
I już męka Chrystusowa
Jéj oczom się jawi.

49.

Rozszlochanéj się przedstawia
Niewinny Baranek,
Bieluteńki, a na głowie
Ma cierniowy wianek.
Obie nogi, ręce obie
Gwoździami przebite,
Ciało święte posiniało,
Ranami okryte.

50.

Oci! oci! lamentując
W zachwycenie wpada.
Oci! oci! już umieram,
O biada mi! biada!
Mnie nie widzieć Go na krzyżu
Z przebitym już bokiem!
Ani widzieć jak świat żegna
Konającém okiem!

51.

— Trzebaż było — mówi ona —
Baranku mój drogi,
Wydać się na takie męki
I na zgon tak srogi?
Lecz się stało! by nie szkodził
Nieprzyjaciel wieczny,
Moc miłości Twéj go zgniotła,
Baranku serdeczny!

52.

A ta miłość ma do siebie,
Iż rzeczy poziome
Chce ożenić ze szczytnemi,
A z trwałém znikome.
A jakeś nas umiłował,
Śmierć Twoja dowodzi,
Gdyś się wylał za nas wszystkich
W krwi własnéj powodzi.

53.

Przyjacielem Tyś jest nowym,
Jako moszcz winnicy —
Tak mądrości zwie cię księga,
Nie robiąc różnicy.
Wszak z jagody w każdém gronie
Słodki sok wytryska:
Ot Twe żyły się porwały,
Krew wyszła z nich wszystka.

54.

Kto te znaki pokajaném
Sercem w siebie bierze,
Ten uwierzy, że się Chrystus
Oddał nam w ofierze.
Cześć dla znaków tych mię broni
Od sideł szatana,
Wściekłość grzechu by pokonać
Tylko im moc dana.

55.

Kiedy patrzę na te znaki,
Oci! oci! śpiewam.
Na tę wątłą miłość dla Cię
O jakże się gniewam!
Kark poddałbym chętnie jarzmu,
Bicz zniósłbym w pokorze,
Jak z miłości dla mnie wziąłeś
Kolczastą obrożę.

56.

Na tę wędkę serce Twoje
Ułowić się dało,
I by ludzkość zbawić, na krzyż
Przybito Twe ciało.
Jak ponętna była pastka,
Jeśliś uwiązł na niéj,
By wybawiać wciąż duszyczki
Z piekielnéj otchłani!

57.

Skryty haczyk nie skryłby się
Pewnie przed Twém okiem,
Gdyś na widok ostrych kolców
Nie cofnął się krokiem.
Choćbyś nierad był, o Panie,
Uwięznąć na wędce,
Toś się oprzeć nie był w stanie
Potężniejszéj chętce.

58.

Mnie chudzinę ukochawszy,
W sercuś swém zapisał,
Kiedy za mnie śmierci kolec
Krew Twoją wysysał.
A Ty Ojcu przedwiecznemu
Ofiarując życie,
Czyś win moich krwią Twą świętą
Nie spłacił sowicie?

59.

Nie dziwota, że mi serce
Usycha tęsknicą,
Gdyś jak rycerz mię pożądał
Mieć oblubienicą.
To też boleść serca mego
Coraz więcéj wzbiera,
Bo ot za mnie Jezus śmiercią
Okrutną umiera.

60.

Dość już jęczeć i w rozpaczy
Krzyczeć w niebogłosy.
Tak Job wydarł — i ja sobie
Wydrę z bolu włosy...
W boku Twoim wskroś przebitym
Gniazdeczko uklecę,
I konając w téj jaskini,
W inny świat ulecę.

61.

Nie odpocznę, póki razem
Nie umrę ja z Tobą.
Oci! oci! wołać będę
Oci! z każdą dobą...
I w pragnieniu tém szaloną
Stanę się i twardą,
Choćby ze mnie świat się cały
Natrząsał z pogardą. —

62.

Więc w przystępie szału woła:
— Pójdźcie tu oprawcy!
Na krzyż wbijcie mię chudzinę
Obok mego Zbawcy.
Z wszystkich śmierci ta śmierć jedna
Dla mnie upragniona,
Gdy konając, Ciebie Chryste
Obejmę w ramiona.

63.

Ten nie inny tylko kordyał
Uleczyć mię może
Z téj gorączki, co mi serce
Pali w każdéj porze.
W Tobie cudna moc lecząca,
Źródło łaski wszelkiéj,
Mój Zbawiciel da ochłodę
Na ten upał wielki.—

64.

Tyś łagodny lekarz, który
Nie męczysz, nie krajesz,
Nie próbując dzikich leków,
Zdrowie sercu dajesz.
Bo ci wszyscy, co miłością
Z Tobą połączeni,
Kładąc balsam ten na rany,
Są wnet uzdrowieni.

65.

O jak godną potępienia,
Świecie! twa ślepota —
Wróg cię męczy i kaleczy,
A on wciąż się miota
Przeciw temu, co nas trzyma
W swéj cudownéj pieczy,
I własnemi otwartemi
Ranami nas leczy.

66.

Czemuż nie chcesz, o człowiecze,
Wyryć w swéj pamięci
Tych mąk, jakie poniósł Chrystus
Dla nas z własnéj chęci,
Aby mocą swéj ofiary
Ze szatańskich sideł
Wybawić cię i osłonić
Opieką swych skrzydeł?

67.

On cię własném swojém ciałem
Pokrzepił chorego,
On krwią własną obmył ciebie,
Grzechem skalanego.
Do przybytku swego serca
Dał ci przystęp wolny.
Patrz, do jakiéj to miłości
Chrystus Pan nasz zdolny!

68.

O pokarmie Ty cudowny,
Rzeźwiący ruczaju!
Tych, co w Tobie zasmakują,
Prowadzisz do raju.
Ciało, krew Twą, kto pożywa,
Sił mu nie zabraknie;
Dusza chłodna i fałszywa
Strawy téj nie łaknie.

69.

Tylko zimny i leniwy
Umysł nie pojmuje,
Czemu Chrystus nam swe serce
Całe ukazuje,
Z ramion krzyża, gdzie rozpięty...
A czyż to nie jasne?
Aby w obec tego łoża,
Każdy miał swe własne.

70.

Na to łoże duch pobożny
Spojrzawszy, uczuwa
Jak go ciągnie coś ku niemu
I zaraz przykuwa.
Równie sokół gdy upatrzy
Kawał mięsa z góry,
Krąży nad niém bliżéj, bliżéj,
Nim wbije pazury.

71.

W téj godzinie duch zawoła
Miłością pijany:
—Słodkie łoże! Święte ciało!
I wy krwawe rany!
Czemuż z Tobą nie cierpiałem
Na drzewo przybity?
Czemuż Panie mi nie dano,
Bym skonał jak i Ty?

72.

Ominął mię zaszczyt wielki,
Małom miał zasługi,
A więc wydam się na męki
I wezmę krzyż drugi.
Płakać będę bez ustanku
I smutkiem się strawię,
Póki zlepek ten mój ziemski
Ziemi nie zostawię!—

73.

A tak dusza rozkochana
Im więcéj goreje,
Tém się bardziéj zmysły mącą
I ciało martwieje.
Usta ledwie coś bełkocą
W ostatnim wybuchu
Téj miłości, członki słabną
I leżą bez ruchu.

74.

Pękła lutnia, pękł gardziołek
Słodziuchny i śpiewny,
Język tylko drga i głosik
Wydaje niepewny.
Lecz westchnieńmi więcéj mówi
Niż słowa wyrażą —
Toż niemało nieme skargi
U Pana zaważą!

75.

Tém się tylko bolejąca
Duszyczka pociesza,
Że do westchnień z dna dobytych
Gorące łzy miesza.
Że od Jego rąk przebitych
I krwawego czoła,
Ani serca, ani oczu
Oderwać nie zdoła.

76.

I tak w swoim Oblubieńcu
Całkiem zatopiona,
Jakby się jéj Chrystus zjawił,
Gdy na krzyżu kona,
Ciągle widzi krzyż przed sobą
I ciało skrwawione;
Gdzie kochanka bytność czuje,
W tę zwraca się stronę.

77.

Płacze, jęki i westchnienia
Stłumione i głośne —
To jedyne jéj potrawy,
Jéj uciechy znośne.
Prawdziwa to męczennica,
Co dla chwały bożéj
Coraz sobie nowe męki
Wymyśla i mnoży.

78.

I zerwawszy już do reszty
Z tą ziemską ojczyzną,
Gardzi światem i tą jego
Rozkoszną trucizną.
Lecz o *nonie* już na prawdę
Z śmiercią się spotyka,
Żar miłości przegryzł ciało —
Bramę jéj odmyka.

79.

Bo gdy wspomni w téj godzinie
Na wołanie owe:
„Spełniło się!" kiedy Chrystus
Z krzyża zwiesił głowę, —
Taki jęk ze siebie wyda,
Jakby głosem Pana
Została na wskroś przeszyta
I zamordowana.

80.

Pchnięciu włóczni potężnemu
Ani się opiera,
I jak rzekłem, w téjże chwili
Szczęśliwie umiera.
Niebios brama promieniąca
Przed nią już otwarta—
Chóry Świętych ją witają, —
Tych zaszczytów warta.

81.

Śpiewać *Requiem* takiéj duszy
Wcale niepotrzeba;
„*Gaudeamus*" tu właściwsze:
Wszak poszła do nieba!
Za taką się męczennicę
Jak za grzeszną modlić,
Jedno znaczy, co cześć świętych
Poniżyć i spodlić.

82.

Cześć ci duszo! cześć zbawiona!
Cześć, o różo wonna!
O lilijko dolin biała!
O perło koronna!
Czystość twoja nic wspólnego
Nie ma z ziemskim brudem,
A śmierć święta zasługuje
Nazywać się cudem.

83.

Dostałaś się tam szczęśliwa,
Gdzie pokój króluje...
Oto już cię oblubieniec
W ramiona przyjmuje.
Połączona z Jego duchem
W jeden węzeł zgodny —
Otrzymasz z ust ukochanych
Pocałunek miodny.

84.

Już się oczka wypłakały
I patrzą pogodnie;
Usta owoc twych nadziei
Teraz uszczknąć godne.
Bo Ten, co cię w walce życia
Darzył łask szafunkiem,
Teraz broni cię od złego
Ust swych pocałunkiem.

85.

Mów, mów, czemu ci duszyczko
Łza w oczach się kręci?
Czy w tym raju ci zostało
Coś z ziemskiéj pamięci?
Wszak On jeden nad wszystkimi,
A tyś z nim złączona?
Wyżéj piąć się nad najwyższe
To już rzecz szalona.

86.

Lecz już kończę, aby pieśnią
Zbyt długą nie nużyć,
Bo gdybym ją niebiańskiemi
Dziwy chciał przedłużyć,
I wyśpiewał, w jakiém szczęściu
Opływa tam dusza,
Wzięłoby mię za szaleńca
Lub faryzeusza.

87.

Niech tam sobie, o mój bracie!
Światek co chce gada:
Wzorem nowéj męczennicy
Ty żyj — moja rada.
Gdy się staniesz jako ona,
Uproś Pana w niebie,
By męczeńskiéj téj piosenki
Nauczył i ciebie.

88.

O siostrzyczko! wyśpiewujmy
Codzień ten hymn święty —
Nie zaniedbać go dla marnéj
Światowéj ponęty;
Owszem, serce niech się skrzydłem
Melodyi téj wzbija,
A przyjmie je w swe objęcia
Jezus i Marya.

89.

A więc siostro, uderz w struny,
Uderz w serca lutnię,
Ochrzcij łzami ją, niech jęczy
Jak męczennik smutnie.
I wygrywaj Chrystusowi
Co tylko sił stanie,
A do siebie Pan cię weźmie,
W niebie da mieszkanie.

90.

Wtedy jęki twe ustaną,
Skończą się mozoły,
Gdy się ujrzysz otoczoną
Jasnymi anioły,
I wśród pieśni pójdziesz wyżéj,
Gdzie cherubów grona,
Przedwiecznemu niebios Panu
Duszo poślubiona!

III.

BŁOG. JAKÓB Z TODI.

(Jacopone da Todi.)

PIEŚŃ O NOWÉJ DRODZE ŻYCIA.

Udite nova pazzia
Che mi viene in fantasia.

Posłuchajcie! oto nowy
Bzik zajechał mi do głowy!

Umrzeć, umrzeć chęć mię zbiera,
Bo źle żyłem jak przechera,
Rozkosz świata chcę porzucić
I na prostą drogę wrócić.

Czym ja człowiek? wraz pokażę:
Sam się zaprę i ukarzę;
Krzyż na plecy włożę sobie
I szaleństwo głośne zrobię.

A szaleństwa rodzaj taki:
Że pójdę między prostaki,
I gdy z nimi czas pobędę,
Świętéj głupoty nabędę.

Ty wiesz Panie czego pragnę,
Że do świata się nie nagnę,
Jeślim trwał w nim, to dla tego,
Żem chciał wyjść na uczonego.

Metafizyk—ja wyświęcę
Teologii tajemnicę,
Dojdę jaka wiedzie droga
Przez sfer tyle aż do Boga...

Święta Trójca w jaki sposób
Jest jedna, a nie z trzech osób,
Jak Słowo w Maryę wstąpiło
I ród ludzki odkupiło!...

Nauka bozka to cnota—
Tygiel do czyszczenia złota,
Lecz gdy w sofizm nie zacieka,
Niejednemu wbije ćwieka.

Posłuchajcie co ja myślę,
Niby chory na umyśle:
Chcę dziwaka przyjąć postać,
By zupełnym głupcem zostać.

Syllogizmy precz ode mnie!
I wy kłamiące nikczemnie
Sofizmy, problemy twarde,
Wnioski pajęcze a harde!

Krzyczcie sobie, co pierś zniesie
Platonie i Sokratesie:
Dowód z dowodem szermierzy
I w kałuży każdy leży.

Umysł prosty i bez plamy
Sam się wzbije w niebios bramy,
Bez pomocy ich mądrości
Do stop bozkiéj Wszechmocności.

Wam zostawiam księgi stare,
Którem miłował nad miarę;
Cycerona nawet nie chcę,
Choć słów dźwiękiem uszy łechce.

Wam zostawiam, śpiewki, lutnie,
Białoszyjki, co okrutnie

Ocz strzałkami serce bodą,
Oczarują, w końcu zwiodą.

Wam zostawiam te fioryny
I dukaty, i karliny,
Genueńskie też talary
I podobne im towary.

Chcę się dać na twarde próby,
W zakonne oddam się kluby,
A okaże próba ducha
Czym ja śpiż, czy cyna krucha...

Na bój walny się gotuję,
Trud, trud krwawy przewiduję,
Chryste użycz Twego męztwa,
A pewien będę zwycięztwa!

Krzyż ukocham ogniem świętym,
Już się czuję ogarniętym,
I pokornie proszę o to,
By mnie natchnął swą prostotą.

Rozmyślaniem karmiąc duszę,
Tryumf świata jéj wymuszę,
Niech wesoła, to stęskniona,
Wciąż w słodyczach serca kona.

Czy obrawszy taką drogę
Po niéj do raju dojść mogę,
Gdzie anielskich chórów pienie
Głosi Pańskie uwielbienie?

Panie daj znak woli Swojéj,
A duch mój się uspokoi,
Gdy pójdzie na twe skinienie
Bądź dasz piekło, bądź zbawienie.

W ZACHWYCENIU.

Jezu, miłości krynico!
Niech Twe promienie
Ogień w mém sercu rozniécą,
Rozpędzą cienie!

O słodki zdroju żywota!
W płomiennéj obmyj mię fali,
A serce z brudu i z błota
W jasny się kryształ wypali.
Ciemności go nie opadną,
Chucią nie zmąci się żadną,
Niechże się dla mnie otworzy
Ów strumień miłości bożéj.

Miłości ognista strugo,
Wznieć w mojéj piersi pożogę,
A będąc wiernym Twym sługą,
W zachwytu rozkosz wpaść mogę...
Od wszystkich więc grzechów zmazy
Uciekam jak od zarazy,
Pnąc się wyżéj w tajemnicze
Światy, przed Twoje oblicze.

O duszo! ty lotną strzałą
Zachwytu wzbij się do Niego,
I w hołdzie otaczaj chwałą
Nad wszystko ukochanego.
Uchem i okiem stęsknioném
Z Tobą tak szczelnie się skleję,
Że otulony Twém łonem
Miłości ogniem zgoreję.

Więc dusza zamknięta w Tobie,
O słodki Jezu mój Chryste!
Niech czuje o każdéj dobie
To zamknięcie oczywiste.

Niech myśl obłudną i złości
Precz, precz ze siebie wymiecie;
I swą miłością w cichości
Ciebie mój Jezu oplecie.

Daj się młodziutkim rosteczkom
Opleść jak splotem powoju;
Nie sprzykrzy się ssać usteczkom,
Słodycze z Twojego zdroju,
Szatką z twych dzianą promyków
O jakże się przyozdobię!
Nie wyrzuć mnie z swych tajników,
Spoczynek jest tylko w Tobie.

Tylko w Twém łonie, o miły!
Spoczynek na pomieszkanie—
Duch, co go zmysły oćmiły,
W tym blasku jasnym się stanie,
I w sercu co ci oddane
Inne już żądze nieznane—
Bo kto się z Ciebie wychyli,
Ten z Tobą zerwał w téj chwili.

PIESN O UBÓZTWIE.

Dolce amor di povertade!
Quanto ti degiamo amore?
Povertade, poverella,
Umiltade e tua sorella.

Ubóztwa słodka miłości!
Czémże cię serce ugości?
Tyś maluczka, ubożuchna
Jak pokora, twoja druchna,
Nie potrzeba ci nakrycia
Do jedzenia i do picia,
Krom korzonków, wody, chleba,
Ubóztweczku nic nie trzeba.

Wybredniejsza zadowoli
Dorzucona szczypta soli!
Spokój znać w jéj każdym kroku,
Nie dopatrzyć troski w oku,
Ni się lęka, by złodzieje
Włamali się w jéj wierzeje.
Bez tłomoczka, jak wiatr lekka,
Do drzwi puka, u drzwi czeka,
Zwykle z sobą nic nie nosi
Oprócz chleba, co wyprosi.
Nie zna co miękkie łóżeczko,
Co swój kącik swe gniazdeczko;
Nie dla niéj zastawne stoły,
Obiad je na ziemi gołéj.
Lecz na śmierć idzie bez wstrętu
I nie pisze testamentu:
O spadek po niéj najpewniéj
Nie pokłócą się jéj krewni...
O ubóztwo! tyś kochanką
Moją! tyś nieba mieszkanką!
Nosisz w sobie skarby nieba,
Więc ci z ziemi nic nie trzeba.
Gdybyć przyszła żądza złota
Wesołość twą zje zgryzota...
Ubóztwo nas doskonali,
Od pokus trzyma najdaléj,
I uczy gardzić tém wszystkiém,
Co robi losu igrzyskiem.

. . . . . .

Po ulicach każąc chodzi,
Do ubóztwa lud nawodzi:
—Porzućcie mamonę złudną!
Na tamten świat zabrać trudno
Te majątki i te zbiory
Godności, stroje, bisiory!
Czy wziął kto z sobą majątek,
Gdy śmierć przecięła dni wątek?
Chcesz z ubóztwem zawrzeć śluby,
Nie wdaj się z światem w rachuby,

A sobą gardź bez litości
Wewnątrz i z powierzchowności.
Ubóztwo nic mieć nie może
Na całym ziemskim przestworze.
Samo niech poniża siebie
Choć z Chrystusem będzie w niebie.

O wielki ubóztwa Święty,
Franciszku! Ty rozwinięty
Wznieś proporzec: krzyża godło
Nigdy jeszcze nie zawiodło!

UKRZYŻOWANIE.

ROZMOWA MIĘDZY MATKĄ A SYNEM.

POSŁANIEC.

Bywaj o rajska Królowo!
Pojmano twojego Syna,
Straszna nań idzie godzina,
On gotów nałożyć głową,
I kto wie czy już w téj chwili
Biczowaniem nie zabili.

NAJŚWIĘTSZA PANNA.

A jakiż powód? nie wiecież
Zkąd ta zawziętość na niego?
Mój Chrystus nikomu przecięż
Nigdy nie zrobił nic złego?

POSŁANIEC.

Pośpieszaj Pani z obroną!
Synowi Twemu w twarz plwano,
Wleczono go i szarpano,
I przed Piłatem stawiono.

NAJŚWIĘTSZA PANNA.

Piłacie, o mój Piłacie!
Nie dajcie męczyć mi Syna!
Niesłusznie go obwiniacie,
Bo jakaż jest jego wina?

POSPÓLSTWO.

Na krzyż, héj! na krzyż zbrodniarza!
Wyroku nic nie odmieni,
On, co się królem być mieni,
Naszą starszyznę znieważa.

POSŁANIEC.

Patrz już niosą krzyż drewniany,
Tłum go stawia obłąkany,
I na krzyża wysokości
Zawiesi Światło światłości.

NAJŚWIĘTSZA PANNA.

O krzyżu! z jakiéj przyczyny
Bierzesz go? On mój jedyny!
Możeż być winien obrazy
Ten, co wolen grzechów zmazy?

POSŁANIEC.

Patrz już za rękę go wzięto
Na krzyżu ją rozciągnięto—
Dłoń przebił na wskroś gwoździ wielki
I uwięznął w głębi belki.
Teraz drugą ciągną rękę
Na krzyżową dają mękę,
Ból dopieka coraz gorzéj,
Bo mąk bez liku się mnoży.
A teraz... patrz! patrz! Maryo!
Jak obie nogi przebiją...
Przebili i ciała brzemię
Utknęło o krwawe strzemię.

NAJŚWIĘTSZA PANNA.

Cóż poczną po nim w rozpaczy!
Chyba się we łzach rozpłynę...
Za niego mnie było raczéj
Wydrzeć to serce matczyne!

CHRYSTUS.

Hamuj żal, o Matko miła!
Pragnę, abyś mię przeżyła—
I moje ucznie wybrane
Wspierała w dni opłakane.

NAJŚWIĘTSZA PANNA.

O Synu! nie mów tak srodze,
Pozwól mnie umrzeć niebodze!
Krzyża się ramion uchwycę
I skonam patrząc w Twe lice...
A tak Syn i Matka razem,
Ciosem zabici pospołu,
Do jednego pójdziem dołu.

CHRYSTUS.

Matko, w ręce twe oddaję
Serce, co się we mnie kraje.
Jan mój uczeń ukochany
Będzie Twym Synem nazwany.

(Do Jana:)

Janie! Tyś syn méj macierzy,
Ukochaj ją jak najszczerzéj,
Utul, pocieszaj kobiétę,
Bo jéj serce wskroś przebite.

NAJŚWIĘTSZA PANNA.

Synu, dusza z Twego ciała
Przez usta już wyleciała..
O mój świetlany, niewinny!
Światło zaniosłeś w świat inny...
Co zostało, poczerniało..

Byłeś biały, jasno-włosy,
Licem wdzięczen jak niebiosy...
Z jakiegoż ludzie powodu
Zabili cię tak za młodu?!...
A zabili tak zdradziecko
Boleściwéj matki dziecko?!
A Ty nowy synu Janie—
Widziałeś Brata skonanie!...
Ból uczułam nieczłowieczy,
Pierś mi przebodło sto mieczy...

IV.

ŚW. TERESSA.

DO ZBAWICIELA.

(SONET).

Dla mnie pobudką do miłości Boga
Nie jest szczęśliwość w niebie obiecana;
Dla mnie pobudką, że obrazić Pana
Lękam się, nie jest mąk piekielnych trwoga.

Co mię pobudza, to męczeńska droga,
Po któréj szedłeś na ukrzyżowanie,
Ten cierń, te rany i to urąganie.
Twoja, o Jezu, na krzyżu śmierć sroga.

Miłość ku Tobie jest pobudką taką,
Że i bez Nieba kocha Cię jednako,
A i bez piekła obrazić się boi.

Nie dbaj, o Panie! gdy chcesz, o to serce,
Zgaś w niém nadzieję w ostatniéj iskierce,
A miłość moja jeszcze się ostoi!

GLOSSA.

Vivo, sin vir en mi,
Y tan atta vida espero,
Que muero, porque no muero.

Żyję, nie żyjąc w sobie,
W wyższe się życie wydzieram,
Z nieumierania umieram.

Miłością z Bogiem złączona,
Cała w Panu moim żyję.
On jeńcem mojego łona,
Swobodniéj serce mi bije.

Lecz Boga trzymać w niewoli
Uczucie moje się wzbrania.
To boli, ach srodze boli,
Umierać z nieumierania.

O jakże długie to życie,
A to wygnanie jak męczy!
Kiedyż się męki skończycie?
Kto mię rozkuje z obręczy?
Czytam już w moim wyroku
Nierychły koniec wygnania.
Miecz srogi tkwi w moim boku...
Umieram z nieumierania.

Żywot mam struty goryczą,
Bo Ciebie nie mam, o Panie!
Choć miłość poi słodyczą,
Zabija oczekiwanie.
O Boże! zdejm ze mnie brzemię,
Co mię w tę turmę pochłania—
Błagam! wydobądźże mię,
Bo umrę z nieumierania.

Że wytrwam w próbie wygnańczéj,
Słodka nadzieja mię krzepi,
Że śmierć mi życie wyniańczy
I z życiem złączy mię lepiéj.
O śmierci! dawczyni życia,
Staw się na moje wołania:
W chwili twojego przybycia
Wraz umrę z nieumierania.

Nie żyję już sama w sobie,
A żyć bez Boga nie mogę;
Cóż z sobą bez niego zrobię,
Jak życia przebędę drogę?
Sto śmierci na mnie tu czyha;
Od zguby nic nie zasłania,
A choć się życie uśmiécha,
Umieram z nieumierania.

Ten żywot, który tu sączę,
Życia się ujmą nazywa—
I nim się z Tobą połączę,
Jam ciągle jakby nieżywa.
O Boże! usłysz gdy wołam
Od zmroku aż do świtania;
Zniszcz mię, życie we mnie połam,
Niech umrę z nieumierania.

Patrz na tę miłość szaloną,
O życie! przestań mi ciężyć—
Bo chcąc być z tobą złączoną,
Pierwéj cię trzeba zwyciężyć.
O śmierci! o słodki gończe!
Przyśpiesz chwilę rozwiązania,
Niech raz już ze światem skończę
I umrę z nieumierania.

Tylko w nadziemskim tam świecie
Wita nas życie prawdziwe,
Dopóki śmierć nas nie zmiecie,
Znamy rozkosze wątpliwe.

Śmierci! niech żaden z twych ciosów
Mej głowy już nie ochrania!
Grób jest przedsionkiem niebiosów...
Umieram z nieumierania.

Czémże odpłacę Ci, Boże!
Coś w piersi zamieszkał mojéj?
Życie Ci oddam w pokorze,
Ta strata z Tobą mię spoi.
A że tylko przez śmierć mogę
Zdobyć ten przedmiot wzdychania,
Więc się wydzieram w tę drogę,
Umieram z nieumierania.

I cóż po życiu skazanéj
Żyć tak od Ciebie daleko?!
Takie życie, to kajdany,
To trumny gniotące wieko.
Już się i sama lituję
Mękom długiego konania —
Gdy niebo mąk mych nie czuje,
Umieram z nieumierania.

Ryba bez wody niedługo
Męczy się i zaumiera;
Śmierć dla cierpiących przysługą,
Im prędzéj ich ztąd zabiera.
A moje życie rozpięte
Na katowni rusztowania,
O! kiedyż będzie przecięte!
Umieram z nieumierania.

Chociaż doznaję ulżenia,
Gdy Cię widzę w Sakramencie,
Cierpień to moich nie zmienia,
Bo w sercu jedno łaknięcie,
I silniéj palą tęsknice,
I oczom mgła wciąż zabrania
Oglądać Twe bozkie lice...
Umieram z nieumierania.

Choć serce żywi nadzieję,
Że ujrzy oblicze boże,
A przecięż ciągle truchleje,
Że odepchnięte być może.
W nieustającéj téj trwodze,
W niepewności spodziewania,
Panie! daj pomoc niebodze:
Niech umrę z nieumierania!

O Boże! moja ufności!
Weź tę śmierć, a daj mi życie—
Niech lecącéj w kraj światłości
Nie krępuje to powicie.
Patrz! jak mrę, aby co prędzéj
Mieć szczęście Cię oglądania...
Bez Ciebie zmarnieć mi w nędzy!
Umieram z nieumierania.

O śmierci! do ciebie płaczę,
Życia odtrącam uśmiechy —
Póki na życie tułacze
Skazanam za moje grzechy.
Kiedyż się spełnią, o Boże!
Te moje oczekiwania,
I ziemskie brzemię to złożę?...
Niech umrę z nieumierania!

MIECZ BOŻY.

Ostrze miecza w pierś mi godzi,
Czułam, jak mię wskroś przebodło!
Miecz ma bozki herb i godło,
Więc i wielkie czyny zrodzi.

Pchnięcie miecza ranę wierci;
A choć z rany umrzeć muszę
I przez srogie przejść katusze,
Nowe życie tryśnie z śmierci.

Czyż ożywia to co zgładza?
Czy śmierć może dawać życie,
Albo zbawiać przez zabicie?
Życie z śmiercią czyż się zgadza?

Jest to dziełem mocy bożéj,
Że kto przeszedł przez bój taki,
Tryumfalnie w górne szlaki
Wzleci, wielkie czyny stworzy.

DO WIEKUISTÉJ PIĘKNOŚCI.

O promienista pięknoto!
Piękniejsza nad zwykłe wdzięki!
Nie ranisz, a sprawiasz męki,
Aż serce samo z ochotą
Z cielesną zerwie pieszczotą.

O węźle! twych splotów siła
Dwie istot sprzecznych spoiła...
Nie rwiéj się, bo z połączenia
Taka duszy moc przybyła,
Że rozkoszą są cierpienia.

Ty żenisz nicość nikczemną
Z tém, co byt ma wiekuisty,
A co przejmie twój ognisty
Duch, to kochasz, — i rzecz ciemną
Przerobisz na dyament czysty.

NOTATKA ZNALEZIONA

W BREWIARZU ŚWIĘTEJ TERESSY.

Nie smuć się niczém,
Nie drżyj przed biczem
Złéj doli: wszystko to pył!

Bóg jest niezmienny,
W cel twój promienny
Cierpliwie zdążaj co sił.

W kim Bóg siedlisko
Obrał, ma wszystko
I będzie jak mocarz żył.

V.

S. JAN OD KRZYŻA.

(San Juan de la Crux.)

PASTERZ.

(EL PASTORCICO).

Był sobie pasterz samotny wśród świata,
Nie znał co radość, co wzajemne serce,
Bo choć miłością gorzał ku pasterce,
Tysiąc udręczeń pierś jego przygniata.

Nie płacze—choć się krwawią jego rany,
Ani się skarży na śmiertelne bole;
Kiedy mu w sercu i pali, i kole,
Płacze—bo od niéj czuł się zapomniany.

A tak, gdy o nim wcale nie pamięta
Piękna pasterka, znosi te męczarnie;
Wśród obcych deptać daje się bezkarnie—
Takie nam miłość nałożyła pęta.

„Biedny ja!—woła—biedny z jéj przyczyny,
Co moją miłość zdeptała tak dumnie,
Co szczęścia ze mną nie chciała, ni u mnie!
Miłość mię karze i dręczy bez winy!"

Po długich mękach, na krzyż wbity w ziemię
Wspiął się i w krzyża otwarte ramiona
Kładąc się pasterz—głowę zwiesił, kona!
Lecz z sobą uniosł téj miłości brzemię.

LOT MIŁOŚCI.

Iras de un amoroso lance
Y no de esperanza falto
Volé tan alto, tan alto
Que le di a la caza alcance.

Miłości rączemi pióry,
Nadzieją gnany do góry,
Coraz wyżéj od padołów
Wzlatując, chwyciłem połów.

W pogoni za niebieskością,
Chcąc łupu dostać z pewnością,
W takiém znalazłem się niebie,
Że aż zgubiłem sam siebie.
A choć w tym locie zuchwałym
Zaledwie się posuwałem,
To wciąż wyżéj od padołów
Wzlatując, chwyciłem połów.

Gdym się wzbił wyżéj, wysoko,
Wielki blask olśnił mi oko,
I mnie zwycięzcę w tych gonach
Noc skryła w swoich osłonach;
Lecz rwany skrzydłem miłości,
Leciałem mimo ciemności,
Coraz wyżéj od padołów,
W polocie schwyciłem połów.

A ilem się wzbijał wyżéj,
Pędząc w górę coraz chyżéj,

O tyle czułem, że spadam,
Słabnę i sobą nie władam.
Oj nie złowić, tego ptaka!
Siebie równam do robaka,
Co tak wzbił się od padołów
Wysoko, by schwycić połów.

Już nie wiem, jak się to stało:
Sto lotów w jeden się zlało...
To nadzieja tak porywa,
Im większa, więcéj zdobywa...
W niebo mię niosła nadzieja,
Ona skok dała—a nie ja—
Gdy się wzbiła od padołów
Wysoko, by schwycić połów.

PIEŚŃ DUSZY.

W NAJŚCIŚLEJSZÉM POŁĄCZENIU Z BOGIEM.

(Canciones, que hace et alma en la intima union con Dios).

O llame de amor viva!
que tiernamente hieres
de mi alma en el mas profundo centro.

Żywy płomieniu miłości!
Dziwnéj jesteś łagodności,
Bez bolu palisz głębie duszy mojéj...
Spuść się do dna i nie zważaj,
A pychą się nie obrażaj, —
Przepal—niech między nami nic nie stoi!

O rozkoszna sparzelizno!
O ty, pełna łaski blizno!
Ręko! co samém dotknięciem upajasz,
Jak napój z życia krynicy,
W któréj się myją grzesznicy—
Śmierć dajesz i śmierć na życie przestrajasz!

O wy iskry gorejące,
O wy gwiazdy spadające,
W najtajemniejszą uczuć mych głębinę,
Dotąd czarną, zimnem skrzepłą,
Teraz tak czystą i ciepłą
Gdy oblubieńca przyjęła w gościnę!

O jak miłośnie i słodko,
Szczebioczesz moja pieszczotko,
W sercu, gdzie siedzisz sam jeden na tronie...
Ty wzdychasz, a mnie przeszywa
Niebios szczęśliwość prawdziwa
I snów miłosnych rój na duszę wionie.

Z POŁUDNIOWÉJ SŁOWIAŃSZCZYZNY.

CZTERY ZDROJE.

PO BITWIE NA POLU KOSOWÉM.

(Z Preradovicza.)

Na Kosowém szczerém polu
Czworo zdrojów tam wytryska:
W jednym białe płynie mleko,
Drugi winem się rumieni,
Trzeci kipi krwią czerwoną,
Czwarty jasną wodę sączy.
Człek podróżny u tych zdrojów
Staje, i pierwszego pyta:
— Czemu płyniesz mlekiem białém?—
— Bym wykarmił twoją dziatwę. —
A drugiego znowu pyta:
—Czemu winem się rumienisz?—
—Abym serce twe ukrzepił.—
A trzeciego pyta znowu:
— Czemu kipisz krwią czerwoną?—
—Aby zemstą cię zapalić.—
A czwartego zdroju pyta:
—Czemu sączysz wodę jasną?—
—Aby hańbę obmyć z ciebie.—

KONIEC TOMU DZIEWIĄTEGO.

Wyższa Szkoła Pedagogiczna BIBLIOTEKA

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DZIEWIĄTYM.

POEZYE ORYGINALNE.

	Str.
Trąby w Dnieprze	3
Potrzeba Warneńska	7
Samuel Zborowski	15
Kniaź Dymitr Wiśniowiecki	25
Świtezianka, fantazya dramatyczna	27
Wachmistrz Jaszczołd	77
Mimoza	87
Poezye pomniejsze	105—161
Okruszyny	162
Bajki	180
Komu w drogę, temu czas	196
Objaśnienia	198

TŁÓMACZENIA.

KRÓLODWORSKI RĘKOPISM.

Pieśni bohaterskie	209
Pieśni miłosne i ballady	250
Sąd Libuszy i pieśń pod Wyszehradem	266
Przypisy	273

PIEŚNI MISTYCZNEJ MIŁOŚCI.

I. Święty Franciszek z Assyżu	280
II. Święty Bonawentura	285
III. Błogosławiony Jakób z Todi	308
IV. Święta Teressa	318
V. Święty Jan od krzyża	325

Z POŁUDNIOWEJ SŁOWIAŃSZCZYZNY.

Cztery zdroje	329

Biblioteka WSP Kielce
0226232